

STEVEN BRUST

TALTOS

CZWARTY TOM SERII
VLAD TALTOS



REBIS

Spis treści

KARTA TYTUŁOWA



Podziękowanie



Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

STEVEN BRUST

TALTOS



Przełożył: Jarosław Kotarski



REBIS

2005



Tym razem Vlad Taltos zostaje wynajęty nie do zabicia, lecz do okradzenia kogoś. I to nie byle kogo, lecz maga. Zleceniodawcami są Sethra Lavode i Morrolan e'Drien, konsekwencją zaś wyprawa na Ścieżki Umarłych i ocalenie Aliery oraz początki dziwnej przyjaźni człowieka z Domu Jherega z trójką Dragaerian z Domu Smoka.

Dla Fluffy'ego

Podziękowanie

Dziękuję Nate, Emmie, Karze, Pam i Willowi.

Specjalne podziękowania za pomoc należą się Gailowi Bucichowi i jak zawsze Adrian Morgan.



*Feniks ponownie rozpada się w kurz,
Smok groźny na łów wyrusza już.
Lyorn dziś warczy, opuszcza róg,
Przed tiassy snami umyka wróg.
Sokoła na niebie znak wartownika,
Dzur cieniem przez noc przenika.
Issola uderza zdradziecko i cicho,
Tsalmoth jak żyje, wie tylko lichy.
Valista na zmianę niszczy i stwarza,
Cichy iorich zna, nie powtarza,
Jhereg tym żyje, co ma po innych,
Chreotha plecie sieć na niewinnych.
Yendi wystrzela zabójczym splotem,
Jhegaala co robi, dowiesz się potem.
Athyra w myśli milczkiem się wkrada,
Strachliwa teckła w trawach jak zjawa.
Orka przemierza podmorskie gaje,
A szary feniks z popiołów wstaje.*

Rozdział pierwszy

Cykl: smok, dzur, chreotha, athyra, sokół, feniks, teckla i jhereg... Ludność imperium podzielona była na siedemnaście wielkich Domów, a symbolem każdego było inne zwierzę... Tańczyły mi przed oczami, zdając się otwierać w moich dłoniach... Oto było Imperium Dragaerian i oto byłem ja... człowiek... outsider.

Łatwiej już na pewno nie będzie.

Mając nadzieję, że nie obserwuje mnie żaden bóg, rozpocząłem. Jakieś dwieście mil na północny wschód od Adrilankhi znajduje się góra wyglądająca jak dzieło jakiegoś megalomaniaka. Przypomina bowiem gotowego do skoku szarego dzura. Każdy ją widział, jeśli nie na obrazie, to na sztychu czy innej reprodukcji. Pokazano ją już chyba pod każdym możliwym kątem. Wyobrażenie drapieżnego kota jest doskonałe, choć nie wiadomo, czy to dzieło natury, czy rąk ludzkich. Najciekawsze jest lewe ucho — wyglądem niczym nie różni się od reszty, ale wiadomo, że nie powstało w sposób naturalny. Mamy zresztą takie podejrzania co do całej góry, ale nie w tym rzecz: co się tyczy lewego ucha, mamy pewność.

To tam właśnie, jak głoszą legendy i niesie wieść gminna, przesiadywała niczym pajak w sieci zła Sethra Lavode. Mroczna lady Góry Dzur, adeptka magii i co tam komu jeszcze przyjdzie do głowy z epitetów. I knuła, jak by tu złapać i pognać kolejnego świetlanego bohatera. Dlaczego miałyby to robić, legendy i wieść gminna wyjaśniają raczej mętnie, do czego naturalnie mają prawo.

O mnie krąży znacznie mniej wieści gminnych i żadnych legend, a siedziałem w centrum swojej własnej pajęczyny zła. Pociągnąłem za nić i spowodowałem spływ dodatkowych informacji o górze i jej pani. Wychodziło bowiem na to, że będę mógł odwiedzić to miejsce, choć naturalnie nie jako bohater.

Z takich sytuacji rodzą się legendy.

Wieści gminne (czyli plotki) lęgną się same.

Zajmowałem się właśnie korespondencją, którą otrzymałem. Jeden z listów napisała Szandi — dziewczyna mojej rasy. Dziękowała mi za miły wieczór. Fakt — był miły. Dobrze byłoby jej odpisać i spytać, czy będzie miała wolne w przyszłym tygodniu. Drugi był od jednego z moich pracowników. Pytał, czy pewien klient mógłby uzyskać przedłużenie terminu spłaty pożyczki, zaciągniętej by spłacić dług zaciągnięty u innego mojego pracownika. Zastanawiałem się nad tym, bębniąc palcami o blat biurka, gdy usłyszałem chrząknięcie Kragara. Loioś opuścił wieszak na płaszcze będący ostatnio jego ulubioną grzędą i przeleciał na moje ramię. Gdy wylądował, syknął wymownie do Kragara.

„Mógłby przestać się wreszcie tak maskować, szefie” — oznajmił z pretensją.

„To mu to powiedz, bo mnie jakoś nie słucha.”

— Długo tu jesteś? — spytałem Kragara.

— Niedługo.

Siedział jak zwykle zapadnięty w fotel koło drzwi, ale przynajmniej nie wyglądał na zadowolonego z siebie. Było to nienormalne, więc zacząłem się zastanawiać, co go gryzie. Nie zapytałem jednak, bo to w końcu nie moja sprawa. Gdyby to mnie dotyczyło, powiedziałby mi.

— Pamiętasz Chreothę zwanego Fyhnov? — spytałem. — Chce,

żeby mu przedłużyć termin spłaty pożyczki zaciągniętej u Machana. Nie wiem...

— Jest problem, Vlad — przerwał mi, nie czekając, aż skończę. Zamrugalem gwałtownie, ale powiedziałem spokojnie:

— Mów, o co chodzi.

— Posłałeś Quiona, żeby zebrał należność od Nielara, Machana, Tora...

— Posłałem. Co się stało?

— Zainkasował, co miał, i prysnął.

Przez dłuższą chwilę nic nie powiedziałem. Raz, dlatego że mnie zatkało, dwa, że analizowałem konsekwencje tego, co usłyszałem. Własnym terenem zarządzałem dopiero parę tygodni, to jest od dnia nieszczęśliwej śmierci poprzedniego szefa, i pierwszy raz zetknąłem się z podobnym problemem.

Quion był silnorękiem — jest to nieco mylący termin, gdyż w istocie oznaczał tyle, że Quion był odpowiedzialny za to, za co chciałem, by był odpowiedzialny. Był stary, nawet jak na Dragaerianina. Według mojej oceny miał prawie trzy tysiące lat. Kiedy go przyjmowałem, obiecał, że przestanie grać. Był spokojny i tak uprzejmy, jak tylko Dragaerianin może być wobec człowieka. No i naturalnie niezwykle doświadczony we wszystkich rodzajach operacji, jakimi się zajmowałem: nielegalne gry hazardowe, burdele działające bez zezwoleń, pożyczki na zabronione procenty, paserka na dużą skalę... no, po prostu interesy. I wydawał się naprawdę chętny i zadowolony z tego, że go zatrudniłem.

Cholera!

Po tylu latach powinienem już się nauczyć nie ufać elfom! A jak ostatni idiota dalej to robię.

Kiedy już się w miarę uspokoiłem, spytałem:

— Jak to było?

— Ochronialiśmy go we dwójkę z Temekiem. Przechodziliśmy akurat koło jakiegoś sklepu, kiedy powiedział, żebyśmy chwilę poczekali, i podszedł do okna, jakby chciał się dokładniej przyjrzeć czemuś na wystawie. I teleportował się.

— Nie mogli go porwać?

— Nikt się obok niego nie pojawił, a nie słyszałem, żeby dało się zdalnie teleportować kogoś, kto nie miałby na to ochoty. Ty słyszałeś?

— Nie... Zaraz! Temek jest magiem. Wyśledził teleport?

— Ano — przyznał dziwnie zwięźle Kragar.

I milczał.

— No?! To dlaczego go nie goniliście?

— Noooo... bo żaden z nas nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się tam, gdzie on się teleportował.

— Tak? — spytałem uprzejmie. — A gdzie on się udał?

— Prosto do Góry Dzur.

Zatkało mnie drugi raz w ciągu paru minut.

— Góra Dzur... — powtórzyłem po długiej chwili. — Żeby to najjaśniejszy szlag trafił! Skąd znał koordynaty teleportu?! Skąd wiedział, że będzie bezpieczny? Że ta Jak—jej—Tam go nie zabije? Jak...

— Ona nazywa się Sethra Lavode, szefie. I nie mam pojęcia skąd.

— No to musimy kogoś za nim posłać!

— Nie da się zrobić, Vlad. Nie przekonasz nikogo, żeby go ścigał.

— Dlaczego? Mamy dość kasy na premię.

— Vlad, on jest w Górze Dzur! Zapomnij o tym.

— A co jest znowu takiego specjalnego w tej całej Górze Dzur?!

— Sethra Lavode.

— No dobra. A co jest takiego specjalnego w Sethrze...

— Jest wampirem, potrafi zmieniać kształt, włada jedną z Wielkich Broni, jest najprawdopodobniej najgroźniejszą żyjącą adeptką magii i ma zwyczaj zabijać wszystkich, którzy zjawią się nieproszeni. Chyba że przyjdzie jej ochota zamienić ich w jherega czy inne takie.

„Wypraszam sobie! Jakie: inne takie?! Co to — jhereg się jaśnie panu nie podoba? Smok niedorobiony, kurde...”

„Zamknij się Loiosh, bo własnych myśli nie słyszę!”

Poczekalem, aż przestanie się ciskać, i spytałem:

— Ile z tej wyliczanki to prawda, a ile plotki?

— A co za różnica, skoro wszyscy w to wierzą? Sam bym tam nie poszedł za żadne pieniądze!

Wzruszyłem ramionami.

— Może gdybym był Dragaerianinem, to bym zrozumiał... — westchnąłem. — Cóż, w takim razie będę musiał sam się tym zająć.

— Życie ci obrzydło? — zaciekawiał się.

— Nic mi nie obrzydło, ale nie mogę pozwolić złodziejowi na bezkarność... właśnie, ile rąbnął?

— Ponad dwa tysiące imperiali.

— Szlag! I ty się dziwisz, że chcę go dorwać?! Spróbuj dowiedzieć się czego tylko będziesz w stanie i o Górze Dzur, i o tej całej Sethrze. Tylko może bez plotek, co?

— Pewnie. Ile lat mam na to?

— Masz trzy dni. Jak już będziesz zbierał informacje, to dowiedz się czego się da o Quionie.

— Vlad...

— Sio!

Wyszedł.

A ja próbowałem kontemplować legendy. Doszedłem szybko do wniosku, że to bez sensu, więc zabrałem się do komponowania listu do Szandi. Loiosh wrócił na swój wieszak i co chwilę podsyłał mi pomocne sugestie. Gdyby Szandi lubiła zdechłe teckle, byłyby nawet użyteczne.

* * *

Czasami mi się wydaje, że pamiętam swoją matkę.

Ojciec nieustannie zmieniał wersję, więc w sumie nie wiem, czy zmarła, czy go zostawiła, a jeśli to drugie, to czy miałem wtedy dwa, cztery, czy pięć lat. Ale co jakiś czas stawało mi przed oczyma jej wyobrażenie. Albo kogoś, kogo za nią uważałem. Nie było na tyle wyraźne, bym mógł ją opisać, ale byłem szczęśliwy, że mam choć tyle.

Niekoniecznie są to moje najwcześniejsze wspomnienia. Gdy się naprawdę postaram, widzę nie kończące się sterty garów i talerzy, i czuję strach na myśl, że będę musiał je wiecznie zmywać. To pewnie wynik mieszkania nad restauracją ojca, bo nigdy nic podobnego mi nie groziło. Pomagałem mu naturalnie i to od najmłodszych lat, ale nie mogę mu zarzucić, żeby we mnie orał. Po prostu zmywanie utkwiło mi w pamięci jako coś nieprzyjemnego i pozostało dla mnie jedną z niemiłych czynności. Można by się pokusić o przypuszczenie, że całe swe dorosłe życie robiłem, co mogłem, żeby tylko nie zmywać brudnej zastawy.

Jeżeli nawet, to są gorsze cele w życiu.

* * *

Moje biuro znajduje się na zapleczu psychodelicznej zielarni. A raczej na zapleczu salonu gry znajdującego się na zapleczu psychodelicznej zielarni. Salon naturalnie jest nielegalny — byłby legalny, gdybyśmy płacili podatek, a zostałby zamknięty, gdybym nie dawał łapówek Gwardii Feniksa teoretycznie pilnującej porządku w mieście. Ponieważ podatek jest wyższy od łapówki, opłacam Gwardię. Jak każdy właściciel podobnego salonu gier hazardowych. Dodatkową zaletą tego stanu rzeczy jest to, że klienci też nie muszą płacić podatku od wygranych. I w ten sposób wszyscy są szczęśliwi. Biuro obejmuje parę niewielkich pokoi, z których największy stanowi sekretariat będący równocześnie poczekalnią. Poza tym ja mam swoją klitkę i Kragar swoją. Moja ma nawet okno z pięknym widokiem na alejkę. To jest widok byłby, gdybym je otwierał, czy choćby odsłaniał.

Było coś z godzinę po południu trzeciego dnia po ucieczce Quiona, kiedy wszedł Kragar. Parę minut później zauważyłem go.

— I czego się dowiedziałeś o Górze Dzur? — zapytałem zamiast powitania.

— Duża jest.

— Opowiadasz?! Nie błaznuj, tylko gadaj!

Wyciągnął notes, otworzył i spytał:

— Co właściwie chcesz wiedzieć?

— Na początek skąd Quinowi przyszło do łba, że będzie tam bezpieczny? A jeśli nie przyszło, to co go napadło: skleroza czy było mu wszystko jedno?

— Odtworzyłem jego posunięcia z ostatniego mniej więcej roku i...

— W trzy dni?

— Ano.

— Szybko jak na Dragaerianina — pochwaliłem.

— Strasznie dziękuję, szefie.

Loiosh siedzący na wieszaku zachichotał telepatycznie.

— To co mówiłeś o jego poczynaniach?

— Że jedyną interesującą rzeczą, jaką odkryłem, jest to, iż gdzieś na miesiąc nim zaczął dla nas pracować, posłano go z jakąś sprawą do Morrolana.

Zastanowiłem się i przyznałem:

— Gdzieś o nim słyszałem, tylko nie pamiętam gdzie.

— Znany mag z Domu Smoka. Przyjaciel cesarzowej. Mieszka jakieś sto pięćdziesiąt mil stąd w latającym zamku.

— Aha! — ucieszyłem się. — Zamek. Jedyny działający od zakończenia Bezkrólewia. Pozer znaczy się.

Kragar prychnął i przyznał:

— Można go tak określić. Nazwał go Czarnym Zamkiem.

Potrząsnąłem głową z podziwem dla własnej przenikliwości: dla Dragaerian czerń to barwa magii.

— No dobrze. A co ten Morrolan ma wspólnego z...

— Technicznie rzecz biorąc, Góra Dzur leży na jego ziemi. Znajduje się zresztą ledwie pięćdziesiąt mil od rejonu, w którym najczęściej unosi się jego zamek.

— Interesujące — przyznałem.

„Ciekawe, jak pobiera podatek gruntowy” — wtrącił Loiosh.

— To jedyne, co zwraca uwagę — zakończył Kragar.

— Góry tak mają. No dobrze, to jest coś, co łączy Quiona z Górą Dzur. Co jeszcze wiesz o Morrolanie?

— Niewiele. Większą część Bezkrólewia spędził na Wschodzie i podobno jest tolerancyjny wobec twojej rasy. — Kragar szybko

się nauczył, żeby nie mówić przy mnie o Dragaerianach jako o ludziach, ale znacznie trudniej przychodziło mu używać wobec ludzi właściwego określenia.

— Cóż, w takim razie zacznę od złożenia mu wizyty — zdecydowałem. — Jeśli, ma się rozumieć, zechce mnie przyjąć. A czego się dowiedziałeś o samej Górze Dzur?

— Różnych rzeczy. Co chcesz wiedzieć?

— Najbardziej to, czy Sethra Lavode naprawdę istnieje.

— Istniała bez żadnych wątpliwości przed Bezkrólewem. Nadal żyje duża grupa tych, którzy regularnie widywali ją wtedy na dworze. Była nawet Warlordem. I to nie raz.

— Kiedy?

— Ostatni raz z piętnaście tysięcy lat temu.

— Nie pomyliły ci się zera? Nie...? No dobrze. I mówisz, że ona nadal żyje, tak? To z jakiej sześć razy dłużej niż normalnie żyjecie, nie?

— Ponad sześć. Jeśli wierzyć plotkom, to raz na jakiś czas któryś z Dzurów—bohaterów leci zdobywać Górę Dzur i rozprawić się ze złą wiedźmą. I wszelki słuch o nim ginie. To logiczne, że ich przeciwniczka żyje, no nie?

— Fakt. Pytanie, czy należy wierzyć plotkom.

Przyjrzał mi się dziwnie.

— Nie wiem jak ty, Vlad. Ja tam wierzę.

— Mhm... — mruknąłem i pogрузyłem się w niewesołych rozważaniach na temat legend, plotek, wiedźm, nieuczciwych pracowników i gór.

„Wychodzi na to, że już nikomu nie można ufać” — ocenił Loioś, przenosząc się na moje ramię. „Co za czasy!”

„Wszystko schodzi na psy” — zgodziłem się. „Przykre.”

Zachichotał telepatycznie.

„Nie rzyj. Naprawdę ufałem temu bękartowi.”

Wyjąłem sztylet i zacząłem go podrzucać.

Po dłuższej chwili odłożyłem broń i powiedziałem:

— No dobra. Wyślij wiadomość do lorda Morrolana z pytaniem, czy będzie uprzejmy się ze mną spotkać. Kiedy mu będzie odpowiadało, naturalnie. Nie mam... zaraz, jak tam się można w ogóle dostać?!

— Teleportując się — wyjaśnił uprzejmie Kragar.

Jęknąłem.

— Niech będzie. Zajmij się tym i podaj koordynaty teleportu Narvane'owi. Nie będę tracił pieniędzy na Kurwi Patrol, a jego teleport jakoś przeżyję.

— Dlaczego sam się nie teleportujesz?

— Bo tego mógłbym nie przeżyć.

„Robisz się oszczędny, szefie.”

„Co znaczy: robisz się? Zawsze taki byłem.”

„Aha.”

— Dobra, zajmę się tym — obiecał Kragar.

I wyszedł.

* * *

Z perspektywy ładnych paru lat muszę przyznać, że ojciec tak naprawdę nie był wobec mnie okrutny. Żyliśmy sami, a to wszystko utrudniało, ale starał się, jak mógł. Nawet bardzo się starał jak na kogoś o jego charakterze. A żyliśmy wśród Dragaerian, nie wśród ludzi (czyli nie w getcie, bo tak należy traktować Wschodnią Dzielnicę). Nie mieliśmy więc żadnego życia towarzyskiego, sąsiedzi się z nami nie zadawali, a jedyna rodzina, czyli ojciec mojego ojca, nie odwiedzała nas. Dopóki

trochę nie podrosłem, ojciec nie zabierał mnie też do dziadka.

Można by powiedzieć, że przyzwyczałem się do samotności, ale tak nie było — pogodziłem się z nią, lecz jej nienawidziłem. Nadal zresztą nienawidzę. Może wśród ludzi to instynktowne. Najmilej wspominam dni, gdy w restauracji był słaby ruch i kelnerzy mieli czas, by się ze mną bawić. Pamiętam zwłaszcza jednego — wielkiego grubasa o sumiastym wąsie i bez zębów. Miałem zwyczaj ciągnąć go za wąsa, a on groził, że mnie upiecze i poda z pomarańczą w gębie. Pojęcia nie mam, dlaczego uważałem to za niesamowicie zabawne... szkoda że nie mogę sobie przypomnieć, jak miał na imię.

Dla ojca na pewno byłem raczej balastem niż radością. Zresztą ojciec w ogóle był dziwny. Jeżeli przez cały ten czas utrzymywał kontakty z jakąś kobietą, to ukrywał to tak starannie, że nigdy się o tym nie dowiedziałem. Pojęcia nie mam, tak na marginesie, po co miałby zadawać sobie tyle trudu. Co do bycia balastem, to nie była moja wina. Jego zresztą też nie. Tak po prostu wyszło.

Ale przez to nigdy go tak naprawdę nie lubiłem.

Sądzę, że miałem ze cztery lata, kiedy ojciec zaczął mnie zabierać w odwiedziny do dziadka. Była to pierwsza odmiana w moim życiu, jaką pamiętam, i sprawiła mi dużo radości.

Dziadek wywiązał się z obowiązku, czyli rozpuścił mnie, ale dopiero po latach zacząłem rozumieć, że zrobił znacznie więcej.

Dużo później zrozumiałem też, ile to ojca kosztowało. Bo ojciec nie pochwalał większości rzeczy, które dziadek robił i których mnie uczył. Zacząłem to dostrzegać, dopiero gdy miałem około sześciu lat. Na przykład nie podobało mu się, że dziadek pokazywał mi, jak można myślą poprowadzić liść, by leciał na skos do wiatru. Albo parę innych zabaw ruchowych, które, jak później zrozumiałem, były wstępem do szermierki „ludzką

modą”.

Niechęć ojca zdziwiła mnie, ale będąc z natury przekornym, tym uważniej służyłem dziadka. I to mógł być powód rozdzwiewu między ojcem, a mną, choć prawdę mówiąc, nie wierzę, by tak było. Może zbyt przypominałem matkę... kiedyś zapytał dziadka, do kogo jestem podobny. Powiedział, że do samego siebie.

Wiem, że ojciec żałował decyzji zamieszkania wśród Dragaerian na pewno raz — wtedy, gdy w wieku lat pięciu zostałem ciężko pobity przez czterech, czy pięciu wyrostków z Domu Orki. Przypadkiem także sam go wtedy zraniłem. Ojciec posłał mnie po coś na rynek, a oni otoczyli mnie, zwymyślali i wyśmiewali się z moich butów uszytych zgodnie z ludzkim zwyczajem. Potem zaczęli mnie poszturchiwać, aż w końcu któryś uderzył mnie w brzuch tak, że się zwinąłem. Następnie skopali mnie i zabrali pieniądze przeznaczone na zakupy. Byli mojego wzrostu, co oznaczało, że są nastolatkami, więc pobili mnie solidnie. Pamiętam, że byłem równie obolały co przerażony.

Kiedy sobie poszli, pozbierałem się i zaryczany oraz zasmarkany pobiegłem do dziadka. Mieszkał we Wschodniej Dzielnicy, czyli prawie dwie godziny marszu, podczas gdy do domu miałem dziesięć minut, ale nawet mi do głowy nie przyszło, żeby tam wracać. Dziadek opatrzył mi skaleczenia, dał do wypicia herbatę (jak podejrzewam, zdrowo przyprawioną brandy) i odprowadził do domu. Musiał też odbyć poważną rozmowę z ojcem, bo ten nie pytał ani co się stało, ani gdzie się podziały pieniądze.

Dopiero po latach zacząłem się zastanawiać, jak bardzo tym, że pobiegłem do dziadka, zraniłem ojca. Sądzę, że ucziwie.

* * *

Jakieś dwadzieścia godzin po wyjściu Kragara siedziałem sobie wygodnie w fotelu, opierając nogi o blat. Fotel był moim wynalazkiem — wyposażony w sprytny mechanizm pozwalający mu obracać się i odchyłać. Miał też kółka. Nogi trzymałem skrzyżowane w kostkach, tak że czubki butów skierowane były w przeciwne rogi pokoju, tworząc literę V. W wycięciu tego V znalazła się głowa Kragara, gdy następny raz tam spojrzałem. Przed chwilą jeszcze go nie było, ale do tego zdążyłem się już przyzwyczać. Patrząc na niego, można było dojść do wniosku, że ma rozlazły podbródek sugerujący słabość. Kragar nie był słaby, a jego wygląd mylił. Kragar zresztą składał się z mylących wrażeń — część była wrodzona, a część starannie kultywowana. Na przykład nigdy się nie złościł. Wtedy kiedy normalny człowiek (czy Dragaerianin) wpadłby w złość, on zaczynał wyglądać na zniesmaczonego.

Teraz też tak wyglądał.

— Masz rację, nie musisz brać nikogo ze sobą — oznajmił, nawiązując do wcześniejszej rozmowy. — Dlaczego jakiś lord z Domu Smoka miałby ochotę zrobić kuku biednemu, niewinnemu Jheregowi? Może dlatego, że biedactwo nie jest Dragaerianinem? A może powinienem zapytać, dlaczego chciałby zrobić coś przykrego biednemu, niewinnemu człowiekowi? Tylko dlatego, że należy do Domu Jherega... Obudź się, Vlad. Musisz mieć ochronę. A ja jestem najlepszym sposobem na uniknięcie kłopotów i wiesz o tym.

Loiosh goniący dotąd jakąś muchę—idiotkę usiadł na moim ramieniu i doradził:

„Przypomnij mu szefie, że ja tam będę, to przestanie się martwić.”

„A jak nie przestanie?”

„To mu odgryzę nos, wtedy będzie miał lepszy powód do jojczenia.”

„Ale będzie głupio wyglądał.”

„To jego problem, no nie?”

Przestałem z nim dyskutować, choć pomysł był oryginalny i powiedziałem głośno:

— Kragar, mógłbym zabrać ze sobą wszystkich silnorękich, którzy dla mnie pracują, a i tak nie zmieniliby to niczego, jeżeli Morrolan miałby ochotę mnie zabić. Poza tym to towarzyska wizyta, jeśli zjawię się z obstawą...

— Dlatego mówię o sobie, nie o sześciu ochroniarzach! Nawet nie zauważy, że tam jestem.

— Nie — oznajmiłem stanowczo. — Zgodził się, bym go odwiedził. Żaden z nas nie wspomniał, że mogę zjawić się z cieniem. Kiedy cię zobaczy...

— Zrozumie, że takie są zasady działania organizacji. Musi zresztą wiedzieć, jak działamy: jest młody, ale nie jest dzieckiem.

— Powtarzam ostatni raz: nie!

— Ale...

— Temat został zamknięty, Kragar.

Westchnął ciężko niczym athyra w okresie godowym i zamknął oczy z cierpiętniczą miną. Potem otworzył je i przestał cierpieć.

— Dobra. Narvane ma cię teleportować, tak? — spytał rzeczowo.

— Tak. Podałeś mu koordynaty?

— Morrolan powiedział, że jeden z jego podwładnych

przekáže mu je telepatycznie, kiedy tylko Narvane się z nim skontaktuje.

Wytrzeszczyłem oczy.

— Jak ktoś od niego zdoła nawiązać kontakt z kimś, kogo nigdy nie widział? — wykrztusiłem.

Kragar ziewnął.

— To się nazywa magia — wyjaśnił.

— Jaki rodzaj magii to umożliwia?!

Wzruszył wymownie ramionami i spytał uprzejmie:

— A skąd mam wiedzieć?

„To bardziej trąci czarami, szefie.”

„Dokładnie to samo przyszło mi do głowy, Loiosh.”

„Morrolan zatrudnia czarownicę?”

„Podobno spędził młodość na Wschodzie, w czasie Bezkrólewia...”

„Myślisz, że się nauczył czarów?”

„Albo nauczył się je szanować.”

Usiadłem wygodniej i strzeliłem palcami.

— Obojętne — stwierdziłem. — Narvane ma mnie teleportować. Chcę, żeby się tu jutro zjawił godzinę wcześniej.

Kragar kiwnął głową.

Wyglądał na znudzonego, co oznaczało, że jest nieszczęśliwy.

Loiosh też będzie nieszczęśliwy, choć jeszcze o tym nie wiedział.

Cóż, życie to nie je bajka...

Rozdział drugi

Najpierw wyjąłem wszystko, czego potrzebowałem do rzucania czaru, koncentrując się tylko na tym, co chcę osiągnąć, i starając się nie myśleć, jak głupie jest układanie narzędzi, artefaktów i ingrediencji, skoro nie mam jeszcze pojęcia, jak ich użyć. Nie patrząc, pozwoliłem, by dłonie same odnajdywały, wyjmowały z plecaka i rozkładały te różności według własnego uznania.

Nie wiedziałem, gdyż nie mogłem wiedzieć, czego i kiedy będę potrzebował, ponieważ czar, którego zamierzałem użyć, nie był nigdy dotąd wykorzystywany. Prawdę mówiąc, nawet nigdy dotąd nie istniał. Musiałem go stworzyć i użyć równocześnie.

Następnego dnia w biurze zjawiłem się wcześniej. Potrafię cierpliwie czekać, kiedy muszę, co nie znaczy, że to lubię. Ponieważ w Czarnym Zamku miałem się zjawić dopiero za parę ładnych godzin, a w biurze, jak się okazało, nie miałem nic do roboty, poudawałem, że jestem zajęty. Potem stwierdziłem, że jest to bez sensu, i wyszedłem.

Na pomarańczowo—czerwonym niebie wisiały nisko szare deszczowe chmury. Wiatr wiał od morza, więc dało się spokojnie spacerować. Przeszedłem się po swoim terenie i choć nie był duży, świadomość, że należy do mnie, sprawiła mi satysfakcję. Wstąpiłem do Nielara, mego pierwszego pracodawcy i szefa.

Spytałem uprzejmie:

— Coś nowego?

Uśmiechnął się ciepło i odparł:

— Wszystko po staremu, Vlad.

Nigdy tak do końca nie wiedziałem, co o nim myśleć. Gdyby chciał, dawno miałby większy teren niż ja. Wystarczyłoby o niego trochę powalczyć. A on zdecydował, że woli pozostać mały i zdrowy. Szanowałem takie podejście, ale nie potrafiłem go zrozumieć. I chyba szanowałbym Nielara nieco bardziej, gdyby zaryzykował. Zresztą, kto zrozumie Dragaerian?

— Słyszałeś coś? — spytałem na wszelki wypadek.

— O czym?

— Nie wygłupiaj się.

Gdyby jeszcze trochę poudawał, dałbym się nabrać. Zamiast tego powiedział:

— Słyszałem, że pracownik zrobił cię na szaro. Który to?

— Nieważne. A niedługo cała sprawa będzie nieważna.

— Rozumiem.

— No to tymczasem.

Wyszedłem od niego i skierowałem się do Południowej Adrilankhi, gdzie znajduje się ludzka dzielnica.

Loiosh dla odmiany podróżujący na moim lewym ramieniu zauważył:

„Wieść się rozniosła.”

„A czego się spodziewałeś? Wiadomo było, że się rozniesie i że muszę się tym zająć, bo inaczej wszyscy będą myśleli, że można mnie bezkarnie okraść. I spróbują.”

Szedłem różnym krokiem, analizując całą sytuację. Jeżeli będę miał szczęście, Morrolan może mi pomóc odnaleźć Quiona. Problem polegał na tym, czy będzie chciał. A tego nie wiedziałem.

Z rozmyślań wybiło mnie pytanie Loiosha:

„Odwiedzamy dziadka, szefie?”

„Nie sędzę. Nie dziś.”

„To dokąd idziemy?”

„Zgadnij?”

„Do burdelu albo do knajpy.”

„Brawo. Do knajpy.”

„A kto cię zanieś do domu?”

„Nie mam zamiaru się spać.”

„To po co idziemy do knajpy?”

„Zamknij się, Loiosh.”

„Mogę się zamknąć, ale kto ci wtedy przypomni, że czas się zebrać do Czarnego Zamku?”

„Sam się muszę zebrać: na odwagę. Teraz daj mi pomyśleć.”

Zaczął się śmiać.

Zebrałem trochę energii z Kuli i stworzyłem nad swoją głową niewidzialną tarczę. To była najprostsza magia i prawie każdy przechodzień zrobił to samo. Jedyne wyjątki stanowili Teckle wyczekujący w bramach albo moknący. Ulice stały się śliskie, a potem błotniste, w miarę jak zbliżaliśmy się do dzielnicy zamieszkałej przez ludzi. Będę musiał po spacerze wyczyścić buty... Musi na to istnieć jakiś magiczny sposób, tylko jakoś nigdy go nie poznałem. Obiecałem sobie nadrobić zaległości.

Zanim dotarłem do Tworine, przestało padać, co było miłe, jako że wśród ludzi było nader niewiele magów, i nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zmuszony byłbym moknąć, czego bardzo nie lubię. Fakt, ubrany byłem jak zawsze w czerń i szarość, czyli barwy Domu Jherega, ale takich strojów widywało się sporo. Gorzej było z Loioshem, gdyż sam jego widok na moim ramieniu wystarczał, by wszyscy, którzy się na tym znali, wiedzieli, że mają do czynienia z czarownicą, tyle że męskiego rodzaju. A wśród ludzi znajomość przynajmniej teorii czarów była spora. Nie znaczyło to naturalnie, że musiałem się jeszcze

bardziej afiszować znajomością magii.

Mniej więcej w tym czasie Loiośh podsłuchiwał wystarczająco wiele strzępków moich myśli, żeby skończył się mój spokój.

„Szefie, kogo niby masz zamiar zostawić?”

„Ciebie. Przepraszam.”

„Pieprzysz! Nie możesz...”

„Mogę. I nie mów mi, że zginę tragicznie bez twojej opieki. Nie przynosi się Jherega, składając wizytę Smokowi. Przynajmniej nie pierwszą wizytę.”

„Ale...”

„Słuchaj no: nie jesteś głupi, jesteś dla mnie ważny i jesteś zostawiony.”

Podobna wymiana poglądów zapełniła czas i ani się spostrzegłem, jak dotarłem do celu. Problem polegał na tym, że naprawdę się bałem. Sam nie wiem czego, najprawdopodobniej nieznanego. Szczerze nie chciałem iść, ale nie mogłem znaleźć rozsądnego sposobu, żeby tego uniknąć. Próbowałem sobie wyobrazić, jak może przebiegać wizyta, i nie byłem w stanie. A nie mogłem nie ścigać Quiona, bo moją reputację szlag by trafił, a dla kogoś z Domu Jherega było to równoznaczne z utratą pieniędzy i bezpieczeństwa.

Odnalazłem lokal Ferenka dokładnie tam, gdzie powiedziano mi, że go znajdę, i wszedłem. Chwilę trwało, nim wzrok przyzwyczał się do półmroku. Nigdy dotąd tu nie byłem, ale dziadek rekomendował lokal jako serwujący uczciwą fenariańską brandy.

Ciekawostka sporo mówiąca o Dragaerianach. Oni nie mają własnego określenia na brandy, a nie używają naszego z nie znanych mi powodów, mimo że sam trunek znali i spożywali... nazywają go winem, a różnice w smaku uzależniają pewnie od

widzimi się producenta. Wino i brandy mają zupełnie różne smaki, o mocy nie wspominając. Rzecz sprowadza się do tego, że ich nie obchodzi smak, moc, czy proces wytwarzania, ważne jest tylko to, że oba napoje powstają z owoców, więc muszą być tym samym. Pokrętnie rozumowanie jak na mój gust.

Ludzie nie mają takiego problemu, a zwłaszcza Ferenk. Cała ściana za długim kontuarem z ciemnego drewna zastawiona była butelkami rozmaitych gatunków brandy. Połowę z nich zrobiono z brzoskwiń. Byłem pod wrażeniem. Pojęcia nie miałem, że istnieje aż tyle gatunków brandy. I miło się składało, że Imperium nie toczyło wojny ze Wschodem.

W lokalu prawie nie było gości. Oblizalem się i siadłem ostrożnie na wysokim krześle przy barze. Przewidująco miało też wysokie oparcie. Przewidująco, bo znałem lokale, w których ktoś radośnie poustawiał przy barze stołki bez oparc. Osobiście nie ryzykowałem, ale widziałem, jak się z nich zwałają z łomotem klienci. Barman spojrzał na Loiosha, zastanowił się i nic nie powiedział. Przetarł blat przede mną i spojrzał pytająco.

— Oregigeret — powiedziałem.

Kiwnął głową.

— Politura i wodorosty, tak? — spytał.

— Tak to nazywają?

Wzruszył ramionami.

— Nazywają, bo nie należy do łagodnych.

— A co byś mi polecił?

Spojrzał na półki i wybrał niską, pękatą butelkę z wypłowiałą nalepką. Nie na tyle jednak wypłowiałą, żebym nie zdołał przeczytać napisu, gdy mi ją pokazał: Barackaranybol.

— Niech będzie.

Profilaktycznie nawet nie próbowałem tego wymówić.

Barman wziął szklankę, sięgnął pod kontuar i wrzucił do niej trochę lodu. Byłem pod jeszcze większym wrażeniem, że stać go na lód i magię chłodzącą. Takie rzeczy słono kosztowały. Tak mnie to wrażenie przytłoczyło, że dopiero w ostatniej sekundzie zorientowałem się, co ma zamiar zrobić.

— Nie! — zaprotestowałem. — Nie chcę z lodem!

Spojrzał na mnie z niesmakiem. Ale wyjął spod lady dzbanek i nalał wody do szklanki z lodem. Potem wyjął drugą szklankę i wlał do niej brandy. A potem postawił obie przede mną.

— Woda jest do przepłukania ust — wyjaśnił. — Ty wiesz, jak pić, ja wiem, jak nalewać. Zgoda?

— Zgoda.

Upiłem mały łyk brandy. Była doskonała.

Usłyszałem złośliwy chichot Loiosha, więc kazałem mu się zamknąć.

Odstawiłem brandy i sięgnąłem po wodę. Upiłem spory łyk, po czym znów sięgnąłem po brandy.

— Dla mnie to samo — rozległ się zza moich pleców jedwabisty, dziwnie znajomy głos.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem szeroko.

— Kiera!

— Witaj, Vlad.

Kiera Złodziejka usiadła na sąsiednim krześle barowym.

— Co tu porabiasz? — spytałem.

— Kosztuję fenariańską brandy.

Barman gapił się na nią na poły wrogo, na poły bojaźliwie. Ja, choć Jhereg, byłem człowiekiem: ona nie dość, że należała do Domu Jherega, to była Dragaerianką. Rozejrzałem się po lokalu — trzech pozostali klienci przyglądali jej się z mieszaniną strachu i nienawiści. Spojrzałem na barmana i powiedziałem:

— Pani prosiła o brandy.

Spojrzał na stolik, przy którym siedzieli pozostali goście, potem na Kierę. A potem na mnie. A ja przyglądałem mu się i czekałem. Oblizął usta, zawahał się i wykrztusił:

— Już się robi.

No i zabrał się wreszcie do roboty.

Kiedy podsunął Kierze szklanekę z taką samą jak moja zawartością, przeszedł na drugi kraniec kontuaru. Wzruszyłem ramionami i zaproponowałem gestem, żebyśmy zmienili miejsca na sympatycznie odosobniony stolik.

— Często tu zaglądasz? — spytałem, gdy usiedliśmy.

Uśmiechnęła się.

— Słyszałam, że masz problemy.

Potrząsnąłem głową z podziwem.

— Któregoś dnia będę musiał sprawdzić, skąd ty to wszystko wiesz.

— Może ci się uda. Potrzebujesz pomocy, Vlad?

— Tylko odwagi. Jak sądzę.

— Proszę?

— Wiesz, że jeden z moich prysnął ze złotym jajkiem.

— Wiem. I mama kwoka jest nieszczęśliwa?

— Tatuś kogut, jeśli nie robi ci to różnicy.

— Proszę uprzejmie. I co zamierzasz z tym zrobić?

— Udać się gdzieś, gdzie nie mam ochoty się znaleźć. Na początek.

— Gdzie?

— Słyszałaś kiedyś o Czarnym Zamku?

Jej oczy rozszerzyły się dostrzegalnie.

— Mieszka tam lord z Domu Smoka — odparła. — Morrolan.

— Właśnie.

Przekrzywiła głowę i przyjrzała mi się bacznie.

— Coś ci powiem, Vlad. Udaj się do Czarnego Zamku. Jeśli Morrolan cię zabije, nie przeżyje miesiąca.

Poczułem, że coś ściska mnie za gardło.

Dopiero po chwili odważyłem się odezwać.

— Planujesz zmienić fach?

Uśmiechnęła się:

— Wszyscy mamy przyjaciół.

— Dzięki — powiedziałem. — Kolejny raz jestem twoim dłużnikiem.

Przytaknęła, nadal z uśmiechem.

A potem wstała i powiedziała głośno:

— Niezłe wino.

I nim barman odzyskał mowę, wyszła.

Stało się coś dziwnego. W sumie zemsta nie powinna mnie obejść, bo jeśli do niej dojdzie, to będę już dość długo martwy. A mimo tej świadomości to, co usłyszałem, podniosło mnie na duchu. Tylko dalej nie wiedziałem dlaczego.

Wypiłem drugą szklankę brandy głównie po to, żeby udowodnić Loioshowi, kto miał rację, i poprzestałem na niej. Sprawdziłem czas — okazało się, że mam jeszcze ze dwie godziny do spotkania z Narvane'em. Zapłaciłem barmanowi, nastraszyłem go, że wrócę, i poszedłem do domu.

* * *

Mój dziadek ma białego kota imieniem Ambrus. Jest to najinteligentniejszy kot, jakiego w życiu widziałem. I najstarszy. W sumie nigdy się z nim nie bawiłem tak, jak ludzie bawią się z kotami, ale jako dzieciak często z nim rozmawiałem. Przeważnie

wtedy, kiedy ojciec z dziadkiem dyskutowali o czymś w drugim pokoju. Udawałem, że Ambrus mnie rozumie, i albo tak rzeczywiście było, albo pamięć płata mi figle, ponieważ normalny kot nie mógł w ten sposób reagować. Ambrus miauczał w odpowiedzi na pytania, mruczał zadowolony, gdy mówiłem, że go lubię, i wysuwał pazury, zadając ciosy tam, gdzie mu pokazałem, mówiąc, że to jest smok.

Wiedząc to, co wiem teraz, nie sądzę, żeby moja pamięć płatała mi figle.

Jakkolwiek by było, pewnego dnia kiedy miałem z siedem lat, ojciec zobaczył, że do niego mówię, i aż się zmarszczył.

— Nie lubisz kotów? — zdziwiłem się.

— Nie o to chodzi. Nieważne zresztą.

Wydaje mi się, że za nim stał dziadek obserwujący z uśmiechem całą scenkę.

* * *

Ludzie parają się czarami, Dragaerianie magią. A ja i tym, i tym, co należy do rzadkości. Dlatego mam podstawy do wiarygodnych porównań. Podstawowa różnica polega na tym, że czary są zabawniejsze i sprawiają więcej radości. Gdyby czarownica mogła się teleportować (nigdy o czymś podobnym nie słyszałem, ale mogę się mylić), przygotowanie stosownego czaru zajęłoby jej z godzinę i wymagało recytacji oraz masy rozmaitych ingrediencji. Za to efekt stanowiłby prawdziwe emocjonalne spełnienie.

I na pewno nie chciałoby jej się potem rzygać.

Narvane, doskonały mag i jeden z moich silnorękich, zamiast godzinnych przygotowań spytał tylko:

— Gotów?

— Ano.

Uniósł od niechcienia rękę i biurko zniknęło.

A mój żołądek zaprotestował.

* * *

Pewnego dnia zrobiłem coś, za co ojciec mnie uderzył. Nie pamiętam co, ale pewnie miał rację, bo często mnie nie bił. To nie był pierwszy raz, ale właśnie ten raz zapamiętałem. Miałem wtedy siedem, albo osiem lat.

Pamiętam, że spojrzałem na niego zaskoczony i potrząsnąłem głową. Ojciec wytrzeszczył oczy i błysnęło w nich coś na podobieństwo strachu. I stał, patrząc na mnie, po czym się odwrócił i wyszedł do drugiego pokoju. Chyba chciał spytać, co ma znaczyć moja mina, ale nie zrobił tego, a ja nie odezwałem się słowem. Byłem młody i większość z tego odtworzyłem dopiero później z mglistych wspomnień. Jedno, czego byłem pewien, to to, że moja reakcja go zaskoczyła i przestraszyła. Nie miał pojęcia, że spowodowana była zaskoczeniem, że ktoś takiego klapsa uważa za uderzenie. Przecież on nie bolał. Ból towarzyszy solidnemu biciu, a takie dostawałem za każdym razem, kiedy posyłał mnie po coś na rynek.

* * *

W pierwszym momencie nie zwróciłem uwagi na to, gdzie się znalazłem, gdyż byłem zbyt zajęty walką z własnym żołądkiem. Dragaerianie nie odczuwają nudności po teleportacji, większość ludzi tak. A ja pechowo mam wyjątkowo wrażliwy żołądek.

Nie otwierałem oczu, za to szybko przełykałem ślinę, co było sprawdzonym sposobem na powstrzymanie wymiotów. Ta brandy nie była najlepszym pomysłem... Żołądek powoli się uspokajał, toteż zaryzykowałem szybkie spojrzenie wokół. Znajdowałem się na obszernym dziedzińcu i... natychmiast ponownie zacisnąłem powieki, gdy dotarło do mnie, że jestem w powietrzu, mając daleko pod sobą doskonale widoczny krajobraz. Żołądek znowu podjechał mi do gardła — tym razem z zupełnie innego powodu.

Minęła naprawdę długa chwila, nim zdołałem odetchnąć głęboko i otworzyć oczy na dobre. Jakies pięćdziesiąt jardów przede mną znajdowały się wielkie podwójne wrota zamku. Dziedziniec zaś ze wszystkich stron otaczały wysokie mury urozmaicone wieżami. Zaryzykowałem spojrzenie w dół — zobaczyłem chmury. Pięknie, po co komuś wysokie mury obronne w zamku, który unosi się w powietrzu? Pytanie naturalnie było retoryczne. Nad głową miałem pomarańczowe niebo i więcej chmur. Wiał przyjemny wietrzyk, a na dziedzińcu poza mną nie było nikogo.

Zarówno mur, jak i wieże wykonano z jednolitego czarnego kamienia, najprawdopodobniej obsydianu. Większość powierzchni pokrywały płaskorzeźby przedstawiające polowania lub walki.

Bezguście.

Na murze dostrzegłem dwie postacie. Obie miały czarno—srebrne stroje Domu Smoka. Jedna trzymała w ręku halabardę, druga laskę.

Proszę, proszę: magowie zatrudnieni jako strażnicy.

Cóż, to ostatecznie przekonało mnie, że gospodarz jest nieprzyzwoicie bogaty. Ten z halabardą zobaczył, że się na nich

gapię, i zasalutował. Skłoniłem się, żałując, że nie ma ze mną Loiosha. Na pewno miałyby coś do powiedzenia. Powoli ruszyłem ku wielkim odrzwiom.

* * *

Obiektywnie oceniając własną młodość, muszę przyznać, że wychowałem się w warunkach, w których przemoc była codziennością. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale faktem jest, że od najmłodszych lat bałem się elfów. Mieszkaliśmy nad restauracją jako jedyni ludzie w okolicy. Większość czasu spędzałem w lokalu, nawet kiedy byłem jeszcze zbyt mały, by w czymkolwiek pomagać. Bałem się za każdym razem, gdy musiałem sam z niego wyjść. Dobrze to pamiętam, podobnie jak długie pościgi alejkami i lania spuszczone albo przez elfy, które nie lubiły ludzi, albo przez ludzi uważających, że się wywyższamy. To ostatnie nie zdarzało się często, a pierwszy raz przytrafiło mi się, gdy miałem osiem lat. Ojciec sprezentował mi kompletny strój w barwach Domu Jherega i był to jeden z niewielu dni, kiedy czułem się naprawdę szczęśliwy. Udzielił mi się ten nastrój i paradowałem dumnie po okolicy, póki nie spotkało mnie kilku chłopaków w moim wieku. Ciąg dalszy był łatwy do przewidzenia.

Pamiętam też, że ich bicie nie zrobiło na mnie wrażenia i że ogólny wniosek, jaki wyciągnąłem, był taki, że biedacy nie potrafią nawet porządnie przylać. Nie to co elfy.

* * *

Moje kroki odbijały się echem, jakbym szedł po kamieniach,

podczas gdy maszerowałem w powietrzu. Denerwujące. Jeszcze bardziej denerwujące było odkrycie biegnących wokół drzwi symboli używanych przy rzucaniu czarów. Oblizałem wyschnięte nagle wargi...

Gdy znalazłem się jakieś dziesięć stóp od wrót, oba skrzydła otwarły się bezgłośnie i majestatycznie. Bardzo denerwujące. Odruchowo przygładziłem jedną ręką włosy, drugą poprawiłem zapięcie peleryny. Wszystko było na miejscu. No i dobrze — zawsze lepiej być zaskakującym niż zaskakiwanym.

Drzwi znieruchomiały i dostrzegłem postać stojącą w łukowato sklepionym wejściu. Miała białą skórę i białozieloną na poły suknię, na poły sari. Barwy Domu Issoli. I rzeczywiście przypominała issolę — była smukła, pełna gracji i długonoga. Naturalnie nie miała długiego, ostrego dzioba, ale to by już była przesada. Miała za to niebieskie oczy, kasztanowe włosy i — nawet jak na ludzkie standardy — była piękna.

Głos niski i słodki idealnie pasował do wyglądu:

— Witaj w Czarnym Zamku, szlachetny Jheregu. Jestem Teldra. Oczekiwaliśmy cię i mam nadzieję, że twój pobyt będzie miły i przyjemny. Dołożymy starań, by takim się okazał. Mam nadzieję, że teleportacja nie była zbyt nieprzyjemna?

I skłoniła się dwornie, jak to jest zwyczajem przedstawicieli Domu Issoli.

— Hmm... nie za bardzo — wybąkałem.

Uśmiechnęła się, jakby ją to naprawdę obchodziło, i dodała:

— Proszę wejść. Zaraz poślę po lorda Morrolana.

Po czym wyciągnęła rękę po moją pelerynę, i szlag by to trafił, ale prawie jej ją oddałem!

Powstrzymałem się dosłownie w ostatnim momencie, i to odruchowo.

— Nie lubię przeciągów — wyjaśniłem.

— Naturalnie — zgodziła się nadal z uśmiechem. — Proszę za mną.

Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że ani razu nie wymówiła mego nazwiska — musiała nie wiedzieć, jak się je wymawia, a to z kolei oznaczało, że Morrolan niewiele o mnie wie. Trochę mnie to podniosło na duchu.

Wszedłem do Czarnego Zamku. Znalazłem się w olbrzymim holu, z którego białe marmurowe schody pięły się łukiem w prawo i w lewo. Przed sobą miałem łukowato sklepione wejście, nad sobą balkony, a na ścianach kilka krajobrazów. Oryginałów ma się rozumieć. Całe szczęście, że czerń nie stanowiła dominującego koloru.

Moją uwagę zwrócił jeden z obrazów, gdyż w prawym górnym rogu znajdowało się wielkie, złote słońce wiszące na błękitnym niebie upstrzonym białymi obłoczkami. Widziałem już podobny fenomen — oczami dziadka. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że ten obraz powstał na Wschodzie.

Teldra zaprowadziła mnie przez środkowe, największe wejście (po bokach znajdowały się dwa mniejsze, też łukowato sklepione, których w pierwszym momencie nie zauważyłem) na szeroki korytarz prowadzący do salonu. Dominującym kolorem był tu ciemnożółty, ale stonowany i dobrze współgrający z blaskiem lamp. Pełno w nim było miękkich foteli, barków, stolików, stołów i bufetów. Po pierwszych dziesięciu sekundach przestałem szukać możliwych pułapek. Tygodnia by na to nie starczyło. Zacząłem żałować, że nie zabrałem ze sobą Loiosha.

Teldra wskazała mi fotel wyglądający na wygodny i pozwalający spokojnie obserwować drzwi. Usiadłem. Był wygodny.

— Lord Morrolan zjawi się za moment — powiedziała. — Pozwoli pan podać sobie wino?

— Hm... tak... dzięki.

Byłem wściekły na samego siebie — zapomniałem języka w gębie jak Teckla z pierwszą wizytą u pana hrabiego. Szlag by to trafił!

Teldra przyniosła z jednego z barków wiaderko z lodem, w którym spoczywała butelka, i otworzyła ją sprawnie i z gracją cechującą wszystkie jej ruchy. To, że wino znajdowało się w lodzie, sporo mówiło — tylko ludzie schładzają wino, Dragaerianie mają obrzydliwy zwyczaj podawania go w temperaturze pokojowej. Nalała wina do kielicha.

Wypiłem.

Było naprawdę doskonałe, co stanowiło kolejne zaskoczenie. Obejrzałem butelkę, ale nalepka nic mi nie mówiła. Marka była mi całkowicie nieznana.

— Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić, milordzie?

— Nie. Dzięki pani mam wszystko co trzeba.

— W takim razie do zobaczenia później, milordzie.

Wstałem, jak nakazywała uprzejmość, i poczekałem, aż wyjdzie, zamykając za sobą drzwi. Podziękowała mi uprzejmym skinieniem głowy. Jestem pewien, że zachowałyby się tak samo, gdybym nadal siedział.

Spokojnie dopiłem zawartość kielicha. Lordowie z Domu Smoka nie używają trucizny, toteż nawet moja podejrzliwa natura nie protestowała. Drzwi otworzyły się i do salonu wszedł lord Morrolan. Był wysoki, ubrany na czarno z niewielkimi srebrnymi akcentami. Pelerynę miał częściowo odrzuconą na plecy, a prawą dłoń opierał na rękojeści długiego miecza. Rysy twarzy regularne — czystej krwi Smok o wysokim czole i

ciemnych, prostych włosach na tyle długich, by zasłaniały uszy. Przyjrzałem się uważnie mieczowi i mimo że pozostawał w pochwie, wiedziałem, że nie jest to zwykła broń. Najprawdopodobniej była to broń Morgantich, i to niezwykle potężna. Z pewnym trudem powstrzymałem dreszcz, czując jej zew w moim umyśle.

Dopiero gdy skończyłem go oglądać, zastanowił mnie fakt, że ma przy sobie broń, i to w dodatku taką. Ciekawy zwyczaj witania gościa we własnym domu z ostrzem przy boku. Albo miał dziwne nawyki, albo nie czuł się bezpieczny.

Albo też planował mnie zabić.

Jeśli chodzi o duszę, można sobie wierzyć, w co się chce. Dragaerianie na ten przykład wierzą w reinkarnację. Obojętne w co by się wierzyło, jedno nie ulega kwestii — każdy zabity bronią Morgantich nie ma szans na wskrzeszenie. Mnie to wystarcza, by traktować ją z naprawdę dużym szacunkiem. W tym momencie uświadomiłem sobie, że ponownie zachowałem się jak ostatni wsiok — siedzę i gapię się na niego jak wrona w drewnianego imperiala.

Wstałem, ukloniłem się uprzejmie i powiedziałem:

— Lordzie Morrolan, jestem Vladimir Taltos. Czuję się zaszczycony, że zechciał się pan ze mną zobaczyć.

Jestem też dobrym kłamcą jakby co.

Skinął mi głową i dał znak, żebym usiadł. W tym czasie do salonu weszła Teldra i naląła mu wina. Usiadł naprzeciw mnie, a gdy wychodziła, powiedział:

— Dziękuję, lady Teldro.

Tytuł mnie zaskoczył i odruchowo zacząłem się zastanawiać, jaki rodzaj związku ich łączy: pracodawca—pracownik, czy też bardziej osobisty. Morrolan zaś przyglądał mi się w sposób, w

jaki ja zwykle oglądam ciekawostkę jubilerską. Nawet pijąc, nie spuszczał ze mnie wzroku, więc też mu się przyglądałem. Miał ciemną karnację, choć jaśniejszą niż członkowie Domu Sokoła lub Valisty. Sięgające ramion włosy wykazywały pewne skłonności do skręcania się i sprawiały wrażenie z lekka zapomnianych. Siedział nieco sztywno, jakby był gotów do akcji lub też nie do końca czuł się swobodnie. Głową poruszał szybko i energicznie.

W końcu odstawił kielich i odezwał się.

— No dobrze, Jheregu. Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Sądząc po tonie, uznał, że będzie to bardziej obraźliwe od „Wąsatego”.

— Sądziłem, że wiem — odparłem. — Mogłem oczywiście zostać wprowadzony w błąd.

— Wysoce prawdopodobne.

— Skoro tak, to może będzie pan łaskaw mnie oświecić.

— Mam taki zamiar — oznajmił i umilkł.

Nadal się na mnie gapił i zaczynałem mieć wrażenie, że robi to głównie po to, by mnie zirytować. Albo wypróbować, co w moim wypadku daje dokładnie taki sam efekt.

Jeżeli jest się człowiekiem i należy się do Domu Jherega, trzeba się spodziewać, że od czasu do czasu będzie się obrażanym. Jeżeli chce się pozostać wśród żywych, nie na wszystkie obelgi należy reagować. Co nie jest równoznaczne z niereagowaniem na żadną. Ponieważ sytuacja zaczynała mi działać na nerwy, powiedziałem:

— Wygląda na to, szlachetny Smoku, że chcesz mi coś powiedzieć.

Prawie uśmiechnął się półgębkiem, nim odparł:

— Owszem. Pewien twój pracownik pojawił się w Górze Dzur.

Jak się dowiedziałeś, jakiś czas temu złożył mi wizytę w związku z negocjacjami dotyczącymi niewielkiej transakcji dotyczącej pewnej nieruchomości. Chciałbyś dowiedzieć się, gdzie on przebywa, bo wygląda na to, że jak to mówią, prysnął ze srebrami rodowymi.

— Wygląda na to, że to wszystko już wiem.

— Zgadza się. Chcesz go zabić, tylko nie znalazłeś nikogo, kto byłby gotów udać się do Góry Dzur. Pomyślałeś więc, żeby złożyć mi wizytę i dowiedzieć się, co wiem na temat Sethry Lavode. Poza legendami i plotkami, które już znasz.

Poza tym, że mnie zirytował, także zaniepokoił przenikliwością. Nadęty dupek, ale bez dwóch zdań inteligentny i dysponujący doskonałymi źródłami informacji. Nie wspominając już o tym, że mag, i to noszący naprawdę potężną broń. No i znajdowałem się w jego zamku. Zdecydowałem się pozostać uprzejmym:

— Rzeczywiście jego postępowanie zmusiło mnie do działania, a w tych okolicznościach moje zainteresowanie Górą Dzur jest raczej zrozumiałe. Byłbym wdzięczny za wszelkie informacje dotyczące zarówno jej, jak i jej mieszkańców.

Morrolan przyglądał mi się z miną, która była czymś pomiędzy ironicznym uśmiechem, a zirytowanym grymasem.

— Doskonale. Odpowiedz mi więc na jedno pytanie: chcesz odnaleźć swego pracownika?

Przez moment analizowałem możliwe dwuznaczności kryjące się w pytaniu, nim odpowiedziałem zwięźle:

— Tak.

— Pięknie. W takim razie poszukajmy go.

I wstał.

Zrobiłem to samo. Podszedł do mnie i skoncentrował się przez

moment. Miałem dwie możliwości: wykorzystać okazję, która mogła się nie powtórzyć, lub wycofać się. W tym interesie trzeba ryzykować, więc wykorzystałem okazję. Mój żołądek wywinął kozła i ściany salonu zniknęły.

Rozdział trzeci

W pobliżu prawej dłoni znalazł się nóż, a w pobliżu lewej rozmaite zioła i inne rzeczy. Nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć, co dokładnie wyjąłem z przyniesionych zapasów, ale zauważyłem sznur o dziewięciu węzłach, gałązkę jesionu w kształcie głowy byka, małe miedziany dzbanek, kość z nogi łośa, kawałek splecionej skóry i kilka innych drobiazgów. Ciekaw byłem, co zamierzam z nimi zrobić.

Morrolan pierwszy przerwał ciszę.

— Witamy w Górze Dzur.

Mój żołądek robił, co mógł, by mu odpowiedzieć.

Poczułem, że mam miękkie nogi, i na wszelki wypadek oparłem się o skalną ścianę otaczającą niewielką platformę, na której się znaleźliśmy. Prowadziło z niej tylko jedno wyjście — wąskie, pnące się w górę schody. Platformę oświetlała jedna umieszczona w uchwycie pochodnia, a sądząc po warstwie sadzy nad nią, w ten sposób oświetlano ją od dawna. Miejsce to, choć nieczęsto używane, było przygotowane na przybycie gości.

Zrobiłem co mogłem, by spacyfikować żołądek, nie dając tego po sobie poznać.

— Urocze miejsce — wykrztusiłem.

Morrolan postawił stopę na najniższym stopniu.

— Tędy proszę.

By zyskać na czasie, spytałem:

— Sethra Lavode?

— Oczekuje nas.

— Aha.

Wziąłem kilka głębszych oddechów i ruszyłem w ślad za nim. Schody były równie strome, co wąskie — widać było, że wykonano je z myślą o Dragaerianach, którzy mają dłuższe nogi niż ludzie. Stopni było naprawdę dużo.

Po dłuższej chwili schody zaczęły skręcać delikatnie w lewo i minęliśmy okno. Zaryzykowałem szybkie spojrzenie — faktycznie byliśmy wysoko. Gdybym miał czas, sądzę, że zająłbym się podziwianiem widoku świerków i malowniczej doliny. Nie miałem go jednak, a na dodatek przez okno wpadał ostry, zimny wiatr. Niesiony przez niego chłód był odczuwalny jeszcze przez kawałek drogi, ale nie narzekałem, bo żołądek zgodził się wrócić na swoje miejsce i przestać protestować.

Morrolan trzymał się cały czas dwa stopnie wyżej. Wyglądało na to, że ma do mnie zaufanie, skoro tak długo kusił mnie widokiem swoich pleców. Z drugiej strony, moje oczy znajdowały się na poziomie pochwy jego miecza, więc aż tak wiele nie ryzykował. Dłuższy czas wspinaliśmy się w milczeniu. W końcu nie wytrzymałem:

— Z całym szacunkiem, lordzie Morrolan...

Zatrzymał się i odwrócił.

— Tak, mój dobry Jheregu?

— Mógłby pan z łaski swojej oświecić mnie biednego, co się tu, do cholery, dzieje?!

Uśmiechnął się zagadkowo i ponownie ruszył w górę.

Zduśłem przekleństwo i poszedłem za nim.

Po paru stopniach spytał przez ramię, nie kryjąc ironii:

— Mógłbym prosić o nieco precyzyjniejsze pytanie?

— Na przykład dlaczego zgodził się pan ze mną spotkać?

Bardziej zobaczyłem, niż usłyszałem, że zachichotał.

— Głupotą byłoby tego nie zrobić, skoro zadaliśmy sobie

wpierw tyle trudu — odparł.

Coś zimnego przemaszerowało mi po krzyżu.

Dopiero po przejściu kolejnych kilku stopni spytałem:

— A więc zaplanował pan sprowadzenie mnie do siebie?

— Jako prosty sposób. Znacznie trudniej byłoby przekonać cię, żebyś przybył bezpośrednio do Góry Dzur.

— Aha... no tak... ale głupio, że sam na to nie wpadłem.

— Zgadza się.

Zacisnąłem zęby. Miałem przed oczami pochwę jego miecza i czułem głód ostrza.

— No dobrze — powiedziałem na tyle spokojnie, na ile mogłem. — Jestem w Górze Dzur. Po co?

Nie odwracając się, rzucił:

— Trochę cierpliwości. Wkrótce wszystko będzie jasne.

— Aha.

Zamilkłem, analizując usłyszane rewelacje. Wyglądało na to, że wkrótce spotkam Sethrę Lavode, której byłem do czegoś potrzebny. Problem w tym, że nie mogłem się zorientować do czego. Z tego co wiedziałem, nie miała powodu, by chcieć mnie zabić, a poza tym gdyby chciała, Morrolan mógł to już za nią załatwić parę razy. O co więc tu chodziło?

W końcu spytałem:

— W takim razie co z Quionem?

— Z kim?

— Z tym jegomościem, który mnie okradł i teleportował się prosto tutaj.

— A, z nim. Wrobiliśmy go. Otrzymał informację sugerującą, że może tu być bezpieczny. Informacja była niezgodna z prawdą.

— Rozumiem.

Znów kilka minut wspinaliśmy się w milczeniu. W końcu nie

wytrzymałem i spytałem:

— Daleko jeszcze?

— Niedaleko, jak sędzę. Zmęczyłeś się?

— Trochę — odparłem odruchowo, zastanawiając się nad tym „jak sędzę”. — Jest pan tu częstym gościem, lordzie Morrolan?

— O, tak. Często odwiedzam Sethrę.

I oto miałem zagwozdkę, której przeanalizowanie zajęło mi następny, spory kawałek schodów. No bo tak: skoro był tu częstym gościem, to dlaczego nie znał długości schodów? Ano dlatego, że z nich nie korzystał, czyli teleportował się w inne miejsce. W tym momencie minęliśmy masywne drewniane drzwi osadzone w lewej ścianie i szliśmy dalej. Skoro więc Morrolan tym razem wspinał się po długich i męczących schodach, robił to na moją cześć. Nie do końca tylko rozumiałem, dlaczego — czy żeby mnie zmęczyć, czy żeby wyrobić sobie o mnie opinię, czy też z obu powodów.

Powinienem mieć się na baczności po dojściu do tego wniosku, ale nic podobnego się nie stało. Zamiast tego zacząłem być zły. Z pewnym trudem udało mi się to zamaskować, gdy wróciłem do poprzedniego tematu.

— Myślę, że rozumiem, skąd pan wiedział, że Quion zjawi się ze złotem właśnie tutaj.

— Miło, że rozumiesz.

— Natomiast nie rozumiem, skąd pan wiedział, że ukradnie mi pieniądze.

— A, to było najłatwiejsze. Widzisz, trochę param się czarami. Podobnie jak ty, jak sędzę.

— Zgadza się.

— W takim razie obaj wiemy, że przy użyciu stosownego czaru można w czyimś umyśle umieścić odpowiednią sugestię, i to tak,

żeby osoba ta nie miała o niczym pojęcia. W tym przypadku zasugerowaliśmy mu, że byłby to dobry i bezpieczny pomysł. Sugestia okazała się skuteczna.

— Ty bękarcie! — wyrwało mi się, zanim zdążyłem się ugryźć w język.

Powiedzenie, co myślę, było błędem i natychmiast pożałowałem, że to zrobiłem, ale trafiła mnie taka cholera, że nie potrafiłem się powstrzymać.

Morrolan zamarł na moment, po czym odwrócił się z dłonią na rękojeści broni. Spojrzał na mnie z góry. Miał raczej paskudną minę, gdy spytał:

— Przepraszam, co powiedziałeś?

Obserwowałem jego oczy i nie odpowiedziałem — nie było sensu. Rozluźniłem ramiona. Największą szansę dawało użycie sztyletu, który miałem w lewym rękawie. Powinienem zdążyć go wyjąć prawą i doskoczyć mu do gardła. Jeśli pierwszy wyciągnę broń, mam szansę go zabić.

Z drugiej strony na pewno nie będzie to łatwe, ponieważ stał gotów do walki — odprężony i utrzymujący doskonałą równowagę. Najprawdopodobniej zdąży mnie pchnąć, gdy będę podrzynał mu gardło. A biorąc pod uwagę, czym mnie dziabnie...

— Ujmijmy to w ten sposób: jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego z którymkolwiek z moich podwładnych, wytnę ci serce i pokroję na drobne kawałki, zanim wbiję ci sztylet w mózg — powiedziałem z dziwnym spokojem.

— Naprawdę — zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie jak pytanie.

Uśmiechnął się ironicznie i bez ostrzeżenia cofnął o dwa stopnie. Szybki był cholernik, musiałem mu to przyznać. Jeszcze nie wy dobył broni z pochwy, ale i tak znacznie poprawił swoje

położenie. Teraz musiałem albo sięgnąć po rapier, albo ryzykować rzut nożem. Rapier przeciw mieczowi nie dawał dużych szans, a zadanie poważnej rany rzuconym nożem było bardziej kwestią przypadku niż umiejętności.

Nie odzywałem się — czekałem, aż wyciągnie miecz. On też czekał. Z lekko ugiętymi nogami i w doskonale wyważonej pozycji, mimo że lewą stopą opierał się o wyższy stopień. Czułem rękojeść noża ocierającą się o nadgarstek lewej dłoni i uznałem, że jedyną szansę daje mi rzut lewą z równoczesnym sięgnięciem po rapier prawą. Morrolan był szybszy, ale nadal miałem szansę.

Czekanie zaczęło się przeciągać.

W końcu uśmiechnął się, skłonił lekko i powiedział:

— W porządku, załatwimy to później.

I odwrócił się, spokojnie kontynuując marsz po schodach.

Mowę mi odebrało. Pokusa wsadzenia mu noża w plecy była ogromna, ale powstrzymał mnie instynkt samozachowawczy. Owszem, zabiłbym go bez trudu — i został we wnętrzu Góry Dzur, której absolutnie nie znałem. Co gorsza, razem z, jak sądzę, raczej zirytowaną Sethrą Lavode. Wątpiłem, by miała większe problemy z uniemożliwieniem mi teleportowania się, czy też z wytropieniem mnie i zabiciem.

No a poza tym była jeszcze kwestia Quiona i dwóch tysięcy imperiali w złocie.

Bez słowa ruszyłem za nim.

Minęliśmy jeszcze kilka par drzwi w lewej ścianie, które Morrolan zignorował, i wreszcie te przekłete schody skończyły się. Znaleźliśmy się w wąskim korytarzu, który stopniowo się rozszerzał. Ściany i podłoga były czarne i pozbawione jakichkolwiek ozdób. Oświetlenie zapewniały pochodnie tkwiące w uchwytych rozmieszczonych co kilkanaście kroków. Nie

rozpoznałem budulca, ale z pewnością nie był to obsydian, gdyż miał szorstką powierzchnię i pochłaniał raczej, niż odbijał, światło. W zamku Morrolana czerń robiła co mogła, by wyglądać złowieszczo, tutaj była złowieszcza, sugerując mroczne siły, i do tego potężne.

Dla Dragaerian czerń to barwa magii. Dla mnie jest po prostu ponura. Dragaerianie w pewnych kwestiach są szurnięci — wiedziałem to od dawna.

Z nudów zacząłem liczyć — okazało się, że pochodnie znajdują się co siedemnaście kroków.

Wreszcie dotarliśmy do jakichś drzwi, które Morrolan otworzył. Za nimi znajdowały się spiralne, żelazne schody. Kiedy je pokonaliśmy, znaleźliśmy się w szerokim korytarzu łagodnie biegnącym pod górę. Oświetlały go lampy, a drzwi, które mijaliśmy, były już ozdobne. Ściany nie. I nadal były czarne.

W końcu nie wytrzymałem:

— Nie ma prostszego sposobu, by dostać się do celu?

— Jest. Porwać cię.

Zatrzymał się przed dużymi drewnianymi drzwiami ozdobionymi płaskorzeźbą przedstawiającą gotowego do skoku dzura. Pchnął je i otworzyły się bezszelestnie.

Komnata, do której prowadziły, miała co najmniej trzydzieści stóp długości i podobną szerokość. Oświetlały ją świece i lampy. Meble wyglądały na funkcjonalne i wygodne, co nie zdarza się często. Naturalnie wszystkie wykonano z czarnego drewna i czarnej skóry.

Powstrzymałem się od komentarza.

Płomienie świec migotały, choć nie czułem przeciągu, rzucając tańczące cienie, toteż dopiero po paru sekundach zauważyłem, że w jednym z foteli ktoś siedzi. Przez długą chwilę nikt się nie

poruszył, a ja przyglądałem się siedzącej.

Była szczupła, twarz miała gładką, o ostrych rysach, otoczoną czarnymi, prostymi włosami. Być może Dragaerianin miałby inne odczucia — może wydałaby mu się pociągająca albo odpychająca — nie wiem. Była blada, nawet jak na Dragaeriankę. Jej karnacja ostro kontrastowała z otoczeniem i ze strojem, jako że naturalnie ubrana była na czarno. Od mankietów po stójkę kołnierzyka czerń.

Zaczynałem mieć serdecznie dość tego koloru.

Na piersiach, na cienkim złotym łańcuszku miała zawieszony imponujący rubin. Dłonie o długich palcach wydawały się jeszcze dłuższe, gdyż paznokcie miała spiłowane w szpic. Na środkowym palcu lewej ręki nosiła pierścień z całkiem sporym szmaragdem. Przyglądała mi się głębokimi oczyma, równocześnie starymi i bystrymi.

Wstała i dostrzegłem przy jej lewym boku błysk błękitu — wysadzaną klejnotami rękojeść długiego sztyletu. Poczulem jego głód — był przynajmniej równie potężny jak miecz Morrolana. Sztylet zniknął przysłonięty połą peleryny. Otuliła się nią i na tle czerni widać było teraz jedynie jej twarz z błyszczącymi niczym u wilka oczyma.

Sądzę, że chciała, żebym się poczuł jak w domu, gdyż w komnacie pojaśniało. Dzięki temu dostrzegłem o parę kroków przed sobą leżące na podłodze ciało Quiona. Leżał na piersiach i miał poderżnięte gardło. Krew była prawie niewidoczna na czarnym dywanie.

— Witam — powiedziała głosem dźwięcznym jak szkło i miękkim jak jedwab. — Jestem Sethra.

Cholera!

* * *

Wśród specyficznych ludzkich zwyczajów jest jeden dotyczący rocznicy urodzin. Jest to okazja do świętowania dla solenizanta zamiast uczczenia i podziękowania tym, dzięki którym pojawił się na tym świecie.

Swoje dziesiąte urodziny spędziłem z dziadkiem, głównie obserwując go przy pracy. Sprawilo mi to duzą radość, podobnie jak zadawanie mu pytań, gdy tylko w sklepie nie było klientów. Dowiedziałem się na przykład, że istnieją trzy rodzaje eliksirów miłosnych i że każdy zawiera zioła, które lepiej jest samemu wyhodować, niż kupić. Jakich ziół najlepiej używać do określonych rodzajów czarów, czy dlaczego należy się upewnić przed rozpoczęciem zaklęcia, że w pobliżu nie ma luster, czy innych odbijających powierzchni. Albo też jak skutecznie leczyć skurcze i bóle głowy oraz zapobiegać zakażeniom. Dziadek wytłumaczył mi także, gdzie szukać ksiąg zawierających czary i jak w najogólniejszy sposób odróżniać cenne czary od bzdur i nonsensów.

Kiedy zamknął sklepik, przenieśliśmy się do jego mieszkania i usiedliśmy na wygodnych fotelach naprzeciwko siebie. Ambrus wskoczył mu na ramię i zaczął mruzczeć.

— Popatrz na mnie — powiedział dziadek.

Zrobiłem, co kazał, nieco zaskoczony. Dziadek zaś mówił dalej.

— Usiądź wygodnie i udaj, że robisz się ciężki, dobrze? Czujesz, że jesteś ciężki i zapadasz się w fotel... Teraz patrz na moją twarz i myśl o mnie... zamknij oczy i spróbuj mnie zobaczyć, nie otwierając ich. Możesz to zrobić? Czujesz ciepło?... Nie mów nic. Czujesz, jakbyś unosił się na wodzie i było ci ciepło... Pomyśl o moim głosie, o tym, jak wypełnia on twoją

głowę. Posłuchaj, jak mój głos w niej dźwięczy... nie słuchaj niczego więcej, mój głos jest wszystkim. Teraz powiedz mi, ile masz lat?

Zaskoczył mnie trochę, no bo wyglądało na to, iż sądził, że usnąłem. Spróbowałem mu odpowiedzieć i zdziwiłem się, że wymagało to tyle wysiłku. W końcu powiedziałem:

— Dziesięć.

I otworzyłem oczy.

Dziadek uśmiechał się i nic nie mówił. Nie musiał. Już zaczynając mówić, zrozumiałem, że było to pierwsze od dłuższej chwili wypowiedziane na głos słowo w salonie.

* * *

Ostrożnie przekroczyłem trupa. Ostrożnie, gdyż potknąć się, czy pośliznąć byłoby zawstydzające. Mroczna lady Góry Dzur wskazała mi fotel. Usiadłem w innym; nie żeby zrobić jej na złość. Ten, który zająłem, był twardszy, co oznaczało, że mogłem w razie potrzeby szybciej się z niego zerwać. Nie ukrywałem sam przed sobą, że się boję.

To mnie nie zaskoczyło. Natomiast zaskoczyło mnie to, co poczułem na widok ciała Quiona. Fakt, miałem zamiar go zabić, gdy tylko go odnajdę, ale to nie to samo... widząc jego rozciągnięte na dywanie ciało, przypomniałem sobie, jak prosił, by go zatrudnić, jak przestał grać i wszystko... i jakoś mniej ważne było to, że mnie okradł i uciekł. Pewnie dlatego, że dowiedziałem się, iż to nie był jego pomysł.

Byłem przestraszony. Ale byłem też wściekły jak dzur złapany w pajęczynę chreothy.

Morrolan usiadł naprzeciwko, zaciskając zęby. Sam robię to,

kiedy jestem zdenerwowany, ale nie wiedziałem, czy u niego jest tak samo. Z mroku wyłonił się służący w czarnej liberii, ale ze srebrnym łbem smoka na lewej piersi. Proszę, proszę: służący z Domu Smoka. Choć z drugiej strony, z racji okrągłości twarzy i oczu bardziej przypominał Tsalmotha. Podobieństwo do niedźwiedziowatego nadrzecznego żółwia powiększały krzaczaste brwi i lekkie przygarbienie. Poruszał się wolno — musiał być naprawdę stary. I co chwila oblizywał wargi, sprawiając wrażenie nie całkiem normalnego. Dziwne i dziwniejsze.

Podał nam wysokie szklanki napełnione czymś o barwie liści klonu. Zdołał też jakoś przestąpić przez ciało, sprawiając wrażenie, jakby go tam w ogóle nie było. Najpierw obsłużył mnie, potem Morrolana, na końcu Sethrę, za której krzesłem znieruchomiał, nadal z tacą w dłoniach. Cały czas też omiatał wzrokiem pomieszczenie, jednakże nie poruszając przy tym głową. Zaciekawilo mnie, czy ruchy oczu i języka są w jakiś sposób zależne od siebie, ale miałem ważniejsze rzeczy do obserwowania. Napój okazał się słodkim likierem o delikatnym miętowym smaku.

Ponieważ nie chciałem gapić się na Sethrę, czy Morrolana, wpatrywałem się w ciało Quiona. Nie wiem jak oni, ale ja z zasady nie spędzałem towarzysko czasu z nieboszczykiem leżącym na podłodze, toteż nie całkiem wiedziałem, jakie obowiązują w takiej sytuacji reguły dobrego wychowania. Po paru łykach nie musiałem się tym już martwić — Sethra przejęła inicjatywę. Szepnęła coś służącemu i położyła mu na tacy sakiewkę. Ruszył w moją stronę, spoglądając wszędzie, tylko nie na mnie. Pojęcia nie mam, jakim cudem po drodze się o coś nie potknął. Faktem jest, że tego nie zrobił i dostarczył sakiewkę bez

problemów.

Kiedy stanął przede mną, Sethra powiedziała:

— Pożyczyliśmy sobie nieco twoich funduszy. Oddajemy.

Jakie miłe.

Przygryzłem wargę, próbując myśleć o różnościach, nim na tyle stracę panowanie nad sobą, że mnie zabiją. Zważyłem sakiewkę w dłoni, a służący w tym czasie skłonił się i wrócił na miejsce, czyli o krok w lewo za fotel Sethry. Przy okazji zauważyłem, że garbi się, tylko gdy stoi, zupełnie jak biegacz na linii startu. Kiwnąłem na niego. Zawahał się, spojrzął na Sethrę, mrugnął z dwanaście razy oczami i wreszcie podszedł.

— Potrzymaj tacę — poleciłem mu.

Zrobił, co kazałem, nadal na mnie nie patrząc.

Powoli odliczyłem tysiąc pięćset złotych imperiali. Resztę schowałem do sakiewki i poleciłem:

— Oddaj to swojej pani.

Poruszył ustami, jakby powtarzał polecenie, dzięki czemu dostrzegłem, że ma spore braki w uzębieniu, ale zaniósł jej tacę z gotówką.

Sethra spojrzała na mnie.

Nie opuściłem wzroku.

W końcu przerwała ciszę:

— To...?

— Standardowa zapłata za „robotę”, którą wykonałaś za mnie — wyjaśniłem, wskazując trupa. — Fachowo...

W tym momencie taca wyleciała w powietrze, złoto rozsypało się, a Sethra Lavode zerwała się, łapiąc za rękajeść sztyletu. Morrolan także był już na nogach. I przysięgłbym, że warknął.

Uprzejmie wytrzeszczyłem oczy, robiąc za wcielenie zaskoczonej niewinności i mając pod palcami obu dłoni rękajeści

noży do rzucania. Czułem mieszankę strachu i złości, która zazwyczaj oznaczała, że zaraz ktoś dozna uszczerbku na zdrowiu.

Zaskakujące, ale Sethra nie dobyła broni.

Ba, nawet uniosła dłoń, powstrzymując przed tym Morrolana. Po czym zaskoczyła mnie jeszcze bardziej: uśmiechnęła się lekko i nieznacznie skinęła głową. I usiadła, spoglądając znacząco na Morrolana.

Również usiadł, posyłając mi wymowne spojrzenie.

Też uważałem, że jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

Służący zaś zajął się metodycznym zbieraniem sztuk złota i umieszczaniem ich na tacy. Trochę mu to zajęło; abstrakcyjnie niejako byłem ciekaw, czy przy okazji wziął coś dla siebie.

Ponownie to Sethra przerwała milczenie.

— W porządku. Zrozumiałam, co chciałeś powiedzieć. Możemy przejść do interesów?

Aha. Zaczynało się robić ciekawie.

Odchrząknąłem i spytałem:

— Chcesz kupić tytuł w Domu Jherega? Da się załatwić. A może...

— Dość! — wrzasnął Morrolan.

I miał całkowitą rację.

Gdy ktoś posuwa się za daleko, gniew staje się silniejszy od instynktu samozachowawczego. Przynajmniej u mnie.

— Lordowie z Domu Smoka, nie wiem, o jakich interesach chcecie ze mną rozmawiać, i mam to, prawdę mówiąc, gdzieś. Przeszkodziliście mi w pracy, zabiliście mojego pracownika, oszukaliście mnie i grozicie mi. Teraz chcecie rozmawiać o interesach? Gadajcie sobie do woli.

I siadłem wygodnie, założyłem nogę na nogę i skrzyżowałem

ręce na piersi.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w sposób wskazujący na to, że równocześnie rozmawiali telepatycznie. Po minucie sięgnąłem po likier — musieli mieć sobie naprawdę dużo do powiedzenia. Nie dziwiło mnie to. Służący skończył zbierać gotówkę. Podszedł z tacą do Sethry.

Ta spojrzała na niego, że aż mi się chłodniej zrobiło. Skrzywił się, postął i w końcu zrezygnowany odstawił tacę na najbliższy stolik. Sethra spojrzała wreszcie na mnie i powiedziała:

— Nie wiem, co powiedzieć. Sądziliśmy, że ucieszy pana to, że zabiliśmy złodzieja i zaoszczędziliśmy panu kłopotu...

Proszę, przeszliśmy na „pan”!

— A kto powiedział, że mam zamiar go zabić?! — przerwałem jej.

To, że miałem ten zamiar, to jedno, a głośne przyznanie się do tego, i to jeszcze im, to zupełnie coś innego.

— A co się tyczy kłopotów, to nie musiałbym go szukać, gdybyście nie...

— Proszę, lordzie Taltos! — powiedziała Sethra.

I zabrzmiało to tak szczerze, że mi mowę odebrało.

Skorzystała z tego i dodała:

— Zapewniam pana, że pomogliśmy mu jedynie wybrać odpowiedni czas do kradzieży. Zna się pan na czarach i wie pan, że czar Morrolana nie poskutkowałby w stosunku do kogoś, kto nie byłby podatny na zawartą w nim sugestię. Gdyby Quion nie nosił się z zamiarem okradzenia pana, nie udałoby się go do tego namówić. Nasz błąd polegał na tym, że wiedząc, iż jest pan człowiekiem należącym do Domu Jherega, spodziewaliśmy się, że zareaguje pan tak samo jak Dragaerianin będący Jheregiem. Większość byłaby szczęśliwa, uzgadniając propozycję interesu,

nieważne w jakich okolicznościach wysuniętą. Zignorowaliśmy fakt, że nie jest pan Dragaerianinem. Popełniliśmy błąd. Przepraszamy.

Ugryzłem się w język i zacząłem myśleć.

Poczułbym się lepiej, gdyby to Morrolan wygłosił przeprosiny, ale mówiła w liczbie mnogiej, a coś mi się zdawało, że może być ważniejsza w tym tandemie. Poza tym byłem pewien, że Wiedźma z Góry Dzur nie jest przyzwyczajona do przepraszania. Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, czy mówiła prawdę, czy improwizowała, będąc dobrą aktorką. Postanowiłem przyjąć, że mówiła prawdę — w ten sposób mogłem spokojnie wysłuchać propozycji, która, przyznam, zaczęła mnie intrygować.

Skoro zaczęła być uprzejma, nic mi nie szkodziło odpowiedzieć tym samym:

— Czy miałyby pani coś przeciwko temu, aby wyjaśnić mi, dlaczego w ogóle zadaliście sobie tyle trudu?

— Skoro pan sobie tego życzy. Proszę mi powiedzieć: czy istniał inny sposób, byśmy byli w stanie pana tu sprowadzić?

— Zapłacenie mi byłoby skuteczniejsze.

— Naprawdę?

Zastanowiłem się dokładniej. Miała rację — gdyby zaproponowali mi kwotę wystarczającą, aby była atrakcyjna, równocześnie wzbudziłiby moje podejrzenia.

— No dobrze — przyznałem. — Ale skoro chcieliście ze mną porozmawiać, mogliście przyjść do mojego biura. Wszyscy wiedzą, gdzie...

— Chwilowo nie mogę opuścić Góry Dzur, więc jest to niemożliwe.

— A on?

Uśmiechnęła się lekko.

— Chciałam się z panem zobaczyć osobiście. I jak widać, dobrze się stało. Poza tym mogłabym mieć pewne problemy z przekonaniem go, aby zgodził się pójść do biura Jherega.

Morrolan prychnął, co uznałem za potwierdzenie.

— No dobrze — przyznałem. — Zostałem przekonany, że jesteście sprytni i przewidujący.

I umilkłem.

Oni też milczeli, najwyraźniej czekając, co powiem. A ja byłem coraz bardziej zaciekawiony. O swoje życie przestałem się praktycznie bać — skoro aż tak im byłem potrzebny, nie zabiją mnie, przynajmniej dopóki tego czegoś nie zrobię.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

— W takim razie przejdźmy do interesów. Po co jestem wam potrzebny, bo po coś jestem, prawda?

Sethra posłała Morrolanowi spojrzenie, którego znaczenia nie potrafiłem odgadnąć, i przyznała:

— Tak. Jest coś, co chcielibyśmy, by pan zrobił.

Czekałem cierpliwie.

— To wymaga dłuższych wyjaśnień — dodała wreszcie.

* * *

W dziesiątym roku życia coraz więcej czasu spędzałem z dziadkiem. Ojcu się to coraz bardziej nie podobało, ale miałem to gdzieś. Noish—pa za to był zachwycony moim zainteresowaniem czarami. Nauczył mnie rozmawiać telepatycznie, wyciągać rzeczy, które widziałem w jego umyśle, i zabierał mnie na wycieczki we własne wspomnienia. To w jego umyśle widziałem, jak wygląda błękitne niebo z białymi chmurami i żółtym, ciepłym i jasnym słońcem, w które nie da się patrzeć, bo oczy bolą. I jak

wyglądają gwiazdy na nocnym niebie. Albo góry.

Ojciec, chcąc mnie odciągnąć od dziadka, najął maga, by mnie uczył. Był to młodzian z Domu Jherega, równie sympatyczny jak jhergaala (nie lubię ani ciem, ani żab, a to dwie z kilku faz rozwoju tego bagiennego stwora). Nienawidził mnie, a ja go nie lubiłem, ale uczył mnie rzetelnie, a ja się przykładałem, choć nie aż tak, jak bym mógł. O tym, ile to ojca kosztowało, wolałem nie myśleć, a sam mi tego nie powiedział.

I tak to trwało aż do śmierci ojca — dziadek uczył mnie czarów, tamten magii. Dziadek szermierki, jak to określał „ludzką modą”, czyli bokiem do przeciwnika, co równoważyło różnicę w zasięgu rąk i większą siłę elfów. Ojciec najął fechmistrza, który robił co mógł, by nauczyć mnie techniki Dragaerian — przodem, ciężkim rapierem i sztyletem równocześnie. Szło mu niesporo, a to z tego prostego powodu, że nawet ćwiczebna broń wykonana z drewna była dla mnie zbyt ciężka i nieporęczna.

Podejrzewam, że gdyby ojciec kiedykolwiek powiedział dziadkowi, żeby przestał mnie uczyć tego czy tamtego, noish—pa by tak postąpił. Nigdy tego nie zrobił — dawał do zrozumienia spojrzeniami, czasami narzekał, ale nigdy otwarcie o tym ani z dziadkiem, ani ze mną nie rozmawiał. Sądzę, że był tak głęboko przekonany o wyższości wszystkiego, co dragaeriańskie, nad tym, co ludzkie, że spodziewał się iż sam się o tym przekonam, dorastając. Biedny głupek.

* * *

Sethra Lavode przyglądała się podłodze z miną wskazującą, że próbuje znaleźć sposób delikatnego powiedzenia czegoś

niemięgo. Sam czasami miewam podobny problem. Potem leciutko kiwnęła głową, spojrzała na mnie i spytała:

— Zna pan różnicę między magiem, a czarownikiem?

— Sądzę, że tak.

— Niewielu potrafi osiągnąć naprawdę wysoki poziom w magii, nekromancji i innych pokrewnych dyscyplinach, a jeszcze mniej skutecznie je łączy. Większość magów należy do Domu Athyry lub do Domu Dzura. Loraan to Athyra.

— Jak ma na imię? — spytałem.

— Loraan.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Byłabym zdziwiona, gdyby było inaczej, jako że nigdy nie dokonał niczego godnego uwagi. Zajmuje się badaniem magii i wyszukiwaniem nowych jej zastosowań, jak zresztą większość magów z Domu Athyry. Odkrył na przykład sposób chwilowego przechowywania w cieczech ostatnich myśli umierającego. Próbuje znaleźć wiarygodniejsze sposoby komunikowania się ze zmarłymi przy użyciu... — i taka wyliczanka rozmaitych umiejętności według mnie nikomu do niczego niepotrzebnych trwała kilka minut.

Kiedy Sethra umilkła na moment, wtrąciłem:

— Rozumiem. Jest dobry w tym, co robi. Do czego ja jestem wam potrzebny?

Uśmiechnęła się i wyjaśniła:

— Jest w posiadaniu pewnej laski lub dużej różdżki zawierającej ciekawostkę: duszę osoby, która nie jest ani martwa, ani żywa, ponieważ nie może dotrzeć ani na Płaszczyznę Oczekujących Dusz, ani na Ścieżki Umarłych, ani...

— Jasne — przerwałem jej ponownie.

Morrolan drgnął niespokojnie, najwyraźniej zaczynając tracić

panowanie nad sobą, ale nic nie powiedział. Musieli mnie naprawdę potrzebować.

Sethra dodała spokojnie:

— Rozmawialiśmy z nim długo i dokładnie, ale uparł się zatrzymać tę duszę w obecnym stanie uwięzienia. Uważa, i słusznie, że jest to dla niego kopalnia informacji, a tylko praca się dla niego liczy. Cały artefakt wszedł w jego posiadanie przypadkiem tuż po zakończeniu Bezkrólewia i nie chce się go pozbyć. Próbowaliśmy wymienić go na inne i to od paru tygodni, odkąd dowiedzieliśmy się, gdzie on jest. Musi pan bowiem wiedzieć, lordzie Taltos, że poszukiwaliśmy go ponad dwieście lat.

Zaczynałem rozumieć, w czym rzecz, i wcale mi się to nie podobało. Postanowiłem nie ułatwiać jej zadania.

— Rozumiem, że bardzo wam na tym zależy. A czego chcecie ode mnie?

— Żeby włamał się pan do jego zamku i ukradł ów artefakt.

Popatrzyłem na nią wymownie i powiedziałem po chwili:

— Próbuję znaleźć uprzejmy sposób powiedzenia pani, żeby pani to sobie wybiła z głowy, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to zwrot „padnij wpierw trupem”.

— Nie musi się pan silić na uprzejmość — odparła z uśmiechem, od którego zrobiło mi się zimno. — Zmarłam przed Bezkrólewem. Podejmie się pan tego?

Rozdział czwarty

Ująłem nóż, który nosiłem tak długo, a używałem tak rzadko. Ten o rękojeści z hebanu wysadzanej rubinami i cienkiej, tępej klindze z czystego srebra. Nie był aż tak drogi, na jaki wyglądał. A wyglądał, jakby kosztował majątek.

Ująłem ostrze kciukiem i palcem wskazującym gdzieś tak w połowie długości, potem klęknąłem tak powoli, że nogi zaczęły mi drżeć. Równie wolno dotknąłem czubkiem ostrza ziemi i na moment zamarłem, przyglądając jej się uważnie. Była czarna i sucha, i zastanowiło mnie, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem. Przesunąłem po niej lewą dłoń i roztarłem między palcami. Zmieniła się w drobniutki, bardzo zimny pył.

Dość.

Ponownie skupiłem uwagę na nożu. Wolno i starannie wyryłem runę „otrzymać”. Runy to język czarów, bezsensowny w tym czasie i miejscu, ale dawały mi punkt pozwalający skoncentrować uwagę i do tego właśnie ta była mi potrzebna. Wyrysowałem wokół niej koło i odłożyłem nóż. Przyjrzałem się całości, czekając na właściwy moment, by zacząć.

Byłem świadom pazurów Loiosha na prawym ramieniu, choć bardziej zaciskały się tam, niż opierały, zupełnie jakby wydarzenia kilku ostatnich dni nie miały nań żadnego wpływu. Wiedziałem, że tak nie jest, ale teraz stanowił ostoję spokoju, słup lodu, to, co utrzymywało mnie w równowadze zmysłów. Każdy, kto by sądził, że nie było to ważne, okazałby się znacznie większym durniem niż ja.

Nadeszła stosowna chwila i rozpocząłem następny etap.

Sala nie miała okien, ale musiała znajdować się w pobliżu zewnętrznej ściany, gdyż słyszałem krakanie kruka, czy ryk polującego dzura. Odległe, fakt, ale słyszałem. Zastanowiło mnie, czy są tam i smoki, nie licząc naturalnie paki, którą miałem przed oczyma. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego sala mająca wspólną ścianę z otaczającym ją światem zewnętrznym nie posiadała okna. Jedynym rozsądnym powodem było to, że Sethra była jeszcze większą paranoiczką niż ja: przez okno można wyglądać, ale można i zaglądać do wnętrza...

Płomienie świec zamigotały, cienie zatańczyły, a ja spytałem:

— No dobrze. Skoro tak wam na tym zależy, to dlaczego po prostu tam nie wpadliście i nie zabraliście tej laski czy też różdżki?

— Ponieważ nie jesteśmy w stanie — przyznał z niechęcią Morrolan.

Sethra przytaknęła ruchem głowy i dodała:

— Do domu maga z Domu Athyry nie da się wpaść. Może gdybym mogła opuścić Górę Dzur... ale nie mogę, więc to bez znaczenia.

— Aha. No dobra, nie wiem, co o mnie wiecie, ale nie jestem złodziejem. Kradzieże to po prostu nie moja specjalność i nie mam pojęcia, dlaczego wpadliście na pomysł, że...

— Wiemy całkiem sporo o pańskich talentach i zajęciu — przerwała mi Sethra.

Oblizalem usta i powiedziałem tak spokojnie, jak umiałem:

— W takim razie wiecie, że nie jestem...

— Profesja pokrewna — przerwał mi Morrolan. — A na zamkach i dyskretnym wchodzeniu do budynków zna się pan, lordzie Taltos.

Zanim zdążyłem się odezwać, Sethra dodała:

— A podstawową sprawą jest specyficzna natura systemu alarmowego Loraana.

— O? — zdziwiłem się zaintrygowany. — Co w nim jest takiego specyficznego?

— Cały zamek otoczony jest magicznymi alarmami tak założonymi, żeby śledziły każdego, kto znajduje się wewnątrz. W ten sposób każdy intruz zostaje natychmiast wykryty, a gospodarz poinformowany o tym, gdzie się on znajduje. Ani Morrolan, ani ja nie mamy wystarczających umiejętności, by unieszkodliwić ten alarm.

— A ja to niby je mam?

— Jego system alarmowy nie reaguje na ludzi — dodał Morrolan. — Tylko na Dragaerian.

Przyznaję, że mnie zaskoczył.

— Jesteście pewni? — spytałem po chwili.

— Tak — odparła Sethra. — I wiemy też, że pokłada takie zaufanie w tym systemie, że prawie nie ma innych zabezpieczeń.

— Wiecie, jaki jest rozkład pomieszczeń?

— Nie. Ale jestem pewna, że dysponuje pan stosownymi możliwościami.

— Może.

— Morrolan będzie gotów pomóc panu, gdy tylko znajdzie się pan w środku — dodała.

Z pewnym zaniepokojeniem stwierdziłem, że założyła, iż zgodzę się na udział w tym wariactwie, czyli że może poważnie się zirytować, kiedy jej powiem, że nie mam takiego zamiaru. Problem polegał na tym, że cała sprawa zaczęła mnie nie tylko ciekawić, ale wręcz fascynować. Morrolan przyglądał mi się i to on przerwał milczenie.

— I co?

— Co i co?

— Podejmie się pan tego?

Potrząsnąłem głową z żalem większym, niż sądziłem.

— Przykro mi, ale kradzieże nie są moją mocną stroną i jak już mówiłem, nie sądzę, bym dał sobie radę.

— Da pan sobie radę — zapewnił mnie.

— Pewno.

— I jest pan człowiekiem.

Obejrzałem swoje nogi, ręce i resztę.

— Naprawdę? — ucieszyłem się. — Jak miło.

Sethra Lavode uznała za właściwe wtrącić się do pogawędki:

— Osoba, której dusza jest uwięziona w tym przedmiocie, jest nam bliska.

— Przykro mi to słyszeć, ale nie...

— Siedem tysięcy imperiali w złocie — oznajmiła.

Mowę odzyskałem po paru sekundach:

— Aż tak bliska?

Oboje uśmiechnęliśmy się równocześnie.

— Z góry — dodałem.

* * *

Mój dziadek jest osobą religijną, choć w nienachalny sposób i nigdy mnie nie nawracał. Ojciec odrzucił bogów przodków podobnie jak wszystko, co ludzkie. Naturalną kolejną rzeczą zacząłem więc wypytywać o nich dziadka, co czasami miało dość dziwny skutek.

— Ale Dragaerianie też czczą Verre — powiedziałem kiedyś.

— Nie nazywaj jej tak. Powinieneś nazywać ją Boginią Demonów.

— Dlaczego?

— Bo może poczuć się urażona, że wymawiasz jej imię.

— Jakoś nie zauważyłem, żeby była z tego powodu zła na Dragaerian.

— Nie jesteśmy elfami i inaczej czcimy bogów. Tak, wielu ją zna, ale uważają ją jedynie za osobę mającą moc i umiejętności. Nie rozumieją tak jak my koncepcji bogini.

— A jeżeli oni mają rację, a nie my?

— Vladimir, to nie jest kwestia racji. To różnica między krwią ludzi, elfów i bogów.

Zastanowiłem się nad tym, ale nadal nie miało to sensu. Wobec tego spytałem:

— A jaka ona jest?

— Zmienna, jeśli chodzi o nastroje, ale odpowiada na lojalność. Może ochroni cię, kiedy znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

— Jest podobna do Barlana?

— Jest jego przeciwieństwem pod każdym względem.

— Ale są kochankami!

— Kto ci to powiedział?

— Jakiś elf.

— Cóż, może i są, ale to nie mój problem i ciebie też to nie powinno interesować.

— A dlaczego ty ją czcisz, a nie Barlana?

— Bo to ona jest patronką naszej ziemi.

Zatrzymało mnie to na moment, ale nie wyczerpało pytań:

— Czy to prawda, że lubi krwawe ofiary? Elfy tak mówią.

Dziadek przez długą chwilę nic nie powiedział, a gdy się odezwał, zrobił to nader uroczyście:

— Są inne sposoby, by ją czcić i zwrócić jej uwagę. W naszej

rodzinie nie składamy krwawych ofiar. Rozumiesz, Vlad?

— Rozumiem, noish—pa.

— Nigdy nie złożysz jej ofiary z krwi ani nie ofiarujesz jej żadnej duszy. Ani jej, ani żadnemu innemu bogowi.

— Dobrze, dziadku. Obiecuję.

— Przysięgniesz na swoją moc czarownicy i na swoją krew jako mój wnuk?

— Tak, noish—pa. Przysięgam.

— Słusznie zrobiłem, Vladimir.

— Ale dlaczego?

Potrząsnął głową i odparł:

— Pewnego dnia zrozumiesz.

Była to jedna z naprawdę niewielu rzeczy, w których dziadek nie miał racji.

Nigdy tego nie zrozumiałem.

* * *

Teleport powrotny do biura był równie miły jak wszystkie poprzednie. Jako że był wczesny wieczór, salony gier prosperowały w najlepsze. Ten za zielarnią także. Melestav już wyszedł, toteż sądziłem, że biuro jest puste, zanim nie dostrzegłem Kragara siedzącego za biurkiem sekretarza. Loiosh natychmiast siadł mi na ramieniu i polizał w ucho.

„W porządku, szefie?”

„Cóż...”

„Co się stało?”

„Trudno to szybko wyjaśnić. Chcesz zostać złodziejem?”

„Rozszerzamy atrakcyjną ofertę dla klientów?”

— Jak poszło, Vlad?

— Mam parę dobrych wieści: jak widzisz, żyję i nikt mnie nie uszkodził.

— Miłe. I?

— Sethra Lavode jest jak najbardziej prawdziwa.

Tym razem nic nie powiedział, tylko nadal przyglądał mi się wyczekująco.

„To co z tym złodziejstwem, szefie?”

„Zaraz do tego przejdę, Loiosh.”

— Poza tym, Kragar, sytuacja jest trochę skomplikowana, więc siadź sobie wygodnie, a ja ci opowiem, o co chodzi.

* * *

Byłoby miło, gdybym był w stanie określić, w którym momencie przestałem się bać elfów, a zacząłem odpłacać im pięknym za nadobne, ale nie potrafię. Na pewno nastąpiło to przed śmiercią ojca, a gdy zmarł, miałem czternaście lat. Umierał długo, co mnie niezbyt obeszło. Złapał jakąś zarazę i nie pozwolił dziadkowi się wyleczyć, bo Dragaerianin nie para się czarami. No, a on był elfem pełną gębą — kupił przecież tytuł w Domu Jherega.

Dureń.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zacząłem ich bardziej nienawidzić, niż się ich bać. Pamiętam za to pewne wydarzenie: miałem wówczas dwanaście lat i nosiłem już w portkach lepip zwany też łamigłówką. Było to nader użyteczne narzędzie wynalezione dawno temu przez ludzi. Kawał żelaza dobrany długością i wagą do potrzeb użytkownika i owinięty skórą, dzięki czemu nie zadawał ran ciętych. Jak wskazuje jego potoczna nazwa, nie służy on do zostawiania blizn, tylko do robienia

komuś poważnej krzywdy. Mogłem już całkiem sprawnie posługiwać się rapierem, ale dziadek nalegał, żebym go nie nosił, gdyż w ten sposób prowokować będę kłopoty. A jeśli już go wyjmę, oznaczać to będzie walkę na śmierć i życie, podczas gdy używając innych narzędzi, mogę jedynie poważnie kogoś skrzywdzić. Pod tym względem dziadek był dziwny — uważał, zdaje się, że zabijać można tylko w razie prawdziwej konieczności. Nawet zwierzęta. Lubiłem go jednak, toteż nie chodziłem z rapierem przy boku, tylko z lepipem w nogawce. Gdy podrosłem — w rękawie.

Wtedy wybrałem się rozmyślnie w rejon, w którym lubili się włóczyć najgorsi z moich prześladowców z Domu Orki. Naturalnie ledwie mnie zobaczyli, zaczęli mi wymyślać, a kiedy zezwalałem ich równie pięknie, wzięli się do bicia. Cóż, kolejny raz się okazało, że ręczny argument daje niesamowitą przewagę w różnych sytuacjach, jeśli się wie, jak go użyć.

Ja wiedziałem.

* * *

Usiadłem wygodniej w swoim fotelu i powiedziałem:

— Kragar, mam dla ciebie kolejne zadanie badawcze.

Wzniósł oczy do sufitu i spytał zrezygnowany:

— Wspaniale. O kogo tym razem chodzi?

— O maga z Domu Athyry. Niejakiego Loraana.

— W życiu o nim nie słyszałem.

— Co dowodzi, że nie znasz wszystkich interesujących osobników w okolicy. Potrzebuję kompletnego planu jego wieży, czy zamku z rozrysowaniem na piętra i wskazaniem, gdzie ma pracownię.

— Dobrze się czujesz?! Plan domu maga z Domu Athyry?! Jak ja go niby mam zdobyć?

— Skąd mam wiedzieć? Nigdy nie opowiadałeś mi, jak uzyskujesz potrzebne informacje.

— Vlad, dlaczego za każdym razem, jak robisz się pazerny, ja muszę nadstawiać karku?

— Bo w tym przypadku dostaniesz dziesięć procent.

— Z czego?

— Z całej kupy forsy.

— Czy „kupa” to więcej niż „sporo”?

— Sam sobie odpowiedz. Nie będą ci głupie myśli po głowie chodziły z nudów.

— Mnie?! Dobra, na kiedy to potrzebujesz? Tylko nie mów, że na...

— ...wczoraj. Brawo, zaczynasz być domyślny.

— Cholera! Wiedziałem. Limit kosztów?

— Żaden.

— Aha, zaczynam rozumieć, ile to „kupa”. Dam ci znać, jak coś będę miał.

* * *

Orientowałem się częściowo, w jaki sposób Kragar zdobywa potrzebne informacje, ale co i raz byłem pod wrażeniem jego osiągnięć albo czasu, w jakim zdołał tego dokonać. W tym wypadku obu. W ciągu dwóch dni, które spędziłem na zamknięciu dochodowego interesu hazardowego, dowiedział się czego trzeba. Naturalnie nie tylko ten interes wypełnił mi czas. Zdążyłem też przekonać kogoś, kto był dłużny pieniądze memu dobremu znajomemu, że spłacanie długów jednak się opłaca. I

odrzucałem lukratywną propozycję, która zajęłaby mnie na jakieś dwa tygodnie za godziwe wynagrodzenie, ale wymagała użycia sztyletu Morgantich.

Nie cierpię broni Morgantich.

Następny dzień obaj z Kragarem spędziliśmy nad zdobytymi przez niego mapami, wymyślając i odrzucając głupie plany. Powód był prosty — nie mogliśmy wpaść na mądry. Wobec tego odłożyliśmy sprawę na następny dzień.

* * *

Druga próba podjęta po dwóch dniach dała identyczne jak pierwsza rezultaty.

W końcu Kragar oznajmił:

— Sam pomysł, żeby włamać się do wieży maga z Domu Athyry, jest głupi, więc każdy sposób również musi być głupi.

Przyznaję, że było to odkrywcze stwierdzenie.

— Ano! — zgodziłem się.

— W takim razie zamknij oczy i wybierz któryś.

— Dobra.

I mniej więcej tak właśnie postąpiłem.

Parę następnych godzin spędziliśmy na usuwaniu z pomysłu co większych idiotyzmów. Potem Kragar wyszedł poczynić stosowne przygotowania.

A ja zamknąłem oczy i pomyślałem o Sethrze Lavode. Przypomniałem sobie jej twarz, spróbowałem „usłyszeć” jej głos... czyli, krótko mówiąc, spróbowałem nawiązać z nią kontakt telepatyczny.

Udało mi się nadspodziewanie łatwo.

„Kto?” — usłyszałem w pewnym momencie w swoim umyśle.

„Vlad Taltos.”

„Aha. O co chodzi?”

„Mam plan, jak się tam dostać. Muszę uzgodnić z wami zgranie czasowe, wsparcie i całą resztą.”

„Doskonale.”

Zajęło nam to z godzinę.

Po zakończeniu narady wcale nie czułem większej pewności siebie niż przed jej rozpoczęciem. Ale teraz już nie było odwrotu: przygotowania zostały zakończone, rozkazy wydane, testamenty sprawdzone.

A przynajmniej mój został.

Rozdział piąty

Czułem bliskość Loiosha tak fizyczną, jak i psychiczną... Z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że siedzę przed magiczną runą, którą narysowałem, choć nadal nie miałem pojęcia, dlaczego akurat ją.

Po prostu czułem, że tak trzeba.

Było cicho. Ledwie wyczuwalny wiatr szeptał mi do ucha sekrety. Wyraźnie usłyszałem szelest materiału, gdy Loiosh zmienił pozycję na moim ramieniu.

Zacząłem coś czuć... rytmiczne pulsowanie, wyczuwalne, ale niesłyszalne. Spróbowałem zidentyfikować jego źródło, ale udało mi się stwierdzić jedynie, że znajdowało się gdzieś w głębi mnie.

Dziwne.

Mogłem spróbować je zignorować albo spróbować je zrozumieć. Mogłem też spróbować je wykorzystać i włączyć w czar. Wybrałem to ostatnie i zacząłem się na tym koncentrować. Dragaerianina najpewniej zniecierpliwiałaby jego prostota, ale dla mnie był to pociągający, uspokajający rytm. Dziadek opowiadał mi, że tam, skąd pochodzimy, bębny często używane były przy rzucaniu czarów. Mogłem w to uwierzyć. Pozwoliłem, by pulsowanie ogarnęło mnie tak, że moja skóra zdawała się drzeć w jego rytmie.

Potem powoli wyciągnąłem prawą rękę ku ziołom i amuletom. Moja dłoń dotknęła czegoś, więc złapałem to i uniosłem przed oczy, gdyż cały czas nie poruszałem głową i nie patrzyłem, po co sięgam. Była to nać pietruszki. Wbiłem ją w środek runy. Powtórzyłem cały proces lewą ręką i złapałem bryłkę ziemi

przywiezioną ze Wschodu, gdzie mieszkali moi przodkowie.

Ziemia to wzmocnienie bezpiecznego przybycia, ale co mogła przedstawiać pietruszka, nie miałem pojęcia. Rozkruszyłem bryłkę nad pietruszką, następnie nad runą ustawiłem jedną białą świecę, którą złapałem, także nie patrząc. Zapaliłem ją, używając krzesiwa i papieru. Zapłonęła równym, jasnym ogniem. Tym jaśniejszym, że stanowiła jedyne źródło światła oprócz leciutkiej poświaty widocznej na niebie.

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że horyzont na wprost mnie zaczął migać i drgać, jakby tańcząc w rytm pulsowania nie istniejących bębnow. Zdecydowałem nie pozwolić się temu zdekoncentrować.

Zastanowiłem się nad następnym krokiem.

I czekałem.

Bardzo bogaty jegomość jechał wozem na szczyt wzgórza, ku wznoszącej się nań wieży. Wieża, bo to miano było najwłaściwsze dla pojedynczej, czworokątnej, wolno stojącej budowli, wykonana została z czerwonego kamienia i jedynie w połowie wznosiła się ponad poziom gruntu. Druga połowa znajdowała się pod ziemią.

Popularnym nieporozumieniem jest dosłowne przyjmowanie powiedzenia, że domostwa członków Domu Athyry nie mają drzwi. Chodzi o to, że aby móc się gdzieś teleportować, trzeba wiedzieć, jak wygląda miejsce docelowe. W przypadku magów z Domu Athyry (obojga płci) teleportacja jest niewykonalna, gdyż nikogo nie zapraszają do siebie, toteż nikt nie wie, jak wyglądają ich domy wewnątrz. O bloku teleportacyjnym jako standardowym środkiem ostrożności nie wspominając. A służbę dobierają tak, by nie miała pojęcia, jak się teleportuje.

Każdy zajmowany przez nich budynek ma drzwi i to co

najmniej dwoje: główne i dla służby oraz zapasów. Bo żaden mag nie będzie zaprzętał sobie głowy pilnowaniem dostaw takich przyziemnych rzeczy jak napoje czy jedzenie ani też przyrządzał własnych posiłków czy co gorsza sprzątał po sobie. On (lub ona) jest stworzony do wyższych celów.

I dlatego takie banalności jak: żywność, napoje czy zawodowi zabójcy dostarczani są wozami, a następnie wnoszeni do spiżarni czy piwniczki.

Jak dotąd nikt nie wymyślił stosownego magazynu podręcznego dla zabójców, głównie z powodu niewiedzy. Tym ostatnim jakoś to zresztą nie przeszkadza, podobnie jak i to, że żaden służący nie ogłasza ich przybycia. Przynajmniej mnie to nie przeszkadzało i nie przeszkadza. Sam swego przybycia — nawet gdybym chciał — nie mogłem ogłosić, gdyż siedziałem w baryłce oznaczonej: „Słodkie z Greenhill rocznik 637”.

A z całą pewnością nie zamierzał tego robić świeżo wzbogacony i równie przerażony chłop z Domu Teckli dostarczający do wieży zaopatrzenie. Naturalnie jeśli miał zamiar cieszyć się nowo uzyskanym bogactwem.

Miał zamiar, gdyż tego nie zrobił.

Nikt też nie widział, jak wydostawałem się z beczki. I bardzo dobrze. Nie wiem, co czuje wino po takim transporcie — ja czułem się podle, mimo że beczka była wewnątrz prowizorycznie wyściełana.

W końcu zdołałem z niej wyjść i rozprostować kości. Potem sprawdziłem, czy wszystko mam na miejscu, i przeciągnąłem się ponownie. A potem rozejrzałem się, porównując otoczenie z zapamiętanym planem kondygnacji... Aha... byłem w jednym z dwóch pomieszczeń, z których drzwi powinny prowadzić na ten sam korytarz... a dalej... dobrze...

„Co ja tu robię, do cholery?!”

„Szefie, parę głębszych oddechów!... Ślicznie. Zarabiasz kupę forsy.”

„Aha.”

„Jak się czujesz, szefie?”

„Przeżyję, Loiosh. A ty?”

„Chyba też.”

„Dobrze. Przypomnij mi, żebym już nigdy nie dał się zamknąć w beczce.”

„Oj, to, to!”

Pierwszym etapem było otwarcie drzwi.

Loraan co prawda nie powinien być w stanie odkryć użycia czarów, ale nie zamierzałem ryzykować. Przynajmniej dopóki nie musiałem.

Wyjąłem z kieszeni starannie zamkniętą buteleczkę oliwy, otworzyłem ją, przesmarowałem zawiasy i schowałem buteleczkę. Drzwi nie były zamknięte i uprzejmie otworzyły się bezszmerowo. Kiera dobrze mnie tego nauczyła, a profesja zabójcy utrzymywała w niezbędnej wprawie. W korytarzu nie było żadnego oświetlenia. I nie powinno być żadnych przypadkowo stojących przeszkód jak skrzynie, czy worki. Przynajmniej według źródeł Kragara. Do pomieszczenia, które wybrałem na kryjówkę, prowadziły moje ulubione drzwi (nie zamknięte).

Na wszelki wypadek także przesmarowałem zawiasy, nim je otworzyłem. Teraz pozostało tylko poczekać do wczesnych godzin rannych najbardziej nadających się do podobnych aktywności. Istniała co prawda minimalna szansa, że ktoś mnie przypadkiem odkryje, ale wartę trzymał Loiosh, a to oznaczało, że zdąży mnie obudzić na czas, żebym zabił natręta.

Jeśli zaś nic nieprzewidzianego nie nastąpi, obudzi mnie o określonej godzinie. Był pod tym względem bezkonkurencyjny. Podejrzewam, że sprawiało mu to dużą radość, ale się dobrze maskował. Otuliłem się peleryną, zamknąłem oczy.

I prawie natychmiast zasnąłem.

* * *

Adrilankha obejmuje większość hrabstwa Whitecrest, czyli wąskiego pasa lądu na południowym wybrzeżu. Słowo „Adrilankha” oznacza drapieżnego ptaka morskiego w tajemnym języku Domu Orki, którym od dawna nikt się już nie posługuje. Historia głosi, że pierwszy żeglarz, który zobaczył czerwone klify, ochrzcił je tak, gdyż wyglądały niczym tenże ptak z rozpostartymi skrzydłami i opuszczonym łbem (miejsce, w którym rzeka Sunset uchodzi do morza). Ten właśnie rejon został wybrany na port, wokół którego powstało miasto. Rozrosło się tak, iż obecnie jego większość znajduje się wysoko nad portem i sięga daleko w głąb lądu. Całość od strony morza też już niezbyt przypomina ptaka, gdyż północne skrzydło, z którego ponoć Kieron Zdobywca wypatrywał posiłków, zważyło się w morze paręset lat temu.

Południowe obfituje w miejsca, z których rozciąga się piękny widok na fale przyboju, statki i całą resztę marynistyki. Kiedy miałem dwanaście, trzynaście lat, często tam przesiadywałem, gapiąc się i nie myśląc o niczym szczególnym. Kiedyś pod koniec tego sielankowego okresu przyniosło tam jakiegoś marynarza z Domu Orki.

Od pierwszego rzutu oka było widać, że jest dorosły i pijany, więc na wszelki wypadek cofnąłem się od krawędzi zbocza

posłuszny instynktowi samozachowawczemu.

Zauważył to i spytał:

— Co, Wąsaty: nie masz dziś ochoty na kąpiel?

A kiedy nic nie odpowiedziałem, zażądał:

— Odpowiadaj! Chcesz pływać, czy nie?

Ponieważ nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy, nie odezwałem się.

Prychnął i oznajmił:

— Może powinieneś się wynosić, zanim sprawię ci kąpiel, czy tego chcesz, czy nie.

W sumie nie wiem, dlaczego nie odszedłem. Bałem się, bo był dorosły, musiał mieć koło dwóch tysięcy lat, bo dopiero wtedy u Dragaerian pojawiają się na twarzy zmarszczki, i wyglądał na znacznie groźniejszego przeciwnika niż nastolatki, z którymi miałem dotąd do czynienia. A zostałem i przyglądałem mu się. Zrobił krok w moim kierunku — może chciał mnie tylko przestraszyć.

Udało mu się. Wyciągnąłem z rękawa łamigłówkę.

Dostrzegł ją i roześmiał się:

— Myślisz, że mnie tym trafisz? Daj no, pokażę ci, jak się tego używa.

I podszedł z wyciągniętą ręką.

Dokładnie pamiętam chłodny spokój, jaki mnie ogarnął, gdy uzmysłowiłem sobie, że nie pozwolę sobie odebrać łamigłówki. To nie była banda rozwydrzonych gówniarzy szukających rozrywki — to był dorosły marynarz zaprawiony w bójkach. Wiedziałem, że podejmuję właśnie poważną decyzję, która będzie miała dalekosiężne skutki, choć tak bym tego wówczas nie ujął.

A potem zadziały odruchy.

Gdy tylko znalazł się w zasięgu moich rąk, trzepnąłem go na odlew w bok głowy. Zatoczył się i padł na kolana. Spojrzał na mnie i w jego oczach dostrzegłem, że teraz już na biciu się nie skończy. Teraz mnie zabije, jeśli tylko będzie miał okazję. Zaczął wstawać, więc zadałem drugi cios. Uchylił się, ale padł przez to na plecy, przetoczył się i znów był na kolanach plecami do krawędzi zbocza, które było o jakieś dwa kroki za nim.

Kiedy spróbował wstać, doskoczyłem i pchnąłem go z całych sił w pierś lepipem.

Wrzeszczał przez całą drogę w dół.

Plusk zagłuszyły fale przyboju.

Wsadziłem broń w rękaw i wróciłem prosto do domu, zastanawiając się, czy powinienem coś czuć.

* * *

„Szefie, pobudka!... Wstajemy, leniuchu jeden!... Cholera!... Jest tu sześciu Smoków i każdy chce ci dać wycisk!.. Co za łajza jedna!... Budzimy się!... No, mówię, że się budzimy!... Morze Chaosu właśnie się pojawiło za ścianą!... Oż, głuchy jak pień!... Śpiąca królewna mi się trafiła!... Wstawaj, bo ci dam buzi!...”

Budzenie się w środku nocy, gdy jest się wtulonym w wędzone żebra kethny z jednej, a balię z warzywami z drugiej strony, nie jest miłym przeżyciem. Jeśli do tego budzik cały czas nadaje telepatycznie różne złośliwości, staje się to zdecydowanie upierdliwą czynnością.

„Dobra, zamknij się, natręcie! Już jestem przytomny!”

„I to się nazywa wdzięczność?! Już mi zaczynało pomysłów brakować!”

„Opowiadasz? Chyba pierwszy raz w życiu, jeśli dobrze

pamiętam.”

Wstałem, przeciągnąłem się i prawie zamarłem, słysząc, jak mi w stawach trzeszczy. Kiedy przestało, podkradłem się ostrożnie do drzwi i zacząłem nasłuchiwać.

Panowała miła, niczym nie zmacona cisza.

Delikatnie uchyliłem drzwi i ruszyłem korytarzem.

Przeszedłem osiemnaście kroków, dotarłem do następnych drzwi, naoliwiłem je i otworzyłem.

Zgodnie z planem znalazłem się w kuchni.

Kucharz nie powinien się pojawić jeszcze przynajmniej przez dwie godziny, a nikt w kuchni nie wystawia straży — za blisko spiżarni i piwnicy. Odszukałem potrzebne drzwi, naoliwiłem zawiasy i otworzyłem drzwi ostrożnie, klnąc w duchu na majątność gospodarza. Gdyby łapciuch był uboższy, miałby skórzane zawiasy, które nie piszczą. Albo zwykłe zasłonki zamiast drzwi. A tak ciągle musiałem oliwić żelastwo i uważać przy otwieraniu.

W ten sposób dotarłem do drzwi prowadzących na podziemne poziomy. I do pierwszej poważnej przeszkody. Przed drzwiami stało bowiem dwóch wartowników. Niestety stali częściowo twarzami do mnie, a co gorsza, nie spali.

Że też musieli mi się trafić akurat tacy sumienni. Sprawa polega na tym, że zabijam dla pieniędzy. Jeśli mi za to nie płacą, nie lubię tego robić, jedynie czasami jest to po prostu nieuniknione. Długą chwilę obserwowałem strażników, starając się znaleźć sposób unieszkodliwienia ich bez zabijania.

Nie udało mi się.

Ich pech.

Nie tak dawno dostałem kontrakt na pewnego lichwiarza, który zostawiał sobie z dochodów więcej, niż powinien. Jego

pracodawca wysoce się tym zdenerwował i chciał, by „zrobić przykład z gnoja”, jak to ujął. Umówił się więc z nim w porze obiadowej w popularnej gospodzie słynącej z dobrej kuchni i zawiadomił mnie o tym. Sam się oczywiście nie pojawił, za to ja jak najbardziej. Gdy cel usiadł, podszedłem do niego, dźgnąłem go sztyletem w oko tak, że ostrze doszło do mózgu, i spokojnie wyszedłem. Doskonale pamiętam spojrzenia odprowadzające mnie do drzwi. Naturalnie tych, którzy dostrzegli, co się wydarzyło. Nikt nie był w stanie mnie opisać.

Zaskoczenie daje w określonych sytuacjach olbrzymią przewagę. Tak było wtedy i tak było teraz. W jednym momencie jest cicho i spokojnie, a w następnym ma się przed sobą atakującego przeciwnika. Strażnicy nawet nie zdążyli zareagować — jeden zginął od ciosu sztyletem w serce, drugi od trucizny, którą pokryty był shuriken tkwiący teraz w jego szyi.

Zaciągnąłem trupy do kuchni, żeby się tak nachalnie nie rzucały w oczy, i zająłem się drzwiami. Miały alarm magiczny, ale prosty i jawny. Żeby go zneutralizować, wystarczył dość prymitywny amulet. Potem pozostało jedynie otworzyć wytrychem zamek i droga na dół stanęła otworem.

* * *

Po śmierci ojca dziadek zajął się mną na swój własny sposób. Nigdy nie lubiłem być sam, ale dziadek uznał, że w wieku czternastu lat powinienem nauczyć się samodzielności, toteż w żaden sposób nie reagował, gdy dawałem mu do zrozumienia, że chciałbym się do niego przeprowadzić. Zamiast tego spędzał ze mną więcej czasu, ucząc mnie czarów i szermierki.

Z niezłym skutkiem — na czarach znałem się nie najgorzej, a

szermierzem byłem naprawdę dobrym. Jak długo miałem w dłoni stosowny rapier. Naturalnie walczyłem ludzkim stylem, wyrównującym do pewnego stopnia większą siłę i wzrost Dragaerian.

No i nauczyłem się samodzielności.

Nauczyłem się zresztą wówczas wielu rzeczy, ale zrozumienie ich przychodziło stopniowo i z czasem. Jak choćby to, że jeśli nie chce się być samotnym, trzeba mieć pieniądze. Ja ich nie miałem i nie miałem sposobu ich zarobić, gdyż restauracja odziedziczona po ojcu pozwalała jedynie przeżyć, a na dodatek pochłaniała mi większość czasu i energii. Ale zapamiętałem to do przyszłego wykorzystania.

Sądzę, że wtedy najwięcej dały mi czary. Mogłem coś robić i widzieć rezultaty praktycznie natychmiast. Czasami osiągałem ów specyficzny trans, w którym rzucanie czaru wydawało się metaforą całego mego życia, i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zdołam przejąć kontrolę nad światem i skłonić go, by zrobił to, co chcę.

Gdy w końcu zaprzestałem oddzielać sól od morskiej wody (albo zajmować się czymś równie użytecznym i potrzebnym), brałem łamigłówkę i szedłem szukać jakichś Orek.

Mój dziadek (podobnie jak ojciec) nalegał, bym dobrze poznał historię Dragaerian. Najął mi nawet nauczyciela — człowieka (płacić musiałem mu już z własnej kieszeni), który był całkiem dobry. Na dodatek znał nieco historię Fenario, królestwa na Wschodzie, z którego pochodzili moi przodkowie. Dzięki niemu też nauczyłem się trochę ojczystego języka.

Czasami zastanawiające jest, na co i kiedy człowiekowi przydają się takie pozornie oderwane i bezużyteczne wiadomości.

* * *

Na dół zszedłem naprawdę cicho. Ponieważ mój wzrok przyzwyczał się już do ciemności, a z dołu sączył się delikatny blask, poszło to całkiem szybko, mimo że schody były strome i nie miały poręczy. Były za to z kamienia, toteż nie miały prawa skrzypieć.

Zgodnie z planem powinienem dotrzeć na drugi poziom podziemny, gdyż tam znajdowała się pracownia Loraana, a więc najprawdopodobniej także uwięziona w pałce dusza. Potem należało otworzyć drzwi i zablokować magiczne alarmy, nie wzbudzając podejrzeń gospodarza, odszukać rzezoną pałkę i dać znak Morrolanowi, żeby zaatakował wieżę i robił to na tyle długo i silnie, by zdążyć nas obu teleportować do Góry Dzur. Prościzna, no nie?

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd nie polegałem na magii jako jedynej drodze ucieczki. Nie spodobało mi się to, ale w tej sytuacji nie miałem też żadnej możliwości odwrotu, więc szedłem naprzód.

Na dolnym poziomie drzwi także pilnował strażnik. Tyle że sam i grzecznie śpiący, co uratowało mu życie. Upewniłem się, że nie obudzi się w ciągu paru najbliższych godzin, i ruszyłem dalej prowadzącym w lewo korytarzem. Po dwudziestu pięciu krokach dotarłem do drzwi. Masywnych, mocnych i zaopatrzonych w solidny zamek. Naprawdę solidny.

No, ale ja też miałem pewne talenty.

Drzwi ważyły ze czterdzieści funtów, a zrobiono je z grubych dech połączonych szerokimi żelaznymi taśmami. Nie były idealnie dopasowane, gdyż tak pod nimi, jak i po bokach

przedostawało się światło. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, bo na tych drzwiach kończyły się zdobyte przez Kragara informacje. W sumie po inspekcji bardziej od zamka martwiła mnie chroniąca je magia. Jedyne, co miałem przeciwko niej, to ów amulet.

Przeciw zamkowi miałem zestaw wytrychów, w które zaopatrzyła mnie Kiera Złodziejka, oraz dokładne szkolenie w ich użyciu. Nie byłem nigdy tak dobrym włamywaczem jak ona, ale powinienem sobie poradzić. Wziąłem się do roboty.

Dobry zamek to połączenie delikatnego, dobrze wykonanego mechanizmu i ciężkiego rygla zamykającego. Ten miał nader dokładny mechanizm i trzy rygle. Wytrych musiał być na tyle mocny, by je przesunąć, i na tyle delikatny, by się przedostać w głąb mechanizmu. Okazało się, że zamek ma trzy zapadki, więc potrzebny był wytrych sprężynowy i trzy twarde. Wszystkie powinny zablokować zapadki rozchodzące się w trzech kierunkach równocześnie z obrotem całości w czwartą. Gdybym miał o połowę mniejsze palce i dodatkową parę rąk, sprawa byłaby prosta. Tak zajęło mi to dwadzieścia minut. Tak mnie to ucieszyło, że gdyby nie Loioosh, zapomniałbym naoliwić zawiasy.

Otworzyłem ostrożnie drzwi.

Nic nie wyskoczyło, nie straciłem przytomności i nic na mnie nie spadło. Jak na razie nieźle. Za drzwiami znajdował się podest oświetlony paroma lampami i krótkie schody prowadzące do trzech par drzwi, każdych w innej ścianie. Wszystkie wyglądały znacznie mniej imponująco od właśnie sforsowanych.

Zamknięcie za sobą drzwi trwało dobry kwadrans. Być może była to strata czasu, ale wolałem nie ryzykować. Kiedy skończyłem, wziąłem kilka głębokich oddechów, zamknąłem oczy i skoncentrowałem się.

„O co chodzi, Vlad?” — rozległ się w moim umyśle głos Sethry.

Przy telepatii zawsze obowiązuje najprostsza forma, czyli zwraca się do rozmówcy per „ty”, bo magia ma skłonności do mieszania tytułów. Pojęcia nie mam dlaczego.

„Jestem przed ostatnimi drzwiami.”

„Doskonale, zaraz uprzedzę Morrolana. Będą z nim w stałym kontakcie; gdy tylko będziesz miał ten artefakt w garści, przełamiemy blok teleportacyjny. Ale nie uda się zbyt długo utrzymać tego stanu rzeczy.”

„Uprzedzałaś nas o tym.”

„Wolę powtórzyć. Bądź ostrożny.”

„Nie ma obaw. Będę.”

Przerwałem połączenie i zszedłem te parę stopni.

Miałem przed sobą troje wyglądających prawie identycznie drzwi. Żadne nie były zamknięte na zamek ani zabezpieczone alarmem magicznym. Wybrałem środkowe. Naoliwiłem zawiasy i wszedłem.

* * *

Jakieś czterdzieści pięć minut później stałem ponownie przed trojgiem drzwi bogatszy o wiedzę, jakie to muszle kolekcjonuje gospodarz i jaki nurt malarstwa preferuje. Poszukiwanej pałki zwanej artefaktem nie znalazłem.

Miałem nieodparte wrażenie, że kończy mi się czas i wkrótce ktoś odkryje nieboszczyków w kuchni albo zauważy brak strażników na posterunku.

Wybrałem drzwi z lewej.

Naoliwiłem zawiasy i ostrożnie otworzyłem drzwi. Pomieszczenie, do którego prowadziły, było dobrze oświetlone,

choć nie mogłem dostrzec źródła tego światła. Miało kształt kwadratu o boku długości ze czterdziestu kroków i drzwi w przeciwległej ścianie. Na środku stał długi na dziesięć stóp stół, a nad nim wisiały zaczepione u sufitu kule emitujące wąskie promienie światła skupiające się w jednym miejscu nieco z boku stołu. W jego pobliżu leżała sterta opasłych, ciężkich ksiąg, a na środku stołu otwarta księga z do połowy zapisaną kartką. W pobliżu stał kałamarz i leżało pióro. Na blacie połyskiwały rozsypane klejnoty niewielkich rozmiarów, na ścianie zaś, nieco z lewej strony stołu, w specjalnych uchwytach wisiały dwie laski i jedna różdżka. Żadna nie pasowała do opisu tego, czego szukałem. Po prawej stronie stołu znajdował się piedestał, a na nim złoty łańcuch zawieszony jednym końcem w powietrzu, a drugim leżący na piedestale. Obok stał oparty o stół szeroki dwuręczny miecz, który wyglądałby, oględnie rzecz ujmując, głupio, gdyby całej głowni nie pokrywały magiczne symbole. Pod ostatnią ścianą stało spore akwarium o nieprzezroczystych ścianach, zapewne zawierające jakoweś wynaturzenie, z którym w dodatku wyczyniano nieopisane okropności.

Nie ulegało wątpliwości, że jest to pracownia Loraana.

Przez długą chwilę przyglądałem się posadzce, sprawdzając drogę prowadzącą przez pokój do następnych drzwi. Wyglądała na czystą i bezpieczną. Połączyłem się z Sethrą i przekazałem jej to, co widzę. Potwierdziła bez komentarza. Wolno i ostrożnie przeszedłem przez pomieszczenie i bezgłośnie dotarłem do drzwi.

Je też dokładnie obejrzałem. Nie wyczułem żadnych zabezpieczeń magicznych, zamka też nie miały. Na wszelki wypadek naoliwiłem zawiasy i ostrożnie otworzyłem drzwi. Za nimi znajdował się nieco mniejszy i mniej zagracony pokój.

Jedynym zaś godnym uwagi obiektem był sześcian pomarańczowego światła o boku około sześciu stóp znajdujący się w samym centrum pokoju. W jego wnętrzu unosiła się pięciostopowej długości laska magiczna wykonana z białego materiału i zwieńczona rdzawą gwiazdą.

Cel moich wysiłków.

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że nie jest to jedyny obiekt godzien uwagi. Przed sześcianem stał Dragaerianin. I przyglądał mi się z jedynie nieco większym zaskoczeniem niż ja jemu. Miał siedem i pół stopy wzrostu i był dość masywny. Miał krzaczaste brwi i długie, prawie rude włosy sterczące pod dziwacznymi kątami. Nie uczesał się, łąza jedna.

Był stary, ale nie stetryczały — trzymał się prosto, a jego postawa przypominała nieco tę przyjętą przez Morrolana, gdy prawie mnie zaatakował. Pod białą bluzą widać było nawet mięśnie, a czerwoną pelerynę spinała rubinowa brosza przypominająca klejnot Sethry. Oczy miał brązowe i nie mrugał nimi, a minę średnio zaciekawioną, bez śladu gniewu, czy strachu.

Tylko jego dłonie wyglądały staro — długie palce były powykrzywiane i na grzbietach poznaczone drobnymi bliznami. Pojęcia nie mam, co mogło spowodować takie ranki. W dłoniach trzymał cienką, czarną rurkę wymierzoną w laskę uwięzioną w pomarańczowym blasku.

Pracuję cholerny!

Na pewno byłbym szybszy, gdyby nie stał twarzą do drzwi i nie zauważył mnie pierwszy. Tak, wystarczyło, że machnął od niechcienia dłonią w moim kierunku, i stwierdziłem, że nie mogę się poruszyć, a przed oczyma widzę dziwną czarną mgłę.

Zdażyłem pomyśleć:

„Przepraszam, Sethro: nie tym razem.”
I zapadłem w nicość, która mnie pogrzebała.

Rozdział szósty

Przyglądając się rozmigotanemu tańcowi horyzontu, próbowałem zdecydować się, czy mi się podoba to, co widzę, i czy ma to jakieś znaczenie. Przyszło mi do głowy, że tracę rozum, ale zaraz odsunąłem tę myśl. W takich wypadkach to normalna obawa, głównie dlatego że czasami obłąd się przytrafia. Ale w tym momencie nie miałem czasu się tym zajmować.

Z jakiegoś powodu mój wzrok przyciągnęła runa. Gdy na nią spojrzałem, zrozumiałem dlaczego. Runa świeciła. Oblizałem usta, mrugnąłem i spojrzałem ponownie.

Nadal świeciła, choć jej o to nie prosiłem. Z drugiej strony nie prosiłem też, by nie świeciła.

Złączyłem palce dłoni i wyrysowałem w powietrzu runę przyzwania. Rozstrzelone skojarzenie tak mną wstrząsnęło, że omal nie straciłem kontroli nad czarem. Loiosh ściągnął mnie w ostatniej chwili. Opanowałem się i opuściłem ręce.

Rytm nadal we mnie rozbrzmiewał, krajobraz w dalszym ciągu falował. Runa wyryta w ziemi też się paliła.

Wydało mi się, że słyszę jeszcze jeden dźwięk: dzwoniących zębów.

Swoich.

Z tego co byłem w stanie ustalić, nieprzytomny pozostawałem przez jakieś dwadzieścia sekund. Musiałem w tym czasie zwalić się jak kłoda na podłogę, bo gdy się ocknąłem, bolał mnie prawy policzek i prawa ręka.

Przytomność odzyskiwałem stopniowo, w miarę jak przed oczyma przestawały wirować mi czarne płatki. Zdrowy rozsądek

włączył się na szczęście wcześniej i nie potrząsnąłem głową, by ten czas skrócić. Poczekalem statecznie, aż wzrok odzyska ostrość, dzięki czemu nic nie łupnęło mi pod czaszką.

Loraan opierał się o przeciwległą ścianę z uniesionymi przed siebie rękoma i wpatrywał się z napięciem w coś za moimi plecami. Delikatnie przekręciłem głowę i zobaczyłem Morrolana walczącego z czymś niewidzialnym, co próbowało jakby złapać go w sieć. Powietrze między nim, a magiem iskrzyło różnobarwnie. Najbardziej nad moją głową.

Przybył znaczy się ratunek.

Żeby go cholera!

Właśnie miałem się zabrać do przekonywania własnego ciała, by zechciało się ruszyć — choćby na tyle, by zejść z linii ognia — kiedy Loraan pisnął i rozpląszczył się na ścianie. W jakiś sposób odbił się od niej i poleciał prosto na mnie. Nastąpiło to tak szybko, że nawet nie zdążyłem złapać któregoś z noży, żeby go serdecznie powitać, a już się na mnie zwałił.

Nachalny adorator.

Okazał się całkiem zręczny jak na maga. Zrobił sobie ze mnie poduszkę i odskocznę do przetoczenia się do pierwszego, większego pokoju, w którym był Morrolan. A do tego biurko, miecz, różdżka i cała reszta. Płynnym ruchem zerwał się na równe nogi i stanął naprzeciw Morrolana.

Potem nastąpiła scena wysoce dynamiczna, trwająca może z dziesięć sekund i obejmująca: machanie rękoma przez obu, dym, różnobarwne iskry i płomienie oraz niezłe hałasy. Kiedy się trochę uspokoiło, Morrolan stał tyłem do mnie, a Loraan znajdował się prawie poza zasięgiem mego wzroku. A więc i poza zasięgiem tego, czym mogłem w niego rzucić.

Loiosh, który dotąd siedział tak cicho, że o nim zapomniałem,

spytał:

„Może byśmy tak wzięli to, po co przyszliśmy, szefie?”

„Doskonały pomysł.”

„Serdeczne dzięki za uznanie, wreszcie mnie doceniłeś.”

Wstałem i z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że utrzymuję bez trudu pion, a nogi funkcjonują bez zarzutu. Ostrożnie podszedłem do pomarańczowego sześcianu i dokładnie przestudiowałem, co to takiego. A potem zakląłem długo, cicho i namiętnie. Pojęcia nie miałem, co to za odmiana magii, ale wiedziałem dwie rzeczy: niezdrowo byłoby próbować wsadzić tam rękę, to raz, a dwa, neutralizacja czy przełamanie tego, co trzymało laskę, przekraczało moje możliwości. I to parę razy. Być może Morrolan mógłby sobie z tym poradzić.

Odwróciłem się, aby go o to zapytać.

* * *

Miałem prawie szesnaście lat, gdy zdecydowałem się ostatecznie zignorować radę dziadka i zacząć chodzić z rapierem przy boku. Nie był zbyt drobny, ale miał wszystko co trzeba i pasował mi do ręki. Dopiero później zleciłem wykonanie naprawdę dobrej klingi dostosowanej do moich potrzeb.

Paradowałem tak uzbrojony krócej niż tydzień, gdy potwierdziły się słowa dziadka. Wracałem akurat z rynku, i patrząc na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że ludzki nastolatek z bronią pałętającą się przy boku, targający kosz pełen ryb, mięsa i jarzyn wyglądał nieco absurdalnie, by nie rzec głupio. Wtedy jednak tak nie myślałem.

Śmiech usłyszałem, gdy prawie dotarłem do restauracji. Zobaczyłem dwóch elfów mniej więcej w moim wieku (biorąc

naturalnie pod uwagę różnice długości życia i dorastania) w barwach Domu Sokoła. Obaj naśmiewali się ze mnie, nie szczędząc złośliwości. Wykrzywiłem się paskudnie, co ich jeszcze bardziej rozbawiło.

Ten, który śmiał się głośniejsze, też miał rapier przy boku.

— Myślisz, że jesteś groźny, co? — spytał w pewnym momencie.

— Może i jestem.

— A chcesz mi pokazać jak bardzo?

Odstawiłem kosz, odszedłem parę kroków, odwróciłem się i wydobyłem rapier z pochwy. Podeszli bliżej. Uzbrojony potrząsnął głową z politowaniem — był wyższy, więc mógł mieć powody do pewności siebie.

Wyjął prawą ręką rapier, a lewą sztylet. Zauważyłem, że raczej nie zamierza użyć magii, bo był to typowy sztylet bojowy, ale pamiętając rady dziadka, nie miałem pewności co do tego. Stał frontem do mnie, wysuwając do przodu prawą nogę i prawą rękę. Zająłem normalną pozycję wyjściową zwrócony prawym bokiem ku niemu. Zaskoczyło go to.

Postanowiłem wykorzystać jego zdziwienie.

— Na co czekasz? — warknąłem.

Dał krok do przodu i zaatakował. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, jaką przewagę daje w takich starciach szybkość i technika, na które kładziony jest główny nacisk w fechtunku „ludzką modą”. Zdziwiło mnie, dlaczego bierze takie zamachy, i tylko dlatego nie udało mi się ciąć go w odsłonięte prawe przedramię. Ciosu uniknąłem bez żadnego trudu, a on zaatakował ponownie — nadal w ten sam powolny i głupi sposób.

Tym razem ciąłem go w rękę, zanim odskoczyłem. Jęknął i

opuścił lewe ramię, odsłaniając się całkowicie. Jego serce było tak zapraszającym celem, że nie mogłem się powstrzymać. Pchnąłem, a on zawył, puścił broń i padł na plecy.

Zanim dotknął ziemi, zwróciłem broń przeciw jego towarzyszowi, ale ten tylko stał i gapił się na mnie wytrzeszczonymi oczyma. Podszedłem spokojnie i wytarłem rapier o jego płaszcz, cały czas patrząc mu w oczy. Potem schowałem broń do pochwy i wziąłem kosz z zakupami. Dopiero wtedy oprzytomniał na tyle, żeby zamknąć gębę.

Ruszyłem spokojnie w stronę restauracji. Po drodze stwierdziłem, że dziadek miał rację: ten, kto nosi broń, prosi się o kłopoty.

Od tego dnia zawsze chodziłem z rapierem przy boku.

* * *

Każdy choć raz w życiu powinien mieć okazję oglądać pojedynek dwóch magów. Jest to pouczające, rozrywkowe i przyjemne. O ile zachowuje się stosowną odległość, czego ja akurat nie byłem w stanie zrobić. Powietrze między nimi zdawało się tańczyć i to tak, że miałem problemy ze zogniskowaniem wzroku. Loraan trzymał przed sobą w prawej dłoni różdżkę, której czubek rozświetlał się złociście. Obrazy widziane przez to złociste światło były nieostre i zamazane. Drugą ręką ciągle gestykulował.

Od czasu do czasu musiałem przełykać ślinę, bo w pokoju gwałtownie zmieniało się ciśnienie, choć pojęcia nie mam dlaczego. Widać za to było wyraźnie, że Morrolan jest w opałach. Stracił dotychczasową przewagę (na czymkolwiek ona polegała) i teraz to on był przyparty do ściany. Przed nim pulsowała czarna

mgła próbująca przebić się przez jakąś niewidzialną osłonę, którą stworzył. Nawet z trzydziestu stóp wyraźnie widziałem pot na jego czole.

Loraan zrobił krok do przodu. Morrolan uniósł nieco wyżej dłoń. Mgła przed nim zgęstniała. Przypomniało mi się stare powiedzenie: „Nigdy nie atakuj maga w jego wieży”.

Nagle mgła zniknęła, a Morrolan jakby zapadł się w siebie. Loraan postąpił kolejny krok naprzód i uniósł ręce. Przypomniała mi się inna stara maksyma dotycząca magów i noży. Loraan stał prawie plecami do mnie...

Mój nóż trafił go prawie idealnie w środek pleców. Niestety nie idealnie i nie przerwał w związku z tym kręgosłupa. Szkoda. Ale i tak mag potknął się, zatoczył i opuścił ręce. Morrolan wyprostował się i dał krok ku niemu. A Loraan zniknął.

Był to jeden z najszybszych teleportów, jakie w życiu widziałem.

Morrolan wykonał szybki gest i coś eksplodowało z błyskiem, ale bez huków. Jednak wątpię, by osiągnął to, co zamierzał.

Wszedłem do pokoju i zbliżyłem się do niego.

— Dziękuję, lordzie Taltos — powiedział, odwracając się ku mnie.

Uśmiechnąłem się skromnie i przeszedłem do rzeczy:

— Nie potrafię uwolnić laski z tego, w czym ją trzyma. Cholera, nie wiem nawet, co to za magia!

— W porządku, zajmijmy się...

Przerwało mu gwałtowne trzaśnięcie drzwi o ścianę. Do pokoju wlała się rzeka wartowników. Tak na oko, kilkuset. No, mniej więcej, ma się rozumieć. Większość miała ostre podbródki i wysokie czoła typowe dla Domu Smoka, ale było też paru Dzurów. Wszyscy ubrani byli w czerwień i biel Domu Athyry.

Przyjrzałem się ich kolekcji szpad, rapierów, a nawet mieczy. Wyciągnąłem swój rapier — cóż, mały, ale wariat...

I westchnąłem.

— Nie, Vlad — powiedział Morrolan. — Bierz laskę. Ja się nimi zajmę.

— Ale...

Morrolan dobył swój miecz i pokój pociemniał. Prawdę mówiąc, to raczej w moim umyśle zrobiło się mroczniej. Od chwili gdy ujrzałem miecz, zdawałem sobie sprawę, że jest potężny, ale dotąd pozostawał w pochwie. Teraz wiedziałem już, co to jest. To nie była broń Morgantich. To była jedna z Siedemnastu Wielkich Broni. Było to ostrze zdolne niszczyć królestwa. Klinga była równie czarna jak jelec i rękojeść, a serce mroczne niczym dusza demona. Jak na miecz, nie miał imponującej długości. Nie musiał — i tak zdawał się pochłaniać całe światło. Mój instynkt samozachowawczy wył rozpaczliwie, by wiać jak najdalej, jeśli chce się jeszcze chwilę pożyć.

Morrolan spojrzał mi w oczy i powtórzył:

— Ja się nimi zajmę.

Przez sekundę stałem jak sparaliżowany, potem wróciłem do życia.

— Nie zdołam wyjąć jej z tego cholernego...

— Prawda — przyznał i rozejrzał się.

Jeśli chodzi o strażników, to tych kilkunastu, którzy zdążyli wpaść do wnętrza lub zajrzeć przez drzwi, przez cały ten czas zachowywało bezruch i milczenie. Wszyscy zgodnie wpatrywali się w jego miecz i na części twarzy widać było mieszane uczucia. To byli ci inteligentniejsi. Morrolan dostrzegł wiszący w powietrzu łańcuszek dziwnie przypominający węża i wskazał mi go ruchem głowy.

— Spróbuj tego — powiedział.

Pięknie.

Doczekać się nie mogłem, żeby się czymś takim pobawić. Żeby to...!

Starając się nie myśleć, podbiegłem i złapałem za koniec spoczywający na piedestale. Nie był doń przymocowany, ale nadal pozostał skręcony w powietrzu, gdy go zabrałem. Przypominał węża gotowego do ataku. Podbiegłem do drzwi łączących oba pomieszczenia i spojrzałem przez ramię na strażników i Morrolana. Scena pozostała statyczna — wszyscy wgapiali się w ostrze jego miecza.

Widocznie większość była inteligentna.

Najwyraźniej jednak Morrolan miał dość niepewności, czy zaatakują czy nie, i przejął inicjatywę. Dосkoczył do nich i ciał najbliższego na odlew, rozcinając go od prawego ramienia do lewego biodra. Płynnym ruchem cofnął broń i pchnął następnego w serce. Pchnięty zawył, a z lewej dłoni Morrolana wytrysnął słup czarnego ognia. Wrzaski przybrały na sile.

Zadowolony przestałem podziwiać jatkę — rzeczywiście zajęli się nimi. Jak długo Loraan nie wróci, byłem bezpieczny.

Podbiegłem do pomarańczowego sześcianu.

I obejrzałem łańcuch. Wyglądał na zrobiony ze złota, a każde ogniwo miało około pół cala długości, natomiast w dotyku sprawiał wrażenie, jakby wykonano go z czegoś znacznie od złota twardszego. Żałowałem, że nie mam czasu, żeby mu się dokładnie przyjrzeć. Pogłaskałem go lewą dłonią, a ponieważ nie był sztywny, popchnąłem go w dół. Napotkałem lekki opór, ale po sekundzie zwisał już z mojej dłoni swobodnie jak każdy uczciwy łańcuch. Poczułem się znacznie lepiej. Wziąłem głęboki oddech, czekając, aż życie przemknie mi przed oczyma w tak

dramatycznej chwili. Nie przemknęło. Więc z braku lepszych pomysłów chlasnąłem łańcuchem po pomarańczowym blasku, przygotowany na to, że polecę na ścianę albo spotka mnie coś równie przyjemnego. Poczulem lekkie mrowienie w rękę, blask rozjarzył się i zniknął.

Biała laska upadła na podłogę.

Przełknąłem ślinę i przyjrzałem się jej podejrzliwie.

A potem podniosłem, nie mając innego wyjścia.

W dotyku była chłodna i nieco cięższa, niż powinna być, ale to było wszystko, co poczułem. Odwróciłem się, trzymając łupy, i zawróciłem w stronę, z której dobiegały odgłosy regularnej bitwy.

Wracając na miejsce jatki, omal nie zostałem oślepiony przez nagły rozbłysk. Zdołałem zacisnąć powieki i odruchowo kucnąć, więc nic mi się nie stało. Gdy ostrożnie otworzyłem oczy, zobaczyłem ponad tuzin trupów na podłodze i Morrolana stojącego na szeroko rozstawionych nogach. Osłaniał się mieczem przed serią jaskrawych wyładowań wysyłanych przez...

Loraana!

Musiałem mu przyznać — był żywotny, ścierwo.

Teraz oprócz różdżki w lewej dłoni dzierzył też czerwoną laskę. I to z niej właśnie sypały się oślepiająco białe smugi światła. Zakląłem pod nosem i wszedłem do pokoju.

Na mój widok wytrzeszczył oczy. Potem dostrzegł w mojej dłoni łańcuch i gały prawie wyszły mu z orbit. Zaklął, aż echo od ścian poszło. Skierował różdżkę w moją stronę, toteż czym prędzej zrobiłem pad na plecy. Zobaczyłem ścianę czegoś błękitnego lecącą prosto na mnie i odruchowo zasłoniłem twarz rękoma. Zdaje się, że także wrzasnąłem.

W lewej ręce nadal miałem artefakt z duszą, w prawej

łańcuch. Zasłaniając twarz, machnąłem nim, nawet sobie z tego sprawy nie zdając. Łańcuch uderzył w owo błękitne coś i to coś zniknęło.

Poczułem jedynie lekkie mrowienie ręki.

Okazało się, że stara prawda nadal się sprawdza: wszystko zależało od pracy nadgarstka. Ponieważ leżałem płasko na plecach, uniosłem głowę, by zorientować się w sytuacji: Morrolan wykorzystał chwilę dekoncentracji przeciwnika i zbliżał się ku niemu, choć szło mu to dziwnie wolno. Loraan kłął ze znanostwem i machał lewą ręką. I nadal gapił się na mnie. Nie spodobało mi się to. A potem wycelował we mnie laskę, co spodobało mi się jeszcze mniej.

Poczułem, jakby kopnięto mnie równocześnie w głowę i w brzuch. Dobry był, nie da się ukryć. Jakoś zdołał powstrzymać atak Morrolana, musiał więc mieć magiczną osłonę przed fizycznym atakiem i równocześnie próbował mnie wykończyć.

„Masz jakiś pomysł, Loiosh?”

„Jasne: zrób sobie godzinkę przerwy i przywal mu czarem.”

„Pocałuj psa w...”

Urwałem nagle, gdy dotarło do mnie, że czar to kontrolowana energia psychiczna. Co prawda bez stosownych rekwizytów znacznie trudniej było rzucić czar, ale robiłem to już, więc może...

Usiadłem i zakręciłem łańcuchem młynka przed sobą w nadziei, że przechwyci magię, którą Loraan mnie poczęstuje. Zamilkł, zgrzytnął wściekle zębami i zwrócił się z powrotem przeciw Morrolanowi. Machnął różdżką i ten poleciał z jękiem do tyłu, aż walnął łbem o ścianę.

Puściłem laskę, wyjąłem sztylet i pozwoliłem, by wpłynęła weń cała energia, jaką byłem w stanie zmobilizować. Wydaje mi

się, że coś recytowałem... Potem puściłem łańcuch, przerzuciłem broń do prawej dłoni i cisnąłem. Loraan zamachał rękoma i coś we mnie trafiło. Upadłem w tył i grzmotnąłem głową o posadzkę, aż zadudniło. Przemknęło mi przez myśl, że zaraz ktoś tu zginie.

Albo i obaj.

I usłyszałem przeraźliwy krzyk dobiegający z właściwego kierunku.

A potem Morrolan pomógł mi wstać.

Chciałem odsunąć się od jego miecza, ale trzymał mnie mocno. Jakimś cudem w lewej dłoni ścisnąłem łańcuch... a raczej łańcuszek, bo jego ogniwa coś jakby się zmniejszyły.

— Stań wreszcie prosto, do cholery! — warknął Morrolan. — Wezwał pomoc, która zaraz się nam zwali na kark! Musimy się stąd wynosić!

To dodało mi sił. Stałem samodzielnie, Morrolan puścił mnie, podniósł z podłogi białą laskę i wręczył mi gestem nie znoszącym sprzeciwu. Złapałem ją i rozejrzałem się. Loraan leżał w kałuży krwi. Mój sztylet tkwił w jego brzuchu, a pierś miał rozplataną potężnym ciosem miecza.

Wyglądał na całkiem martwego.

W tym momencie wokół nas zaczęły pojawiać się nowe postacie. Morrolan wykonał lewą dłonią jakiś gest i ściany zniknęły. Znaleźliśmy się w tym samym miejscu co za pierwszym razem, gdy Morrolan teleportował nas do Góry Dzur.

I osunął się na podłogę.

Ja wypuściłem z dłoni powód całego zamieszania, który odturlał się na bok.

I zwymiotowałem.

Rozdział siódmy

Zaczęto mi się lekko kręcić w głowie, ale spodziewałem się tego, więc mogłem to zignorować. Chyba żeby się nasiliło. Przestałem się gapić przed siebie i wpatrzyłem w runę. Skoro znajdowała się tu... to obiekt mojego pożądania był... tutaj!

Zaznaczyłem to miejsce palcem, robiąc małe wgłębienie, i sięgnąłem po nóż. Inny, mały i ostry. Naciąłem palec lewej dłoni... zapiekło. Potrzymałem go nad prawą, aż spłynęło kilka kropeł krwi, które delikatnie wpuściłem w zagłębienie. Natychmiast wchłonęła je ziemia, tak jak powinna. Ująłem nóż prawą dłonią i przytrzymałem ją lewą. Na rękojeści będzie krew, ale to nie szkodzi... a może nawet pomoże. Uniosłem dłonie wysoko i skupiłem się na celu. Trafienie w cel było równie ważne, jakbym miał przed sobą żywego przeciwnika. Tyle że łatwiejsze, bo nie musiałem się spieszyć!

Nadszedł właściwy czas i wbiłem ostrze we wgłębienie, w które wpadły krople krwi.

Przez moment miałem przed oczyma ścianą bieli, a uszy wypełnił mi trudny do opisanego ryk. W nosie aż mnie zakręciło od zapachu świeżej pietruszki. A potem wszystko zniknęło. Pozostał tylko dudniący rytm, świecąca runa i dziwny krajobraz. I dziwne uczucie spełnienia.

Utworzyłem więź.

Zacząłem przygotowywać się do następnego kroku.

Dotarliśmy do biblioteki i z prawdziwą ulgą opadliśmy na fotele. Rozsiadłem się wygodnie i zamknąłem oczy. Loiośh obsobaczał Morrolana, sycząc jak rasowy wąż, i generalnie był

nerwowy. Ja czułem dziwną miękkość w kolanach, ale poza tym czułem się normalnie. Morrolan przyglądał się Loioshowi, jakby nie bardzo wiedział, co ma z nim zrobić.

Podobało mi się to.

Sethra Lavode dołączyła do nas. Skinęła głową każdemu z osobna na powitanie, spojrzała na Loiosha i nie odezwała się ani słowem, po czym usiadła. Pojawił się ten sam służący (imieniem Chaz, jak się okazało) i zajął przygotowaniem czegoś do picia.

Loiosh cały czas przyglądał się gospodyni uważnie, a w końcu spytał:

„Szefie, to ta cała Sethra Lavode?”

„We własnej osobie. Jak ci się podoba?”

„Szefie, ona jest wampirem!”

„Też mi się tak wydawało. Ale pytanie jakim?”

„Czy myśmy jej już kiedyś nie spotkali?”

„Hmm. Dziwne, że pytasz... ale wydaje mi się, że zapamiętalibyśmy takie spotkanie.”

„Chyba tak...”

Podczas tej wymiany poglądów obiekt naszego zainteresowania wyciągnął do Morrolana rękę. Ten podał jej artefakt. Oglądała go uważnie przez chwilę, nim oceniła:

— Ktoś w nim w rzeczy samej jest.

Akurat pojawił się Chaz z zastawioną tacą. Spojrzał przelotnie na białą laskę i zajął się roznoszeniem napojów. Cóż, jeśli potrafił ignorować nieboszczyka w trakcie tej czynności, to dusza uwięziona w magicznej lasce nie miała prawa zrobić na nim wrażenia.

Morrolan spytał z napięciem:

— Czy to ona?

Zamknęła oczy i znieruchomiała.

Po paru chwilach Chaz podszedł do niej i otarł jej czoło chustką, choć nie zauważyłem, by pojawiły się na nim krople potu. Nadal nie spojrzął na żadnego z nas.

Sethra otworzyła oczy i oznajmiła:

— Przeszła test. To ona.

Chaz poszedł sobie, ani słowem, ani gestem nie zdradzając, że otrzymał jakieś polecenie, a Morrolan spytał:

— Mam poprosić Nekromantkę, by przybyła?

Pojęcia nie mam, o kim mówił, ale wielką literę nawet ja usłyszałem wyraźnie.

— Nie. Może później, jeśli będą problemy.

Morrolan kiwnął głową, że się zgadza, i dodał:

— A jak tobie poszło?

— Ciężko.

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że wygląda na zmęczoną — jak po dużym wysiłku i niecodziennym niemiłym przeżyciu. Cóż, nie moja sprawa.

Sethra dostrzegła łańcuszek, który nadal trzymałem w lewej dłoni.

— Twój? — spytała.

Tym razem przejście na „ty” było naturalne, nie lekceważące, i ton również, toteż nie protestowałem.

— Gdzie go znalazłeś?

— Prezent od maga z Domu Athyry.

Uśmiechnęła się lekko.

— To miłe z jego strony — oceniła. — Nazwałeś go już jakoś?

— Proszę?... Nie. A powinienem?

— Raczej tak.

— Możesz mi powiedzieć dlaczego?

— Nie.

— Aha.

Wzięła laskę i wyszła. Ja zaś owinąłem łańcuszek wokół lewego nadgarstka i spytałem Morrolana, czy byłby tak miły i odteleportował mnie do domu.

Powiedział, że byłby.

I dotrzymał słowa.

* * *

Kierę spotkałem pierwszy raz, gdy miałem jedenaście lat, podczas pewnego zajścia w restauracji ojca. Zajścia związanego z nożem i zawodowcem przy „robocie”. Była dla mnie niezwykle miła — pierwsza elfka, która tak się zachowała. Zresztą nigdy jej tak nie nazywałem, nawet w myślach: była Dragaerianką dlatego, że niczym nie zasłużyła sobie na obelgę. Wręcz przeciwnie. Od tamtego dnia pozostawaliśmy w kontakcie, choć nie był on regularny, a czasami trudno było go nazwać częstym. Kiedyś zapytałem ją, dlaczego mnie lubi, podczas gdy wszyscy inni Dragaerianie, których poznałem, nienawidzą mnie. Tylko się uśmiechnęła i rozwichrzyła mi włosy. Drugi raz nie pytałem — byłaby to strata czasu — ale zastanawiałem się nad tym długo.

Z zasady ubierała się w szarość i czerń — barwy Domu Jherega, do którego i ja należałem, gdyż ojciec kupił w nim tytuł baroneta. Stopniowo poznawałem prawdę: Kiera należała do organizacji i była złodziejką. Najlepszą ze wszystkich, dlatego nazywano ją Kierą Złodziejką. Zafascynowało mnie to, a ona zgodziła się nauczyć mnie pewnych tajników swego fachu. Takich jak stosowanie wytrychów, rozpoznawanie magicznych alarmów i ich neutralizacja czy poruszanie się w tłumie i tłoku tak, by pozostać niezauważonym. Zaproponowała, że nauczy

mnie więcej, ale jakoś nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie w roli złodzieja.

Robota restauratora była nudna, ale jakoś dawało się z niej wyżyć. Tylko raz, kiedy miałem piętnaście lat, zaistniała obawa, że będę musiał sprzedać lokal przez jakieś kretyńskie podatki, które właśnie uchwalono. Wszystkie podatki to zalegalizowane złodziejstwo, ale ten był wyjątkowo głupi, gdyż groził plajtą ponad połowy gospod, restauracji i innych wyszynków. Nim zostałem zmuszony do podjęcia radykalnej decyzji, podatek uchylono, a co ciekawsze, poborca nie zjawił się u mnie po normalny haracz.

Po pół roku tak mnie to zaintrygowało, że postanowiłem go poszukać i dowiedzieć się, dlaczego przestał mieć ochotę zabierać mi pieniądze. Znalazłem go nachodzącego lokal położony dwie przecznice dalej i spytałem, dlaczego się nie pokazuje.

— Bo nie muszę — odparł zwięźle.

— Czemu?

— Bo masz pan podatek zapłacony do końca roku.

— Kto go zapłacił?

— Jak to kto?! Nie pan?

— Może.

— Co znaczy może?!

Zaczął się robić niemilo, więc zełgałem na poczekaniu:

— Ktoś był mi dłużny i miał za mnie zapłacić. Wygląda na to, że to zrobił, ale chcę się upewnić i dlatego wypytyuję pana, kto dał pieniądze.

— Dama z Domu Jherega.

— W szarej pelerynie z dużym kapturem? Mówiąca cicho, ale wyraźnie?

— Ona.

— Aha, no to dziękuję.

Tydzień później zauważyłem w alejce Kierę opartą nonszalancko o ścianę budynku. Podszedłem do niej i powiedziałem:

— Dzięki.

— Za co? — dobiegło z głębin kaptura.

— Za zapłacenie moich podatków.

— Aa, to. Proszę cię uprzejmie. Chciałam, żebyś mi był winien uprzejmość.

— Już jestem ci winien dobrą setkę uprzejmości. A nawet gdybym nie był, a mógłbym coś dla ciebie zrobić, zrobiłbym to z przyjemnością.

Zawahała się, a potem powiedziała:

— Jest coś takiego.

Wydało mi się, że właśnie to wymyśliła, ale spytałem jakby nigdy nic:

— Nie ma sprawy. O co chodzi?

Odchyliła kaptur i spojrzała na mnie, przygryzając wargę. Jakoś do tej pory nie zauważyłem, że Dragaerianie też tak robią...

Zawsze zaskakiwało mnie to, jak młoda się wydawała, dopóki nie spojrzało się w jej oczy. Starannie rozejrzała się po alejce, a gdy się do mnie odwróciła, trzymała coś w dłoni. Była to niewielka, przezroczysta fiolka zatkana szlifowanym szczelnym korkiem i zawierająca z uncję ciemnego płynu.

Wziąłem ją, nim spytała:

— Możesz to dla mnie przechować? Tobie nie powinno nic grozić, ale chwilowo nie byłoby bezpiecznie, gdybym ja to miała.

Obejrzałem fiolkę dokładniej — wykonano ją z grubego szkła, toteż nie powinna się łatwo stłuc.

— Jasne. Jak długo mam ją trzymać?

— Krótko: ze dwadzieścia—trzydzieści lat.

— Co?! Kiera...

— A, dla ciebie to za długo. Cóż, może krócej. Jak już powiedziałam, dla ciebie nie powinno wiązać się z tym żadne niebezpieczeństwo.

I podała mi mały woreczek związany rzemykiem.

Schowałem do niego fiolkę i zawiesiłem woreczek na szyi.

— A tak w ogóle co w niej jest? — spytałem.

Zawahała się, po czym naciągnęła kaptur i odparła spokojnie:

— Krew bogini.

— Aha. No tak. Na głupie pytanie...

* * *

W nocy po odwiedzinach w wieży Loraana obudziłem się z dziwnym mętlikiem w głowie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że ktoś próbuje się ze mną skontaktować telepatycznie, i to właśnie wywołało całe zamieszanie. Oprzytomniałem w końcu. Dostrzegłem, że prawie zaczęło świtać, i pozwoliłem, by połączenie doszło do skutku.

„Kto? — spytałem średnio uprzejmie.”

„Sethra Lavode.”

„A! Słucham?”

„Potrzebujemy twojej pomocy.”

Biorąc pod uwagę porę, kilka oczywistych pomysłów przyszło mi na myśl, ale nie pozwoliłem sobie na żaden komentarz. Nie wszyscy niestety rozumieją moje poczucie humoru.

„Słucham.”

„Chcielibyśmy cię tu sprowadzić.”

„Kiedy?”

„Natychmiast.”

„Mogą przedtem zjeść śniadanie?”

„Doskonały pomysł. Każę przygotować wiadro.”

Poprawka: niektórzy mają gorsze.

„Dobra. Daj mi dziesięć minut na dobudzenie się i umycie.”

„Zgoda.”

Odwróciłem się na bok i pocałowałem Szandi w kark. Wymamrotała coś niezrozumiałego.

— Muszę się zbierać — powiedziałem. — Zrób sobie śniadanie. Zobaczymy się później. Dobrze?

Znów coś wymamrotała.

Westchnąłem, wstałem i przygotowałem się do drogi.

Umyłem się, ubrałem, uzbroiłem i owinąłem złoty łańcuszek (nadal miał drobniejsze niż na początku ogniwa) wokół lewego nadgarstka. Właśnie kończyłem, gdy na prawym ramieniu wylądował mi Loioosh.

„Gdzie się wybieramy, szefie?”

„Do Góry Dzur. I nie pytaj dlaczego, bo nie mam pojęcia.”

Wyszedłem na ulicę i nawiązałem kontakt z Sethrą.

A potem znalazłem się we wnętrzu Góry Dzur.

* * *

Długi czas fiołka od Kiery intrygowała mnie. Może rzeczywiście zawierała krew bogini. Wielokrotnie oglądałem ją, gdy byłem sam w domu. Płyn był kolorem i konsystencją podobny do krwi. Co nie znaczyło naturalnie, że musi nią być. W końcu nie zdecydowałem się na to, by otworzyć fiołkę, choć korciło mnie solidnie. Ciekawiło mnie także, czy kiedykolwiek

dowiem się, w jaki sposób Kiera go zdobyła, dlaczego nie chciała mieć go u siebie i nie zdecydowała się go sprzedać. Tak na dobrą sprawę jednak nie to było najważniejsze. Najistotniejsze było bowiem, że mogłem coś dla niej zrobić, dla odmiany.

Po namyśle włożyłem go wraz z woreczkiem do kasetki, w której trzymam kilka najcenniejszych emocjonalnie przedmiotów, i po paru tygodniach przestałem o nim myśleć. A po paru następnych, prawdę mówiąc, zupełnie o nim zapomniałem. Pochłonęło mnie coś znacznie ważniejszego — mój dziadek uznał bowiem, że osiągnąłem etap, kiedy — jak każda szanująca się czarownica (niezależnie od płci używał tego określenia) — powinienem dorobić się familiara.

* * *

Dziesięć minut po zjawieniu się we wnętrzu Góry Dzur zdecydowałem, że mogę mimo wszystko polubić Sethrę Lavode. Tym razem teleportowała mnie prosto do biblioteki i dała czas na dojście do siebie po teleporcie. Wiadra na ewentualną zawartość mojego żołądka nigdzie w pobliżu nie było, za to zjawił się Chaz z dobrą, gorącą klavą. Klava to ciekawostka — napój, który Dragaerianie przyrządzają z ziaren kawy. Smakuje podobnie, ale pozbawiony jest jej goryczy. Najlepszy jest, gdy osłodzić go miodem i dodać gęstej śmietany. Ten był tak właśnie przyrządzony. A do tego Chaz podał mi ciepłe biszkopty z masłem i miodem. A raczej nam, bo towarzyszył mi Morrolan. Sethra zjawiła się nieco później, a Chaz cały czas stał za jej fotelem, jak zwykle rozglądając się nerwowo.

Przyglądałem się Morrolanowi, gdyż nadal mnie fascynował. Starał się bardzo zachować całkowicie obojętny wyraz twarzy, co

najprawdopodobniej znaczyło, że jest czymś głęboko poruszony. Ponieważ nie byłem w stanie odgadnąć czym, dałem sobie spokój i zająłem się jedzeniem.

Sethra zaskoczyła mnie ponownie, gdy Chaz zniknął, po czym pojawił się talerz, na którym spoczywała świeżo zabita teckla. Podał mi go, wskazując Loiosha ruchem głowy, jakby się bał, że sam się zajmę padliną. Loiosh zabrał się do jedzenia, wykazując nieprzyzwoicie wręcz dobre maniery, a ani Sethra, ani Morrolan najmniejszym gestem nie dali do zrozumienia, że mają coś przeciwko jego dobremu apetytowi.

„Oni są w porządku, szefie” — oznajmił po trzecim kęsie.

„Podejrzewałem, że to powiesz.”

Najbardziej jednak zaskoczył mnie widok lorda Morrolana, księcia z Domu Smoka, maga i czarnoksiężnika władającego Wielką Bronią, oblizującego palce z miodu. Żałowałem, że Dragaerianie nie mają zarostu na twarzy — jeszcze śliczniej wyglądałby, oblizując sobie wąsy albo próbując się pozbyć miodu z koziej bródki.

Przyznaję, że jeśli posiłek został pomyślany jako sposób wprowadzenia mnie w lepszy humor, bym szybciej zgodził się im pomóc, zadziałał nader skutecznie. I był nieporównywalnie miłszy niż sposób, na który wpadli poprzednio. Gdy umyłem dłonie i twarz w podanej misce wody i osuszyłem je podgrzanym ręcznikiem, gotów byłem wysłuchać każdego wariactwa, na jakie będą chcieli mnie namówić.

Okazało się, że było to wariactwo naprawdę dużej klasy.

* * *

Rytuał związany z pozyskaniem familiara i czar do tego

niezbędny jest tak stary jak czarownice. Naturalnie ma tyle odmian, ile jest typów familiarów, i choć to prosty czar, niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwa innej natury. Jak choćby samotna wędrówka po dżungli, jako że w opinii dziadka jheregi miejskie zupełnie się do roli familiarów nie nadają (nie wyjaśnił dlaczego). Dziadek poza tym powiedział mi, co mam ze sobą wziąć, ale tylko w ogólnych zarysach ostrzegł, czego unikać. Na pytanie o szczegóły odparł, że mi ich nie poda, gdyż ich nie zna.

Przestraszyło mnie to, więc spytałem:

— Jesteś pewien, że to jest bezpieczne, noish—pa?

— Oczywiście, że nie jest. Przecież właśnie ci powiedziałem, co może ci grozić. Chcesz zrezygnować?

— Nooo nie. Chyba jednak zaryzykuję.

Spędziłem potem wiele godzin na studiowaniu informacji o wszystkim, co żyje w lasach na zachód od miasta. Tak na wszelki wypadek. Sądzę, że dziadek wiedział, że to robię, a nawet że chciał, bym tak postąpił, i dlatego w ten sposób sformułował swe ostrzeżenia. W rezultacie dowiedziałem się wiele, a jedną zasadę zapamiętałem na zawsze: należy dokładnie poznać wszystko, co może cię skrzywdzić.

Później wielokrotnie uratowało mi to życie.

* * *

— Zaraz, moment! — powiedziałem, gdy Sethra skończyła. — Właściwie dlaczego mam się wybrać na Ścieżki Umarłych?

* * *

Każdy pamięta uczucie towarzyszące pierwszemu przypięciu

rapiera i wyjściu na miasto. Jeszcze niezwykajny dodatkowego ciężaru objającego się o nogę, co i raz odruchowo sprawdzał dotykiem dłoni, czy broń rzeczywiście jest na miejscu... Jeżeli ktoś tego nie doświadczył, nigdy nie zrozumie, nie słyszał bowiem tego cichutkiego szeptu gdzieś w tyle głowy: Teraz jestem ważny, teraz muszą się ze mną liczyć.

Podobnie rzecz się ma, gdy pierwszy raz wsunie się nóż za cholewę buta lub przypnie pochwę z innym do przedramienia i zasłoni ją rękawem. Nagle czuje się, że ma się władzę, władzę życia i śmierci, a nie każdy zdaje sobie z tego sprawę, patrząc na ciebie...

I tak właśnie powinno być, bo nikt, kto nosi ukrytą broń, nie chce się z tym zdradzić przed nikim. Ulega natomiast zmianie sposób, w jaki spogląda się na życie. Zwłaszcza jeśli jest się szesnastoletnim człowiekiem w mieście Dragaerian.

Jest to wspaniałe uczucie.

Dlaczego zacząłem nosić ukrytą broń? Ano dlatego, że poradził mi tak ktoś, do kogo miałem zaufanie. Osoba ta powiedziała mi, że jeśli naprawdę pragnę pracować dla organizacji, to zdrowiej będzie dla mnie, jeżeli będę miał przy sobie rozmaite niespodzianki.

A właśnie nająłem się do pracy. Co prawda nie do końca zostało sprecyzowane, na czym moje nowe zajęcie ma polegać. Jasne było tylko, że od czasu do czasu będzie wymagało użycia przemocy i że zaczynam tego dnia. Jako człowiek, byłem niższy i słabszy niż Dragaerianin, ale starcia nie obawiałem się, wiedząc z doświadczenia, że mogę ich skrzywdzić. Albo i zabić. Robiłem to już.

Natomiast po raz pierwszy ktoś miał mi za to płacić — i nie miałem absolutnie nic przeciwko temu. Doskonale pamiętam

trasę z mieszkania do szewca, u którego miałem poznać swego nowego partnera. Na piersiach niosłem świeżo wyklutego jherega, który miał zostać moim familiarem. Opierał łeb o moją szyję, pazurkami trzymał mnie za koszulę, a od czasu do czasu następowała wymiana poglądów, naturalnie telepatycznie:

„Mama?”

„Nie. Tata.”

„Mama!”

Towarzyszyły temu uczucia ciepła i bezpieczeństwa, gdyż starałem się jak mogłem oszczędzać mu, póki nie podrośnie, co gwałtowniejszych nastrojów.

Był to zwrotny dzień w moim życiu i nawet zdawałem sobie z tego sprawę. Powietrze było świeże i pełne zapachów, przy boku miałem rapier, a na nogach buty na tyle krótko noszone, że mogły wyglądać na nowe, a równocześnie na tyle długo, by były wygodne. Pelerynę za to starą, ale w barwach Domu Jherega. Wiatr jeszcze ją rozwiewał, bo miała niewielką zawartość stali. Targał też moje włosy i było to dziwnie przyjemne. Ulice były ciche i spokojne jak zwykle wczesnym popołudniem, a...

Z lewej dostrzegłem nienaturalnie wyglądający cień przy ścianie jednego z budynków. Zwolniłem kroku. Cień kiwnął na mnie.

Podszedłem bliżej i powiedziałem:

— Witaj, Kiero.

* * *

Morrolan spojrział na mnie z niejakim obrzydzeniem, co wychodziło mu naprawdę przekonująco, i zaproponował:

— Spróbuj ty, może zrozumie.

Sethra kiwnęła głową i oznajmiła rzeczowo:

— Morrolan ma kuzynkę imieniem...

— Wiem, Alera.

— Właśnie. Ucierpiała w wybuchu, który zniszczył miasto Dragaerę, stolicę Imperium.

— Jak na razie rozumiem.

— Zdołałam ją uratować.

— I tu przestaję rozumieć. Morrolan powiedział, że ona nie żyje, tak?

— No tak.

— No właśnie.

Przyjrzała mi się z namysłem, bębniąc palcami po poręczy fotela. „Loiosh, rozumiesz z tego coś więcej niż ja?” — spytałem na wszelki wypadek. „Rozumiem. Już wcześniej mi wyszło, że zadajesz się z parą wariatów.”

„Aha. A poza tym genialnym spostrzeżeniem?”

Cisza.

Sethra w końcu przerwała milczenie:

— Śmierć nie jest ani tak prosta, ani tak jednoznaczna, jak możesz sądzić. Alera jest martwa, ale jej dusza została zachowana. Co prawda od Bezkrólewia uznawaliśmy ją za straconą, ale udało nam się ją odnaleźć i z pomocą twoją, jak też... innych wczoraj zdołaliśmy ją ostatecznie odzyskać.

— Doskonale. To po co ta cała wycieczka za Bramę Śmierci?

— Bo potrzebujemy żyjącej duszy, albo jeszcze lepiej — żyjącego ciała. Nekromantka może nam dostarczyć... nieważne — jej głos ucichł, a na twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

— No właśnie — powtórzyłem. — Najpierw mówisz, że odzyskaliście jej duszę, potem, że...

— Dusza nie jest ani tak prosta, ani jasna, jak możesz sądzić —

przerwała mi Sethra.

— Pięknie! — skomentowałem.

Nie byłem pewien, ale Chaz chyba się uśmiechnął.

— Dobrze — zaproponowałem. — Zacznijmy inaczej. W jaki sposób skończyła w tej lasce?

— To skomplikowane. W sumie umieścił ją tam Loraan. Znalazł ją zaraz po Bezkrólewiu na jakimś polu. Teraz...

— A skąd wiedziałaś, jak wygląda?

Popatrzyła na mnie z wyrzutem.

— Potrafię posługiwać się elementarną wróżbą.

— A, to przepraszam. To, że żyję, też mi wybaczysz?

— Zastanowię się.

— Łaskawco. Dobra, w jakim stanie jest więc jej dusza?

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, nim odpowiedziała mi pytaniem:

— Użyłeś kiedyś broni Morgantich?

Udało mi się zapanować nad mięśniami twarzy.

— Może — odparłem.

— W każdym razie miałeś z nimi do czynienia?

— Miałem.

— Wiesz, że broń Morgantich nie jest w stanie zniszczyć duszy kogoś, kto już nie żyje?

— Hmm... Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem... jakoś nie zauważyłem potrzeby wbijania jej w nieboszczyka... Ale to w sumie logiczne.

— To prawda. A przecież dusza pozostaje w ciele, gdyż inaczej nie dałoby się nikogo wskrzesić.

— Fakt.

— Wiesz o tym, że czasami ciała wysoce szanowanych przez ich Domy zostają posłane przez Wodospad zwany Bramą

Śmierci, by mogły spacerować po Ścieżkach Umarłych?

— Słyszałem.

— Więc potrafisz zrozumieć...

— Rozumiem, że ludzie mojej rasy nie mają wstępu na Ścieżki Umarłych i że jak dotąd nikomu poza Cesarzową Zeriką nie udało się stamtąd wrócić żywemu...

— Jedno i drugie jest prawdą, ale jeśli wyciągnie się wspólny wniosek, wygląda na to, że może właśnie ktoś z twojej rasy będzie mógł...

— Może? — przerwałem jej uprzejmie.

Zawahała się.

— Sądzę, że to wysoce prawdopodobne.

— Ślicznie. A co ja z tego będę miał?

— Możemy zapłacić...

— Nie chcę tego słyszeć. Od pewnej granicy kwota przestaje być wyobrażalna i mieć znaczenie. Za mniejszą nie pójdę, więc nie rozmawiamy o szczegółach.

Oboje wymienili spojrzenia, po czym odezwał się Morrolan:

— Chcielibyśmy cię przekonać. To naprawdę wiele dla nas znaczy, a nie ma nikogo innego, kto mógłby tego dokonać.

— Ta rozmowa dziwnie znajomo brzmi. Od samego początku wiedzieliście, że to się tak skończy?

— Braliśmy taką ewentualność pod uwagę — przyznała Sethra.

— A teraz dajecie mi alternatywę, że albo zrobię, co chcecie, albo mnie zabijecie.

— Nie — sprzeciwił się Morrolan. — Mówimy tylko, że jeśli się zgodzisz, będziemy naprawdę wdzięczni.

Szybko się uczyli, jak ze mną postępować, musiałem im to przyznać. Nie wiedziałem jeszcze natomiast, czy się z tego

cieszyć, czy też wręcz przeciwnie.

— Wasza wdzięczność będzie na pewno miła — przyznałem — ale jeśli nie przeżyję tej wycieczki, to...

— Myślę, że przeżyjesz — wtrąciła Sethra.

— Przepraszam, jak?

— Byłam tam. Mogę powiedzieć, których ścieżek unikać, a po których możesz poruszać się bezpiecznie. Mogę też ostrzec cię, jakie niebezpieczeństwa napotkasz i jak się przed którym obronić. Więc tak naprawdę będzie ci groziło tylko jedno niebezpieczeństwo, a sądzę, że w tej kwestii fakt, że jesteś, jak to określasz, „człowiekiem” i nie należysz do tego miejsca, wystarczy by...

— Jakie to niebezpieczeństwo?

— Ze strony tych, którzy tam rządzą. Władców Sądu.

Nie spodobał mi się ton, jakim to powiedziała. Zauważyłem także, że Chaz drgnął, gdy usłyszał te słowa. Powtórzyłem więc podejrzliwie:

— Władców Sądu?

— No wiesz... — wyjaśniła Sethra spokojnie. — Bogów.

Rozdział ósmy

Zauważyłem, że wbity w ziemię nóż wibruje, i zastanowiło mnie, co też to może znaczyć. Po chwili usłyszałem niskie, basowe buczenie. Koncentrowałem się, dopóki nie byłem w stanie rozróżnić poszczególnych uderzeń.

Uderzeń...

Tak, to był pomysł.

Skoncentrowałem się na rytmie i wyciągnąłem lewą dłoń grzbietem do dołu. Po czym zrobiłem to samo z prawą. Złączyłem je, obracając tak, by palce zetknęły się opuszkami. Poczułem, jak Loiosh rozkłada i składa skrzydła. Zamknąłem oczy i zdałem sobie sprawę, że jestem zmęczony, co mnie solidnie przestraszyło. Nadal miałem wiele do zrobienia.

Nie wiem, co się zmieniło, ale teraz buczenie splotło się z rytmem pulsującym we mnie. Ciekawiło mnie, jak to opiszę w księdze czarów. Jeżeli naturalnie zdecyduję się na to kiedykolwiek.

— Pięknie! Wręcz ślicznie!.. Chcesz mi powiedzieć, że jedyne, czego mogę się obawiać, to paru wkurzonych bogów? Cóż, w takim razie rzeczywiście nic nie może pójść źle. Pewnie, łatwizna i tyle.

Sethra przyjrzała mi się uważnie i oceniła spokojnie:

— Nie widzę powodów do aż takiej desperacji.

— Tak?

Morrolan włączył się do rozmowy:

— Pokaż mu laskę.

— Widzę ją wyraźnie — poinformowałem go zgodnie z

prawdą, gdyż stała oparta o fotel Sethry,

Ta jednak, nie zważając na moje słowa, wzięła ją i podała mi.

Na wszelki wypadek, zanim ją złapałem, spytałem:

— Dusza tej osoby nadal jest w niej?

— Tak — odparła Sethra. — Weź laskę.

— Po co?

— Żeby sprawdzić, czy coś poczujesz.

— A co mam poczuć?

— Być może nic. Jak długo jej nie weźmiesz, nie będziesz wiedział.

Miała dar logicznego przekonywania.

Westchnąłem i wziąłem laskę.

Była gładka i chłodna. Trzymałem ją już w ręku, ale wtedy byłem raczej zajęty i nie bardzo zwracałem na to uwagę. Miała barwę jasnego drewna, być może sporządzono ją z wierzby diamentowej...

„Czujesz coś, Loiosh?”

„Nie jestem pewien, szefie... coś czuję, tylko nie bardzo wiem co...”

I wtedy zdałem sobie sprawę, że ja także coś czuję.

Był to trudny do opisanego rodzaj obecności zaczynającej się w opuszkach palców. Byłem w stanie nawet wyrobić sobie ogólny obraz tej osoby: energicznej i niecierplivej. Bez dwóch zdań należała do Domu Smoka.

Co dziwniejsze, poczułem też instynktowną sympatię, choć nie wiem dlaczego. Oddałem laskę Sethrze ze słowami:

— Coś faktycznie poczułem.

— I co? — spytała.

— Co, co?

— Zrobisz to?

— Zwariowaliście?! Przyznałaś, że nikt poza Zeriką...

— Ale wyjaśniłam też, dlaczego sędzę, że przeżyjesz...

Prychnąłem i wpadłem na pomysł, który powinien załatwić sprawę.

— Dobrze, pójdę. Jeśli będziesz mi towarzyszyć i mnie chronić.

— Nie opowiadaj nonsensów — warknęła. — Gdybym mogła sama tam iść, nie byłbyś potrzebny.

— Dobra. Rozumiem. W takim razie może być Morrolan.

Prawie się uśmiechnąłem.

Chaz tym razem się uśmiechnął.

Sethra i Morrolan spojrzeli na siebie.

— Dobrze — oznajmił Morrolan. — Zgadza się.

Zatkało mnie.

— Zaraz... — wykrztusiłem.

Sethra szybciej odzyskała zdolność artykułowanej mowy.

— Władcy Sądu nie pozwolą ci opuścić PrzedSIONKA Sądu.

— Więc niech tak będzie.

— Ale... — zaprotestowała Sethra.

— Ale... — ja zaprotestowałem.

— Wyruszamy jutro — oznajmił rzeczowo Morrolan. — I myślę, że najlepiej będzie odtransportować cię natychmiast, żebyś miał dość czasu, by przygotować się do drogi.

* * *

Twarz Kiery w większości zakrywał kaptur płaszcza, jej głos zaś jak zwykle był cichy, choć nie był jeszcze szeptem:

— Witaj, Vlad.

— Dziękuję.

Uśmiechnęła się leciutko:

— Więc wiesz.

— Wiem, że tylko ty mogłaś o mnie rozmawiać z Nielarem.

Dziękuję.

— Mam nadzieję, że będziesz miał za co.

— Ja też. Dlaczego sądzisz, że może być inaczej?

— Praca dla Jherega może być niebezpieczna.

— Tłukę Dragaerian przy każdej nadarzającej się okazji.

Dlaczego mają mi za to nie płacić?

Przyjrzała mi się uważnie, nim spytała:

— Aż tak nas nienawidzisz?

— Ich. Nie ciebie.

— Jestem Dragaerianką.

— Ale nie jesteś jedną z nich.

— Może nie.

— Poza tym muszę jakoś zarobić trochę gotówki, jeśli nie chcę wrócić do ludzkiego getta.

— Wiem — tym razem pokazała w uśmiechu zęby. — Nie byłoby stosowne, gdybyś tam mieszkał. W końcu jesteś arystokratą z tytułem.

Uśmiechnąłem się i nic nie powiedziałem.

Po paru sekundach milczenia zaproponowała:

— Jest kilka rzeczy, które powinieneś wiedzieć. Chcesz posłuchać?

— Naturalnie. Jesteś bardzo miła.

— Bo cię lubię.

Już mi to mówiła i często zastanawiałem się dlaczego.

Zastanawiałem się też, ile miała lat, ale o pewne rzeczy nie należy pytać.

Trochę też mi się spieszyło, ale Kiera nie należała do osób marnujących czas na puste gadanie. Dlatego powiedziałem

poważnie:

— Zamieniam się w słuch.

— Najważniejsze, Vlad, jest to, byś nie dał się ponieść złości. Martwy dłużnik nie zapłaci, a jeśli tego nie uczyni, to ty nie zarobisz. A jeśli ściągniesz należność, nie robiąc każdemu, kto nie zapłaci w terminie, krzywdy, twój pracodawca to doceni. Możesz sobie z tego nie zdawać sprawy, ale Jhereg ryzykuje sporo za każdym razem, gdy używa przemocy, dlatego cenieni są pracownicy potrafiący rozróżnić, kiedy należy jej użyć, a kiedy nie. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Tak na dobrą sprawę to dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że za mniej niż godzinę prawdopodobnie będę musiał zaatakować kogoś, kogo nigdy wcześniej nawet nie widziałem. Dziwne uczucie tak łąć kogoś z zimną krwią. Ale cóż: życie jest ciężkie.

— Coś jeszcze? — spytałem.

— Słyszałeś cokolwiek o Lewej Ręce Jherega?

— O... o czym?

— Nie słyszałeś. Organizacja, którą znasz, czerpie zyski z dostarczania dóbr i usług, które są albo nielegalne, albo wysoko opodatkowane. Zgadza się?

— Sądzę, że tak. Nigdy tak nie myślałem, ale to prawda.

— Oprócz tego istnieje jedna branża, o której dotąd nie miałeś pojęcia. To magia. Wiesz, że są pewne zastosowania magiczne uznane za nielegalne, jak na przykład wykorzystanie magii do włamań, magiczne łamanie woli czy nakłanianie do jakichś działań przy jej użyciu. Jak to ładnie ujął Demon: za każdym razem, gdy władze tworzą nowe prawo, otwierają okazję do nowego interesu.

— Kto tak powiedział?

— Demon.

— A kto to taki?

— Chwilowo nieważne. Lewa Ręka Jherega składa się w większości z kobiet, choć nie wiem dlaczego, i zajmuje się takimi właśnie nielegalnymi usługami magicznymi.

— Rozumiem.

— Trzymaj się od nich z daleka. Nie jesteś w stanie z nimi walczyć, a jeszcze zbyt mało wiesz, byś mógł się skutecznie obronić przed ich machinacjami.

— Będę pamiętał. Dzięki, Kiero.

Kiwnęła głową i dodała ciszej:

— Powodzenia, Vlad.

Po czym stopiła się w jedno z cieniem budynku i zniknęła.

* * *

Kiedy znalazłem się w domu, zacząłem się zastanawiać, jak właściwie mam się przygotować do podróży do krainy zmarłych. Co było dla mnie absolutnym debiutem.

No bo tak: człowiek wie, jak się przygotować, dajmy na to, do wyjazdu z miasta, ja osobiście wiem, jak się przygotować do zabicia kogoś. Mam nawet pewne wyobrażenie o tym, jak się przygotować do spędzenia nocy w lesie. Ale pojęcia nie miałem, co należałoby zabrać w odwiedzinach do krainy cieni, ich sług i bogów. Nie mówiąc o tym, jak się ubrać.

Zdecydowałem ubrać się normalnie, czyli w szary płaszcz z pełnym wyposażeniem oraz w czarne buty do konnej jazdy. Nie żebym planował jakąś konną jazdę — siedziałem już na koniu i jeżeli byłoby to moje ostatnie doświadczenie jeździeckie w życiu,

nie miałbym nic przeciwko temu. To, że dziadek uważał, że każdy człowiek jest urodzonym kawalerzystą, nie miało zastosowania w moim przypadku, choć nie uznałem tego za aż tak ważne, by mu o tym oznajmić.

Zastanawiała mnie też zgoda Morrolana, bo z tego co wiedziałem, jego szansę na wyjście z życiem z wyprawy wynosiły zero. Moje zresztą niewiele więcej — Sethra nigdy nie powiedziała, że będę bezpieczny. Zwłaszcza przed gniewem bogów.

Bogowie... czasami wraz z dziadkiem brałem udział w rodzinnych rytuałach, prosząc Boginię Demonów o ochronę, ale tak naprawdę to nigdy bardziej niż w połowie nie byłem przekonany o jej istnieniu. Wielu ludzi, których znałem, wierzyło w jednego lub więcej bogów, a nawet ci, którzy nie wierzyli, ścisiali głos, wymawiając ich imiona. Natomiast wszyscy Dragaerianie wydawali się wierzyć w ich istnienie, a mówili o nich tak rzeczowo, że wielokrotnie zastanawiałem się, co też rozumieją pod słowem „bóg”. Będę musiał to któregoś dnia wyjaśnić.

Albo też wyjaśni się samo w czasie tej podróży, co znów spowodowało problem główny, czyli przygotowań. Morrolan uprzedził mnie, że podróż potrwa kilka dni, jako że teleportować możemy się jedynie w pobliże, a nie do samego wodospadu. Ponoć z wodą i pożywieniem nie powinniśmy mieć problemów, za to pogody przewidzieć się nie da. Peleryna była całkiem ciepła, kiedy się nią owinąć, a przewiewna po odrzuceniu na boki. Była też wodoodporna.

„Masz jakieś pomysły co zabrać?” — spytałem Loiosha.

„Zaczarowany sztylet. Na wszelki wypadek.”

„Zawsze mam jeden przy sobie. Co jeszcze?”

„Ten nowy łańcuszek, czy co to tam jest.”

„Fakt. Dobry pomysł.”

„Zapasy do rzucania czarów?”

„Właśnie nie wiem. Dlatego ciebie pytam.”

„A myślałeś, żeby je zabrać, szefie?”

„Chyba myślałem.”

Spakowałem wszystko, dodałem trochę jagód na sen i liści kelsh, gdybym potrzebował dłużej obyć się bez snu. A potem nawiązałem kontakt telepatyczny z Morrolanem, co chwilę potrwało, gdyż aż tak dobrze go nie znałem.

W końcu się udało:

„Kto?”

„Vlad Taltos. Będą gotów za godziną.”

„Doskonale. Gdzie się spotkamy?”

„W Południowej Adrilankhce jest taki lokal. Nazywa się »U Ferenka«...”

* * *

Za każdym razem, gdy odwiedzam jakiegoś szewca, nie mogę się nadziwić, jak udaje mu się wykonać buty pasujące na nogę zamawiającego je klienta. Powód jest prosty — jeszcze nie widziałem warsztatu, w którym nie byłoby ciemno, ani szewca, który by nie mrużył oczu niczym półślepiec.

To, co miał na sobie ten konkretny szewc, identyfikowało go — podobnie jak podłużna twarz i grube palce — jako należącego do Domu Chreothy. Brudu za paznokciami miał dość na sporą grządkę, za to siwych włosów na głowie jak na lekarstwo. Tym dziwniej na tym tle wyglądały ciemne, krzaczaste brwi. Pomieszczenie pachniało skórą i różnymi oliwami, ale poza

tym, że było ciemne i ponure, nie mogłem określić, jak wygląda.

Szewc powitał mnie cichym chrząknięciem i wskazał ciemniejszą plamę, która okazała się stołkiem wykonanym ze zszytych ścinków skór naciągniętych na drewnianą ramę. Usiadłem na tym wynalazku ostrożnie, ale jakoś się nie zarwał i nie złożył. Odetchnąłem z pewną ulgą. Jak na Dragaerianina, stółek był zdecydowanie za mały, co stanowiło miłą odmianę, gdyż niewiele jest rzeczy bardziej irytujących od siedzenia na stołkach czy krzesłach wykonanych dla kogoś wyższego.

Szewc wyczłapał z pomieszczenia, zapewne by poinformować Nielara, że się zjawiłem. W końcu to Nielar mnie zatrudnił po niezbyt miłym incydencie związanym z grą w sherebę w jego lokalu. Ponieważ Kiera z nim rozmawiała, zaproponował mi pracę. Właśnie się w niej zjawiłem. Miałem też poznać nowego partnera...

— Ty musisz być Vlad Taltos — rozległ się niespodziewanie głos.

Podskoczyłem i omal nie wyciągnąłem noża z rękawa.

„Mama?”

„Tata. Wszystko w porządku, Loioosh.”

„?... Mama!”

Cholera, siedział na wprost mnie, a go nie zauważyłem!

To pewnie przez ten przekłety półmrok. Uśmiechał się lekko, zadowolony z wrażenia, ale zdecydowałem, że go za to nie znienawidzę. Dam mu szansę się zasłużyć.

— Jestem — przyznałem. — A ty musisz być Kragar, jak sądzę.

— Też tak sądzę. Ponieważ jesteśmy zgodni w tych przypuszczeniach, możemy spokojnie przyjąć, że to prawda.

— Aha.

Nadal obserwował mnie z tym samym ironicznym

uśmieszkiem i zacząłem się zastanawiać, czy specjalnie mnie nie prowokuje, by sprawdzić, jak dalece potrafię nad sobą zapanować. Nie lubiłem, jak ktoś mnie prowokował. I nie lubiłem cwaniaków. Ale sprowokować się nie dałem.

W końcu Kragar odezwał się:

— Jest facet, który wisi Nielarowi pewną kwotę. Niewiele: czterdzieści imperiali. Ale jest uparty, co w końcu zirytowało Nielara. Jeśli odzyskamy tę kwotę, będziemy mieli do podziału cztery imperiale.

Zdołałem utrzymać obojętną minę, słysząc, że czterdzieści sztuk złota to niewiele. To mogło całkiem dobrze wróżyć na przyszłość.

— Idziemy? — spytał i wręczył mi pałkę o średnicy półtora cala, długą na dwie stopy.

Zważyłem ją w ręku — była wystarczająco ciężka, by zrobić komuś krzywdę.

— Nielar mówił, że wiesz, jak się tym posługiwać — dodał.

— Wiem — przyznałem. — Tak jak nogą od krzesła.

— Czym?!

— Elementem mebla powszechnego użytku — wyjaśniłem cierpliwie, czując, że wraca mi humor. — Jak mamy iść, to chodźmy.

— Zgoda.

Zanim dotarliśmy do biura, upewniłem się:

— Ty będziesz gadał, tak?

— Nie. Ty będziesz.

* * *

— Jak długo cię nie będzie, Vlad?

— Nie wiem, Kragar. Musisz dopilnować spraw najlepiej jak potrafisz. Jeśli będę miał szczęście, to wrócę za trzy—cztery dni. Jeśli nie, to nie wrócę w ogóle.

Przygryzł wargę, co, jak mi się wydaje, przejął ode mnie, i powiedział:

— Mam nadzieję, że będziesz coś z tego miał.

— Ja też.

— Cóż... powodzenia.

— Dzięki.

* * *

Kiedy dotarliśmy z Loioshem do Ferenka, barman rozpoznał nas od razu i skrzywił się tylko trochę. Kiedy jednak zobaczył Morrolana, jego opanowanie okazało się niewystarczające, za to mina warta dużych pieniędzy.

Uśmiechnąłem się promiennie i poleciłem:

— Dwa razy to samo co zwykle. Jestem pewien, że pamiętasz, jak nalać.

Pamiętał.

A Morrolan, jak się okazało, lubił ferrariańską brandy, znał jej smak i wiedział, jak się pije. Natomiast nie wiedział o istnieniu tego lokalu i, jak mi się zdaje, był zadowolony z faktu, że jest jedynym Dragaerianinem wśród klientów. Biorąc pod uwagę, że Kiera trafiła tu sama, ciekaw byłem reakcji stałych bywalców (i barmana naturalnie) na ostatnią popularność knajpy wśród Dragaerian. Jakakolwiek była, Morrolan z pewnością bawił się lepiej od barmana.

Po paru szklaneczkach wyszliśmy i zatrzymaliśmy się po kilku krokach. Morrolan zamknął oczy, a po chwili kiwnął głową.

Przygotowałem się na to, że zrobi mi się niedobrze.

Adrilankha zniknęła.

I zrobiło mi się niedobrze.

Nie cierpię teleportów!

* * *

Cel naszego spaceru mieszkał jakieś pół mili od szewca. Dla zabicia czasu zapytałem Kragara, co o nim wie.

— Niewiele — przyznał. — Należy do Domu Orki, a Nielarowi zalega z oddaniem długu już dość długo.

— Orka? Miło słyszeć!

— Dlaczego?

— Nieważne.

Spojrzał na mnie, bo nie zabrzmiało to przekonująco, ale nie skomentował.

— Duży jest? — zaciekawilem się po paru krokach.

Wzruszył wymownie ramionami.

— Co za różnica? Jak się walnie odpowiednio mocno, każdy padnie.

Przypomniała mi się rada Kiery.

— Mamy go stłuc czy odzyskać kasę? — spytałem. — Co ważniejsze?

Odkryłem ze zdziwieniem, że się denerwuję. Do tej pory, kiedy kończyło się pobiciem kogoś, zawsze sprawy toczyły się same i szybko. Teraz było inaczej.

Kragar wzruszył ramionami:

— Kasa jest celem. Ale sposób zależy od ciebie.

Zaskoczył mnie tak, że przystanąłem.

— O co chodzi? Ty już robiłeś podobne rzeczy, ja nie. To

dlaczego ja mam o wszystkim decydować?

— Bo zgodziłem się pracować dla Nielara, pod warunkiem że nigdy nie będę musiał rozkazywać.

— Proszę? Dlaczego?

— Nie twoja sprawa.

Przyjrzałem mu się i dopiero wtedy zauważyłem, że musi pochodzić z Domu Smoka. To wręcz biło z jego rysów. Tym mniej rozumiałem — Smoki rozkazywanie miały we krwi. Musiał mieć niezłą historię, skoro tak się przed tym bronił.

Nie skomentowałem tego jednak i ruszyliśmy w dalszą drogę. A ja obserwowałem spod oka towarzysza. Miał prawie siedem stóp wzrostu, proste, brązowe włosy, brązowe oczy i żadnych wyróżniających znaków szczególnych. Zagadkę stanowiło, dlaczego teraz należał do Domu Jherega i co tu w ogóle robił...

Rozmyślenia przerwał mi lekki dotyk jego dłoni na ramieniu. Kragar wskazał budynek, do którego się zbliżaliśmy, ozdobiony wizerunkiem wyjącego wilka. Wyglądał na zadbany i w dobrym stanie. Weszliśmy. Był w dobrym stanie, co było miłe, gdyż musieliśmy wdrapać się na drugie piętro. Potem skręciliśmy w lewo i stanęliśmy przed drzwiami.

Kragar zaklaskał.

Drzwi otworzyły się.

Stanął w nich Orka, wytrzeszczył oczy na mój widok i spytał:

— Czego, Wąsaty?

Jakie miłe indywiduum!

Od razu przeszły mi jak ręką odjął: zdenerwowanie i niepewność, jak powinienem to rozegrać i co powiedzieć. Wepchnąłem mu energicznie koniec kija w żołądek.

Wydał dźwięk w rodzaju:

— Oooph!

I złożył się wpół.

Nie wiem — może złamałem mu jakieś żebro. Nie miałem wystarczająco dobrego wyczucia. No i ciekaw byłem, czy to ten, o którego chodzi.

Czubek jego głowy znalazł się na tak atrakcyjnym poziomie, że prawie mu przyłożyłem pałą. Przypomniałem sobie w ostatnim momencie słowa Kiery i pchnąłem go łagodnie nogą. Przewrócił się na plecy i znieruchomiał zwinięty w kłębek. W tym momencie uświadomiłem sobie, jak łatwo załatwić kogoś, kto się nie spodziewa ataku.

Przyłożyłem mu nieźle, ale Orki są wytrzymałe — już się przekręcił na brzuch. Na wszelki wypadek postawiłem mu nogę na plecach. Kragar zrobił to samo, więc zdjąłem swoją, obszedłem leżącego i przykucnąłem koło jego głowy. Zaczął się rozglądać — najprawdopodobniej dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest nas dwóch.

Spojrzał na mnie bykiem.

Tknięty nagłym impulsem wyciągnąłem delikatnie zza koszuli Loiosha, podstawilem leżącemu pod nos i spytałem:

— Jesteś głodny, Loiosh?

Zareagował standardowo:

„Mama?”

„Nie, tata. Wszystko w porządku.”

„Mama!”

I wyciągnął język, badając nowe źródło zapachu, czyli Orkę. Ten już nie spoglądał na mnie ze złością, lecz ze strachem.

— Jesteś winny pieniądze — powiedziałem łagodnie.

— Dajcie wstać... — wychrypiął. — To wam oddam.

— Nie nam, bo nie nam jesteś dłużny. Masz zapłacić temu, od kogo pożyczyłeś. Jeśli nie zapłacisz, wrócimy. Masz dwadzieścia

cztery godziny. Zrozumiałeś?

Zdołał skinąć głową.

— To dobrze — pochwalilem go i wstałem.

Schowałem Loiosha w zanadrze i wyszedłem, nie odwracając się.

Kragar bez słowa poszedł za mną.

— Dlaczego nie wzięłeś pieniędzy? — spytał, kiedy znaleźliśmy się już na ulicy.

— Proszę?... Nie wiem. Jakoś nie wydało mi się to właściwe... coś jak kradzież.

Kragar roześmiał się.

Patrząc na to z perspektywy czasu, przyznaję, że zabrzmiało to zabawnie. Wtedy nieco mną zatrzęsło: gdyby Kragar skomentował to choć słowem, chybabym mu przyłożył.

Nim wróciliśmy do szewca, uspokoiłem się.

Tym razem szewca nie było, za to był Nielar. Zignorował Kragara, obejrzał mnie dokładnie i spytał:

— I co?

— Nie wiem — przyznałem uczciwie.

— Nie wiesz?!

— Miał mieć przylizane czarne włosy, szeroką gębę, małą bliznę przez nasadę nosa i nie mieć szyi? — spytałem.

— Blizny nie zauważyłem, ale reszta się zgadza. To on.

— Aha. No to rozmawialiśmy z właściwym.

— Miło. O czym żeście rozmawiali?

— Poprosiliśmy go, żeby ci oddał to, co ci jest winien.

— A co on powiedział?

— Zdaje się, że po dokładnym rozważeniu sprawy obiecał, że odda.

Nielar powoli pokiwał głową i spytał:

— No, dobrze... gdzie Kragar?

— Tu — odezwał się z lekka rozbawiony Kragar.

— To się nie chowaj na przyszłość. Co sądzisz?

— Zapłaci. Daliśmy mu dobę. Vlad dobrze się sprawił.

Nielar ponownie przyjrzał mi się uważnie.

— W porządku — ocenił w końcu. — Będę z wami w kontakcie.

Skinąłem mu na pożegnanie głową i wyszedłem.

Chciałem pogadać z Kragarem, ale go nigdzie nie zauważyłem. Po paru minutach czekanie znudziło mi się i poszedłem do domu.

* * *

Dotarłem do domu nieco zmęczony, ale dziwnie radosny i zadowolony z życia, co mi się od dawna nie zdarzyło. Nakarmiłem Loiosha krowim mlekiem i położyłem się spać na leżance, tak by mieć malca na brzuchu.

Możliwe, że się uśmiechałem.

* * *

Pierwsze co zauważyłem to niebo. Nadal miało obrzydliwy pomarańczowo—czerwony kolorek, ale wydawało się czyste i jakby wyższe, choć to dziwnie brzmi. Stałem w sięgającej pasa trawie i jak okiem sięgnąć, nie widać było drzewa, góry czy choćby jakiegoś zabudowania.

Staliśmy na tej gigantycznej łące — Morrolan najwyraźniej uprzejmie czekał, żeby mi przeszły uboczne skutki teleportacji. Ja też na to czekałem, rozglądając się przy okazji. Coś mi nie dawało spokoju i w końcu ustaliłem co, a potem spytałem:

— Poddaję się: jak można teleportować się w miejsce całkowicie pozbawione charakterystycznych elementów, które dało by się zapamiętać?

Morrolan uśmiechnął się:

— Wyobrażając sobie kawał pustej łąki i mając nadzieję, że nic nie pojawi się w miejscu, w które przerwuci cię magia.

Wybałuszyłem oczy ze średnio głupią miną, bo uśmiechnął się w odpowiedzi jeszcze uprzejmiej.

— Aha... — wybąkałem po chwili. — Chyba się udało.

— Też tak sędzę. Możemy ruszać?

— A w którą stronę?

— A, zaraz... — zamknął oczy, obrócił się powoli na pięcie i znieruchomiał. — W tę.

Wskazany kierunek niczym się nie wyróżniał, ale ruszyliśmy. Loiośh latał sobie nad nami, wiatr był chłodny, ale nie przenikliwy, Morrolan zaś uprzejmie zwolnił kroku, żebym nie musiał gonić go półbiegiem.

Próbowałem nie rozważać, co nas czeka u celu podróży, ale biała laska z rdzawą gwiazdką, którą Morrolan cały czas trzymał w ręku, skutecznie mi to przypominała.

Rozdział dziewiąty

Obiekt moich pragnień znajdował się tam, a potrzebowałem go tu. Połączenie miałem prawie gotowe — świadczyły o tym wibrujący nóż i świecąca runa. Żeby osiągnąć to, co chciałem, musiałem przerwać barierę przestrzeni i spowodować zaistnienie czegoś, co nie istniało, niszcząc równocześnie coś istniejącego, a w sumie nie robiąc żadnej z tych rzeczy, a jedynie dokonując pewnej przestrzennej poprawki.

Brzmiało to dość ogłupiająco. Zrobienie tego było znacznie bardziej ogłupiające.

Stałem się jednością z rytmem i falowaniem, dźwiękiem i widokiem, z wibrującym nożem, falującym horyzontem i świecąca runą.

Zostały złączone moją wolą i symbolami na podobieństwo zonglerki umysłem, o ile można to tak nazwać.

Teraz przyszła kolej na najtrudniejsze.

Tej nocy spaliśmy pod gołym niebem, co brzmi szalenie romantycznie, ale romantyczne nie jest. Jeśli ktoś jest przyzwyczajony do uczciwego łóżka, goła ziemia nie jest przyjemnym materacem. Morrolan na szczęście postarał się, by nie było zimno, przynajmniej w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. I nie chrapał. Jeżeli ja chrapałem, to nic na ten temat nie wspomniał.

Nie mieliśmy żadnych utensyliów kuchennych, ale też nie potrzebowaliśmy ich. Morrolan był lepszy od najlepszego szefa kuchni: piłem herbatę z niewidzialnej szklanki i jadłem świeżo upieczony chleb, którego ze sobą nie zabraliśmy. Na deser były

wyjatkowo soczyste jagody, których wkoło rosło zatrząsienie.

Spoglądając na zmniejszający się walec płynu trzymany w dłoni, powiedziałem z uznaniem:

— Taką magię chciałbym znać i umieć się nią posługiwać.

Morrolan nie odpowiedział, ale wiedziałem, że taki rodzaj magii jest najtrudniejszy.

* * *

Rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Dzień był ciepły, powietrze przejrzyste i wkrótce dostrzegłem odległe pasmo gór.

— To nasz cel?

Morrolan przytaknął bez słowa.

— Ile czasu mówileś zajmie nam dojście tam?

— Nieważne. Jak tylko dotrzemy wystarczająco blisko, by rozróżnić szczegóły, teleportuję nas tam.

W sumie trudno było żywić do niego wrogość. Może dlatego że dzień był ładny, a spacer przyjemny. Ptaszki śpiewały, wietrzyk wiał i inne takie nastrajały sielsko.

Loiosh latał sobie, podjadał, co znalazł, i ogólnie był ciężko zadowolony, o czym dość regularnie mnie informował. Od czasu do czasu przelatywały też nad nami dzikie jheregi, ale ignorował je.

One jego też.

* * *

Po południu zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Morrolan znowu doskonale się spisał jako zaopatrzeniowiec. Nie wiem, czy

tworzył to, co jedliśmy, czy teleportował skądś. Podejrzewam, że to pierwsze, gdyż poza napojami smakowało średnio. W czasie posiłku przyglądał się górom, ale na moje pytanie oznajmił, że jesteśmy jeszcze za daleko, by teleportacja była bezpieczna. Nie przeszkadzało mi to — marsz był spokojny.

Ale nie dawało mi spokoju pytanie, kiedy zacznie się robić niebezpiecznie.

* * *

Następnego dnia otrzymałem wiadomość od Nielara. Tym razem miałem się z nim spotkać w jego biurze położonym na tyłach salonu gry, który z kolei położony był z tyłu niewielkiego sklepu z zapasami czarnoksiężskimi.

Wpuszczono mnie natychmiast, nie wpytując kto i po co.

Kiedy wszedłem, Nielar wskazał mi krzesło i powiedział:

— Poczekamy na Kragara.

Z boku, od drzwi, rozległ się głos:

— Już tu jestem.

Obaj z Nielarem podskoczyliśmy, ale odchrząknął tylko on:

— Skoro jesteś, to nie będziemy czekać — oznajmił. — Oto wasze cztery imperiale do podziału, a tu są kolejne cztery dla ciebie, Vlad, za pierwszy tydzień. Teraz pracujesz dla mnie, zgoda? Chcę, żebyś był tu jutro wieczorem i dopilnował gry.

Wziąłem osiem monet i oddałem Kragarowi dwie z nich. Właśnie zarobiłem więcej, niż przynosiła mi restauracja przez miesiąc.

— Zgoda, szefie — oświadczyłem.

* * *

Morrolan stanął nagle bez ostrzeżenia i zamarł, wpatrując się w coś z przodu, nieco w lewo. Spojrzałem w tym samym kierunku, lecz poza prerią i górami niczego nie zobaczyłem. Poprosiłem więc telepatycznie:

„Loiosh, sprawdź, co go tak zaciekało.”

„Lecę, szefie.”

Staliśmy tak przez prawie minutę, nim Loiosh oznajmił:

„Szefie, musisz to zobaczyć.”

„Dobra. Pokaż mi.”

Skupiłem się, zamknąłem oczy i pozwoliłem, by umysł wypełnił mi obraz tego, co widział Loiosh. Widok był zaiste niecodzienny.

Zbliżało się do nas ze dwadzieścia istot. Nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek biegł tak szybko albo z taką gracją. Miały po cztery nogi, czy raczej łapy, gdyż od pasa w dół były to koty, a od pasa w górę prawie ludzie. Co się tyczy wielkości, to były mniejsze niż dzur, ale większe od tiassy. No i bez skrzydeł. Każda miała włócznię.

„Koty—centaury, Loiosh?” — upewniłem się.

„Tak mi się wydaje. Nie wiedziałem, że naprawdę istnieją.”

„Ja też nie. Interesujące.”

„Tym bardziej że biegną do nas.”

„Tak mi się wydaje.”

Przerwałem kontakt i otworzyłem oczy.

Teraz mogłem je już dostrzec jako zamazaną plamkę. Plamka zbliżała się jednak błyskawicznie, rozdzielając na poszczególne osobniki. Zauważyłem, że Morrolan nie sięgnął po broń, co mnie nieco uspokoiło. Dopiero wtedy usłyszałem cichy odgłos łap bijących o ziemię. Jak na swą wielkość i szybkość były

niesamowicie ciche.

I nagle wyrosły przed nami. I stanęły, opierając drzewce włócznie o ziemię. Przyglądały się nam z ciekawością i bez wrogości. Mimo że ich twarze były dziwnie ludzkie, żaden nawet nie mrugnął — tak jak kot. Żaden też nie oddychał ciężko i odniosłem nieodparte wrażenie, że bieg stanowił dla nich przyjemność, a nie konieczność. Włócznie miały metalowe, maszynowo wykonane groty, co świadczyło albo o kontaktach z cywilizacją, albo o wyższym poziomie rozwoju, niż wskazywałby wygląd. Żaden nie nosił ubrania, ale wielu miało tornistry lub sakwy przytroczone do pasów. Największe wrażenie robiły potężnie umięśnione tylne łapy.

Ponieważ milczenie się przeciągało, spytałem:

— Co jeszcze robicie dla rozrywki?

Morrolan spiorunował mnie wzrokiem, za to stojąca na czele grupy uśmiechnęła się i odparła:

— Gonimy różne stworzenia.

Mówiła po dragaeriańsku, bez śladu jakiegokolwiek akcentu.

Loiosh zdecydował się dołączyć do towarzystwa i wylądował na moim ramieniu. Jego widok nieco ją zaskoczył, toteż na wszelki wypadek przedstawiłem się:

— Jestem Vlad Taltos.

— A ja Morrolan — dodał Morrolan.

— Mnie nazywają Mist — odparła.

— To dlatego, że kiedy rzuca włócznię... — zaczął stojący obok czerwonooki kot—centaur.

— Zamknij się, Brandy! — zgasła go spokojnie.

Wywołało to ogólną wesołość wśród nich. I u Loiosha, choć z tego tylko ja zdawałem sobie sprawę.

— Jhereg na twoim ramieniu... to twój przyjaciel? — spytała.

— Tak.

— Jheregi żerują na kotach—centaurach.

— Na martwych ludziach także.

Odpowiedź chyba ją zadowoliła, gdyż zmieniła temat:

— Co was sprowadza na Wieczną Równinę?

Odpowiedzią zajął się Morrolan:

— Podróżujemy do Bramy Śmierci.

Wszyscy cofnęli się jak jeden. Pochyliłem się, zerwałem poziomkę i zjadłem, czekając, co będzie dalej.

Po chwili Mist spytała:

— Zakładam, że macie ku temu poważny powód.

Nim Morrolan zdążył odpowiedzieć, z grupy rozległ się głos:

— Pewnie: wybrali się na majówkę.

— Birch, nikt cię nie pytał o zdanie — stwierdziła ostro Mist.

Na wszelki wypadek spytałem:

— To prawdziwe włócznie?

— Zamknij się, Vlad! — warknął Morrolan.

Loiosh śmiał się do rozpuku. Wyglądało na to, że część grupy Mist także. Ja bawiłem się niezgorzej. Morrolan i Mist spojrzeli na siebie i potrząsnęli ze smutkiem głowami.

Mist zaproponowała:

— Poczekajcie tu, ścigamy dużą dziką kethnę. Kiedy ją upolujemy, podzielimy się z wami.

— Zajmiemy się przygotowaniem ogniska — powiedział Morrolan, po czym dodał już mniej pewnie: — Gotujecie mięso?

— Skądże! — obruszył się Brandy. — Wolimy surowe, ociekające krwią i jeszcze paru...

— Zamknij się, Brandy! — w głosie Mist nie było złości. — Ognisko byłoby miłe.

— W takim razie do zobaczenia wkrótce — zaproponował

Morrolan.

— Szybciej niż wkrótce — pożegnała go.

I cała grupa pognęła z tą samą co poprzednio szybkością.

* * *

Niedaleko od mojego mieszkania mieścił się dobry zakład krawiecki. Następnego popołudnia odwiedziłem go i zleciłem uszycie nowej, szarej peleryny i nowego kaftana. Krawiec skomentował to pytaniem:

— Poprawiło się finansowo, co?

Ponieważ nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, tylko kiwnąłem głową. Pojęcia nie mam, co odczytał w tym geście, ale jego oczy nagle się rozszerzyły i pojawiło się w nich coś na podobieństwo strachu. Podałem mu wymagania dotyczące wewnętrznych kieszeni i tym razem strach stał się wyraźny, ale komentarza już nie było.

Odwróciłem się i rzuciłem przez ramię:

— Spodziewam się ich za tydzień.

— Będą gotowe — potwierdził pośpiesznie.

Zawsze chciałem mieć kapelusz z szerokim rondem i piórem, ale go sobie nie sprawiłem. Przeszkadzałyby potem Loioshowi, a mnie już teraz w wykonywaniu zleceń.

Poszedłem za to do znajomego płatnerza specjalizującego się w wyrobie noży i kupiłem pół tuzina wraz z pochwami i rzemykami do mocowania w różnych miejscach.

Postanowiłem bowiem nauczyć się rzucać różnymi ostrymi narzędziami.

* * *

Wieczorem zjawiłem się u Nielara. Kiwnął mi głową na powitanie i wysłał do salonu gry. Parę dni wcześniej sam tu grałem w sherebę i zostałem usunięty (wyrzucony to zbyt mocne słowo). Najciekawsze, że za coś, czego nie zrobiłem. Teraz zająłem miejsce ochroniarza (poprzednio był nim całkiem duży Dragaerianin z Domu Jherega). Starąłem się wyglądać na równie odprężonego i kompetentnego jak on. Myślę, że częściowo mi się udało.

Za to podobało w stu procentach.

* * *

Resztę dnia spędziliśmy, jedząc i zaprzyjaźniając się z kotami —centaurami. Nie zbliżyło nas to wprawdzie do celu, ale sprawiło dużą przyjemność. Z zasady nie uprawiam hazardu, ale ci biedacy nawet nie wiedzieli, jak się gra w s'yang, więc byłem zmuszony im to zademonstrować. Inaczej się po prostu nie godziło. Było też o co zagrać, niektóre kawałki kethny są bowiem smaczniejsze od innych. Ponieważ nowi znajomi okazali się pojętnymi uczniami, skończyłem grać, gdy zaczęli łapać, o co chodzi.

Mist oceniła to raczej trafnie:

— Podejrzewam, że za parę tygodni nie będę ci wdzięczna, że nas tego nauczyłeś.

— To tylko niewinna rozrywka — wyjaśniłem między gryzami wygranego pieczystego.

Stare powiedzenie mówiło prawdę: to nie gra jest miła, lecz wygrywanie.

Zabawne było przekomarzanie się z nimi, bo lubili złośliwości.

Szybko nauczyłem się jednak, by im za ostro nie dogryzać — po ruchach ogona widać było, kiedy przestają tak naprawdę mieć ochotę do dalszego śmiania się z siebie. Morrolan za pomocą magii wyleczył trójkę z podobnych uszkodzeń lewych przednich łap.

— Sporo podobnych obrażeń ostatnio wystąpiło — wyjaśniła Mist, dziękując mu.

— Przekleństwo? — zainteresował się Morrolan.

— Raczej pech.

— Sporo go ostatnio — zauważył.

— Zwłaszcza tam, dokąd się udajecie.

Morrolan wzruszył ramionami.

— Wątpię, żebyście wiedzieli wiele więcej niż ja o tym miejscu.

— Wiemy, że lepiej go unikać.

— Też byśmy tak postąpili, gdybyśmy mogli — przyznał.

Mist dłuższą chwilę wpatrywała się w ziemię, poruszając leciutko ogonem.

— Dlaczego tam zdążacie? — spytała w końcu.

— To długa historia.

— Mamy czas na długie historie.

— Siedź cicho, Brandy.

Morrolan jakoś nie przejawiał ochoty do opowiadania i zapadła cisza.

Potem ktoś, kogo imienia nie pamiętam, podszedł do Mist i pokazał jej coś, co obejrzała dokładnie. Dopiero wtedy zauważyłem, jak długie i smukłe ma palce. To, co studiowała tak uważnie, okazało się kawałkiem kości.

— Może być — zdecydowała w końcu i podała go Morrolanowi.

Ten wziął go zdezorientowany i zaczął oglądać. Obszedłem go

i zajrzałem mu przez ramię. Fragment miał około dwóch cali długości oraz podobną szerokość i prawdopodobnie był kawałkiem czaszki kethny. Wryto na nim różne linie, których znaczenia nie potrafiłem odgadnąć.

Morrolan najwyraźniej też nie, gdyż wybąkał:

— Dziękuję, ale...

— Jeżeli na Ścieżkach Umarłych napotkasz Kelchor, pokaż jej to, a być może cię ochroni — wyjaśniła Mist. — A być może nie.

— Bogowie już tacy są — przyznał Morrolan.

— Właśnie — zgodziła się Mist.

Miałem poważne wątpliwości, czy którekolwiek z nich tak naprawdę wie, o czym mówi.

* * *

Kiedy ma się stosowny nastrój, można zadać sobie trud znalezienia Dragaerianina, który nie będzie miał ochoty rwać się do bitki, by pogadać z nim o magii i czarach. Regułą jest, że na słowo „czary” zacznie się krzywić pogardliwie. I dzięki temu można przejść na temat liczb powiązanych z magią i czarami. No bo na przykład do jednego czaru potrzebne są dwie czarne świece i jedna biała, a do innego tylko dwie białe. Do jednego z najprostszych czarów miłosnych niezbędne są trzy szczypty rozmarynu. Wielkość „szczypty” nie jest dokładnie określona i nie ma specjalnego znaczenia, natomiast istotne jest, aby były trzy. By rzucić inny czar, trzeba mówić wersami po dziewięć sylab, choć to, co się mówi, jest bez znaczenia.

Po wysłuchaniu tego wszystkiego Dragaerianin nie będzie krył pogardy i zacznie perorować, że równą głupotą jak uprawianie czarów jest przywiązywanie jakiegoś specjalnego znaczenia do

liczb.

I wtedy zaczyna się zabawa. Należy udać wcielenie niewinności i spytać: Dlaczego więc jest siedemnaście wielkich Domów? Dlaczego w roku dragaeriańskim jest siedemnaście miesięcy, siedemnaście razy siedemnaście lat to najkrótszy możliwy termin sprawowania władzy przez jednego Cesarza, a najdłuższy to siedemnaście razy siedemnaście razy siedemnaście? Albo dlaczego wszyscy wiedzą, że istnieje jedynie siedemnaście Wielkich Broni?

Nie ma cudów: opadnie mu szczęka, a kiedy ją pozbiera, zamknie usta i odzyska zdolność wymowy, wykrztusi, że siedemnaście to liczba mistyczna.

Trzeba wówczas pokiwać głową, powiedzieć coś w stylu „Aha” i odejść.

Nieczęsto robię sobie podobne prześmiewki, ale mam poważne podejrzenia, że Dragaerianie w kwestii liczby siedemnaście mają rację. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi, siedemnastka wyskakuje w różnych niespodziewanych okolicznościach.

W każdym razie miałem siedemnaście lat, gdy pierwszy raz zapłacono mi za zabicie kogoś.

* * *

Następnego ranka pożegnaliśmy się z kotami—centaurami. Morrolan i Mist zachowywali się — jak na mój gust — strasznie nاپuszenie i formalnie. Brandy i ja dobrze się bawiliśmy, wymieniając komentarze, a i Loiośh miał sporo do powiedzenia. Potem Mist podeszła do mnie, lekko poruszając ogonem. Wyglądała tak, jakby się uśmiechała.

— Jesteś dobrym towarzyszem — powiedziała.

— Dzięki.

Umilkła, jakby zbierała się do wygłoszenia mowy, podczas której znów miałbym kłopot z utrzymaniem powagi. Zamiast tego opuściła włócznię. Czubek grotu znalazł się parę cali od mojej piersi.

Loiośh siedzący na moim ramieniu sprężył się do skoku.

— Możesz dotknąć mojej włóczni — powiedziała.

Szlag! Ledwie się powstrzymałem przed odwróceniem i spojrzeniem na minę Brandy'ego, który był dziwnie milczący. Nie wiedziałem, co zrobić, więc dotknąłem grotu. A potem wyciągnąłem rapier i powiedziałem:

— Możesz dotknąć mojego rapiera.

Zrobiła to z dziwną powagą. I cholera, jakoś mnie to poruszyło.

Mist skinęła nam głową na pożegnanie i powiodła swą grupę, czy plemię na równiny. Obaj obserwowaliśmy ich, dopóki nie zniknęli z pola widzenia, a potem ruszyliśmy ku góróm.

* * *

Po paru godzinach marszu Morrolan zatrzymał się i wpatrzył prosto przed siebie, w podnóże gór. Stał tak dość długo, nim oświadczył:

— Myślę, że widzę dość detali, żeby teleportować nas bezpiecznie.

— Lepiej się upewnić — zaproponowałem. — Może jeszcze się przespacerujemy przez parę godzin.

Spojrzał na mnie spod oka i stwierdził:

— Jestem pewien.

Ugryzłem się w język i mruknąłem jedynie:

— Dobra. Jestem gotów...

Przez kilka długich chwil wszystko zamarło w bezruchu. Potem Morrolan bardzo powoli uniósł ręce, wypuścił z gwizdem powietrze i opuścił ręce. Zamknąłem oczy, gdy mój żołądek fiknął kozła. Poczułem, że stoję na czymś nierównym, więc otworzyłem je.

I omal nie spadłem.

Staliśmy na stromym zboczu, tyle że ja twarzą w dół. Loioosh z wrzaskiem poderwał się do lotu, a ja zamachałem rękoma, próbując odzyskać równowagę. Udało mi się po paru sekundach długich jak wieczność.

Powietrze było chłodne i ostre, a w dole rozpościerała się jak okiem sięgnąć zielona równina. Wszędzie wokół wznosiły się góry. Zdołałem usiąść, nie tracąc równowagi, a potem oparłem się o skałę, używając plecaka jako poduszki. I czekałem, aż mdłości miną.

Po paru minutach Morrolan przerwał milczenie:

— Jesteśmy tak blisko, jak tylko się dało.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Im bliżej Doliny Guemist się jest, tym trudniejsze staje się używanie magii. Kiedy dotrzemy do Bramy Śmierci, będzie to już w ogóle niemożliwe.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— A jesteś pewien, że to prawda, a nie tylko zwykła plotka?

— Jestem pewien. Byłem na szczycie wodospadu wraz z Zeriką. Walczyłem z jakimiś lokalnymi bandytami, dając jej czas na zejście. Gdybym mógł użyć magii, zrobiłbym to.

— Bandytami? — spytałem słabo.

— Tak.

— Urocze.

— Jak dotąd żadnych nie zauważyłem.

— Ślicznie. Jeżeli się pojawią, może cię poznają i zostawią nas w spokoju.

— Żaden z tamtych na pewno się nie pojawi.

— Rozumiem.

— Obecnie jest ich znacznie mniej niż w okresie Bezkrólewia, a więc nie ma się czym martwić. Wtedy były dzikie czasy.

— Tęsknisz za nimi?

Wzruszył ramionami, ale przyznał:

— Czasami.

Nagle Loiośh, który wrócił, gdy tylko przestałem mieć skłonności do spadania, wlaźł mi pod pelerynę. Zaskoczony rozejrzałem się uważnie, ale nie zauważyłem niczego specjalnego. Jedyne co się zmieniło to to, że na niebie pojawiło się parę jheregów, ale krążyły daleko.

„Co się stało, Loiośh?”

„Widziałeś je?”

„Kogo?”

„Jheregi!”

„Widziałem. O co chodzi, stary?”

„Nie widziałeś, co widzisz, jak nie wiesz! Popatrz jeszcze raz.”

Popatrzyłem jeszcze raz, ale nic specjalnego nie dostrzegłem. Dopóki jeden nie wylądował na skale nad naszymi głowami.

„Jasne z modrym! One są większe ode mnie!”

„Właśnie!” — potwierdził z satysfakcją Loiośh.

„Nie wierzę!”

„I piękna ona jest” — dodał Loiośh z rozmarzeniem.

„Teraz masz okazję obejrzeć ją z bliska.”

„Ani mi się śni!”

„Wyłaź!”

„W żadnym wypadku!”

Wzruszyłem ramionami, wstałem powoli i dałem znak Morrolanowi, że jestem gotów.

* * *

Po kilku godzinach wspinaczki teren wyrównał się. Widok był wspaniały, ale Loiosh go nie podziwiał. Jedynie od czasu do czasu wystawiał łeb spod peleryny, rozglądał się i natychmiast go chował. I wzdychał — ofiara jedna. Olbrzymia samica najwyraźniej równocześnie pociągała go i wprawiała w przerażenie. To ostatnie mogłem zrozumieć, bo gdy parę razy przeleciała blisko, też mi się nieprzyjemnie zrobiło. Przy tej wielkości stężenie jadu musiało być takie, że nawet ja nie miałbym szans...

W ten sposób dotarliśmy do szerokiego strumienia o szybkim nurcie i skierowaliśmy się w dół jego biegu.

* * *

Strumień po paru godzinach marszu był już całkiem sporą rzeczką, a wieczorem, gdy rozbiliśmy obóz, całkiem dużą rzeką.

— Ta rzeka ma jakąś nazwę? — spytałem Morrolana.

— Krwawa.

— Tak też myślałem — mruknąłem ponuro.

I poszedłem spać.

* * *

Rano, po jakiejś godzinie marszu, dotarliśmy do wodospadu zwanego Bramą Śmierci.

Rozdział dziesiąty

Pewnie mógłbym wymyślić jakieś zaklęcie, gdybym miał czas, ale nigdy nie było to moją najmocniejszą stroną, a teraz na dodatek nie miałem do tego głowy. Loiosh użył mi siły, którą przelałem w czar, wzmacniając więź. Rytm stał się silniejszy, a świeca rozbłysła jasnym płomieniem.

Zacząłem się bać.

Skoncentrowałem się na tym i płomień świecy zmienił się w deszcz iskier, który eksplodował w sferę połyskującej nicości. Sprowadziłem ją tak, by otoczyła płomień świecy, tworząc kulistą tęczę. Nie musiałem prosić Loiosha, by zajął się utrzymaniem jej na miejscu — chciałem, by to zrobił, więc zrobił.

Przestałem oddychać, zmrużyłem oczy i poczułem odprężenie. Wiedziałem, że to minie, ale mogłem je wykorzystywać, jak długo istniało. Teraz musiałem stworzyć drogę między źródłem i punktem przeznaczenia, wzdłuż której da się nagiąć rzeczywistość.

Nóż zaczął silniej dygotać, jakby mówił, żeby od niego zacząć. Nie miałem nic przeciwko temu. Spojrzałem na nóż i przeniosłem wzrok na runę. Potem wyciągnąłem prawą dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym i narysowałem na ziemi linię. A potem jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze...

Za każdym razem od noża do runy. Po chwili połączyła je linia ognia.

Czułem, że postępuję słusznie. Uniosłem głowę — krajobraz falował, jakby otaczało mnie coś nierzeczywistego, gotowego lada chwila zamknąć się wokół mnie i zniknąć. Wraz ze mną.

Byłoby to przerażające.

Gdybym do tego dopuścił.

Wodospad Brama Śmierci ma konkretne położenie geograficzne, a więc tak samo rzecz się ma ze Ścieżkami Umarłych. Tyle że nie do końca. Sam tego nie potrafię wyjaśnić. Sprawa wygląda tak: gdzieś w Popielnych Górach znajduje się na sporej wysokości wąwóz zwany Doliną Greymist. Przepływa przez nią Krwawa Rzeka, która w pewnym momencie opada z pewnej wysokości wodospadem zwanym Bramą Śmierci. Relacje co do jego wysokości pochodzą od żywych trupów, które powróciły ze Ścieżek Umarłych, i są całkowicie niezgodne — od pięćdziesięciu stóp do tysiąca. Sam go widziałem i pokonałem, a i tak nadal nie wiem, jak jest wysoki.

Do tej doliny dostarczane są ciała ważnych lub bogatych Dragaerian. Tych ostatnich jedynie wówczas, jeśli wyrazili takie życzenie i poczynili stosowne przygotowania. Zostają umieszczone w rzece i z punktu widzenia żywych kończy to sprawę.

Ciekawostkę stanowi fakt, iż legendarnego zabójcę znanego jako Mario określa się powszechnie „Mario Greymist” — od nazwy doliny, a to z uwagi na liczbę ofiar, które wysłał na tamten świat (obojętne jak by się on nazywał).

Nikt żywy nie dotarł nigdy do podnóża wodospadu, choć wielu, zwłaszcza z Domu Sokoła i z Domu Athyry, próbowało. Można się tam dostać tylko z nurtem rzeki albo schodząc ze skał. Istnieje popularna teoria głosząca, że znajduje się ono już w innym świecie, i tomy napisano, roztrząsając kwestię, czy jest to dzieło bogów, czy naturalny fenomen. Szczytem zaś nonsensu w całym sporze jest to, że po każdej ze stron opowiedziało się paru bogów.

Ci nieliczni, którzy opuścili Ścieżki Umarłych — a Zerika była wśród nich jedyną żywą — mając specjalną dyspensę bogów, zrobili to na różnorakie sposoby. A to przeszli przez długą jaskinię, której wylotu nigdy potem nie zdołali odnaleźć, a to ocknęli się u stóp gór, a to zgubili się w Zakazanym Lesie, a to znaleźli się na brzegu morskim odległym o tysiące mil.

To wszystko nie ma sensu i podejrzewam, że celowo zostało tak właśnie pomyślane.

Stałem obok krawędzi wodospadu, przyglądając się pomarańczowemu niebu i szarej mgłę kłębiącej się w dole, i zakrywającej wodospad paręset stóp poniżej. Huk spadającej wody praktycznie uniemożliwiał rozmowę.

Cofnęliśmy się obaj równocześnie i odeszliśmy kawałek. Nie musieliśmy odchodzić daleko, gdyż łoskot cichł gwałtownie, a rzeka stawała się szersza i płynęła znacznie spokojniej, tak że ledwie pięćdziesiąt stóp od wodospadu można było w niej brodzić i mówić normalnym głosem.

Nie wyglądało to naturalnie, ale nie widziałem powodu, by pytać, dlaczego tak jest.

Morrolan rozglądał się z dziwnym wyrazem twarzy. Zauważyłem, że przyglądał się kamiennej platformie znajdującej się około dwadzieścia stóp od wody. Podszedłem do niego, spodziewając się w sumie sam nie wiem czego: nagrobka czy czegoś podobnego. Zobaczyłem jedynie płaskorzeźbę przedstawiającą łeb dzura.

Spojrzałem pytająco na Morrolana.

Wskazał za siebie, gdzie w nurcie rzeki znajdował się płaski, trochę tylko wystający nad wodę kamień i wyjaśnił:

— Stąd są wysyłane do wodospadu szczątki zmarłych z Domu Dzura.

— Cóż... przynajmniej podróżują jako nieboszczycy, więc wątpię, by się tym przejmowali.

Przytaknął i nadal gapił się na kamień.

Spytałem, starając się, by nie zabrzmiało to nachalnie:

— Znasz jakiegoś lorda z Domu Dzura, który tu się znalazł?

— Sethrę.

Zamrugalem gwałtownie.

— Myślałem, że jest Smokiem.

Morrolan wzruszył ramionami i rozejrzał się.

Przeszliśmy jeszcze kawałek, nim dotarliśmy do innego płaskiego kamienia usytuowanego w zakolu rzeki. Zdobila go płaskorzeźba chreothy. Kawałek dalej był inny z wizerunkiem sokoła. A potem jeszcze jeden z łbem smoka. Morrolan przystanął przy nim, a ja cofnąłem się, dając miejsce temu, co czułem, bo o tym, że targały nim silne uczucia, świadczyło choćby to, że pobielala mu dłoń, w której ściskał laskę zawierającą duszę kuzynki.

Ponieważ olbrzymie jheregi nadal nad nami krążyły, Loiosh siedział pod peleryną. I wzdychał, amant jeden.

Po kilku minutach Morrolan dołączył do mnie i wpatrzył się w ciemny nurt rzeki. Od czasu do czasu odzywał się jakiś ptak, ale oprócz plusku wody były to jedyne dźwięki. Było to tchnące spokojem i zadumą miejsce, i wydawało mi się, że efekt ten w jakiś sposób spotęgowano, choć nie mam pojęcia jak.

Za to na pewno skutecznie.

— Dom Smoka używa łodzi — odezwał się Morrolan.

Skinąłem głową, próbując wyobrazić sobie rybacką łódkę, taką jakich używają na rzece Sunset, czy szalupę z portu spływającą z nurtem i znikającą nad krawędzią wodospadu.

— A co się dzieje potem? — spytałem.

— Ciało w końcu osiada gdzieś na brzegu poniżej wodospadu. Po paru dniach dusza budzi się, zabiera z ciała to, co znajdzie i uzna za użyteczne, i rozpoczyna wędrówkę do PrzedSIONKA Sądu. Może ona trwać godziny lub tygodnie, a czasami całą wieczność. Zależy to od tego, na ile dokładnie zapamiętało się ścieżki Domu, do którego należało się za życia, kogo lub co napotka i jak się zachowa... Możemy spotkać niektórych z tych, którzy wiecznie krążą po Ścieżkach Umarłych. Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Byłoby to przygnębiające.

— Dobrze. To co robimy?

— Zejdziemy po skałach obok wodospadu.

— Proszę?!

— Mam linę.

— Aha. No to nie ma sprawy, no nie?

* * *

Pracowałem dla Nielara prawie rok i zacząłem być w tym naprawdę dobry. Potrafiłem nastraszyć kogo trzeba bez wypowiedzenia słowa — uniesieniem brwi, czy uśmiechem. Z Kragarem współpracowało nam się naprawdę dobrze. Regułą było to, że to ja rozmawiałem, a Kragar czekał. Jeżeli klient zaczynał się stawiać, ja stałem, a on lał. Z zasady od tyłu i raz. Potem wspólnie dokonywaliśmy jakiegoś lekkiego uszkodzenia ciała, a ja wygłaszałem pogadankę na temat pacyfizmu i słowności.

Wszystko przebiegało sprawnie i życie zaczęło być naprawdę przyjemne, gdy pewnego dnia usłyszeliśmy, że za jedną z tawern znaleziono zwłoki niejakiego Tieva. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie trzy kwestie.

Po pierwsze, miał przy sobie około dwudziestu imperiali, których nikt nie ruszył. Po drugie, zabito go w sposób uniemożliwiający wskrzeszenie. Po trzecie, pracował dla niejakiego Rolaana i wiadomo było, że chodził „na robotę”. Kragar słyszał plotkę, że jego zabicie zlecił Welok zwany Klingą, którego terytorium sąsiadowało z terytorium Rolana. Dla mnie było to istotne o tyle, że Nielar opłacał się Welokowi, gdyż działał na jego terenie.

Tydzień później w zbliżony sposób zabito Lefforo pracującego bezpośrednio dla Weloka. Na dodatek spotkałem go kiedyś, toteż sprawy zaczynały coraz bardziej mnie dotyczyć. Ci, których widywałem u Nielara, zaczęli robić się nerwowi, a Nielar powiedział mi, że dobrym pomysłem byłoby nie chodzić samemu. Co prawda nie potrafiłem sobie wyobrazić, co też ktoś mógłby zyskać, zabijając mnie, ale zacząłem przesiadywać w domu. Nie przeszkadzało mi to — nie zarabiałem aż tak wiele, by ciągnęły mnie dobre rozrywki, a Loiosh prawie dorósł, więc miałem dużo zabawy, ucząc go. Na przykład wykonywać proste polecenia jak przynoszenie piłki określonego koloru z innego pomieszczenia. Wtedy też przestał mówić do mnie „mama”, za to zaczął „szefie”. Pewnie dlatego, że tak się zwracałem do Nielara.

Ze dwa tygodnie później Nielar zaprosił mnie do biura. Gdy się tam znalazłem, polecił:

— Zamknij drzwi.

No to zamknąłem.

Zostaliśmy sami i zrobiłem się nieco nerwowy.

— Usiądź, Vlad — polecił.

Usiadłem.

— Co jest, szefie?

Oblizwał usta i zapytał:

— Byłbyś zainteresowany „robotą” dla mnie?

Po prawie roku opanowałem slang na tyle, by nie zadawać głupich pytań w stylu, że przecież już dla niego pracuję, więc o co chodzi. Doskonale wiedziałem, co miał na myśli, ale byłem zaskoczony: nigdy nie przyszło mi bowiem do głowy, że ktoś zaproponuje mi zlecenie. Z drugiej strony nawet mi przez myśl nie przeszło, by odrzucić propozycję.

Dlatego odpowiedziałem:

— Jasne.

Nielar nieco się odprężył.

— Dobrze. To twój cel — i wręczył mi portret w ołówku. — Znasz go?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— To dobrze. Nazywa się Kynn i jest silnorekim u... nieważne. Jest twardy i doświadczony, więc uważaj i nie ryzykuj. Mieszka na Potter Market Street w pobliżu Unauntry. Przesiaduje w lokalu „U Gruffa”. Znasz to miejsce?

— Znam.

— Pracuje w burdelu trzy domy od tego lokalu, a pod koniec tygodnia zbiera pieniądze od okolicznych lokali. Często robi za osobistą ochronę, ale nie ma stałych zmian jako ochroniarz. Czy to ci wystarczy?

— Myślę że tak.

— Ostatnio nie chadza samotnie, więc możesz być zmuszony poczekać na okazję. Jeśli tak będzie, czekaj cierpliwie. Nie jest ważny pośpiech, ale to, byś skutecznie wykonał zlecenie i byś nie dał się zauważyć. Bądź ostrożny. Aha: nie chcę, by dało się go ożywić. Myślisz, że dasz sobie radę?

— Dam.

— Dobrze.

— Mam pytanie: czy w mieszkaniu może mieć jakieś magiczne alarmy?

— Co?! Trzymaj się z dala od jego mieszkania!

— Dlaczego?

— Bo nie robi się tego w czyimś domu.

— Dlaczego?

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym spytał:

— Jest Jheregiem, tak?

— Tak.

— Ty także należysz do Domu Jherega, tak?

— Tak.

— Więc mówię ci, że tego się nie robi.

— Dobra.

— Nie robi się tego także na terenie świątyni, czy ołtarza lub w ich bezpośrednim sąsiedztwie.

— Rozumiem.

— Jest żonaty. Nie próbuj niczego, jak długo będzie z żoną.

— Dobra. A mogę użyć obu rąk?

— To nie zabawa.

— Tylko nie wiem, czy zdawał sobie z tego sprawę ten, kto ustalił te głupie zasady.

Loiosh, który lubił spacerować po moim ramieniu, teraz przystanął, przyjrzał się portretowi i syknął groźnie. Chyba rozumiał więcej, niż sądziłem. Nielar przyjrzał mu się zaskoczony, ale nie komentował. Zamiast tego wręczył mi sakiewkę. Wziąłem ją i zważyłem w dłoni. Była ciężka.

— Premia? — spytałem.

— Zapłata za „robotę”. Dwa i pół tysiąca imperiali.

Kiedy odzyskałem głos, wykrztusiłem:

— Aha.

* * *

Spory kawałek od rzeki rozpaliliśmy ognisko i odgrzaliśmy ostatnie kawałki kethny. Zjedliśmy je powoli i w ciszy — każdy zatopiony we własnych myślach. Loiosh wymknął się spod peleryny, złapał prawie w locie parę gryzów i dał nura z powrotem. Wzdychać nie przestał.

Odpoczęliśmy trochę, po czym Morrolan zaproponował, żebyśmy odpoczęli dłużej.

— Niektórzy twierdzą, że spanie na Ścieżkach Umarłych przynosi pecha. Inni, że jest to niemożliwe, a inni w ogóle nic o tym nie mówią — wyjaśnił. — Wolę nie ryzykować i rozpocząć najgorszą drogę, będąc tak wypoczęty, jak to tylko możliwe.

Przyznałem mu rację.

I beczynn timerwowałem, jak robi sobie prowizoryczną uprzęż, by nieść laskę na plecach i mieć obie ręce wolne. Szło mu całkiem sprawnie.

Odwinąłem łańcuszek z lewego nadgarstka i obejrzałem go uważnie, wymachując na rozmaite sposoby. Zachowywał się niczym zwykły złoty łańcuszek. Albo z powodu tego, gdzie byliśmy, albo dlatego, że nie miał nic do roboty. Owinąłem go wokół nadgarstka i zastanawiałem się, czy nie spróbować jakiegoś czaru, żeby sprawdzić, czy rzecz ma się podobnie jak z magią, gdy zauważyłem, że Morrolan mi się przygląda.

— Nadałeś mu już imię? — spytał.

— Łańcuszkowi? Nie. Jak niby mam go nazwać?

— A co on robi?

— W wieży tego maga Jak—mu—tam zachowywał się jak tarcza magiczna. Może Łamacz Magii?... Nie, głupio brzmi. A

może Spellbreaker?

Morrolan wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

„Mnie się podoba, szefie.”

„O, miło, że możesz myśleć o czymś innym niż ta przerośnięta oblubienica. Twoje westchnienia podwiewają mi pelerynę.”

„Są telepatyczne.”

„Nie szkodzi. Ona się łatwo wzrusza.”

„Ty nie wiesz, co to miłość od pierwszego wejrzenia.”

„Za to wiem, jak wyglądają zaloty. Twoich po prostu nie ma. A co się tyczy nazwy, to niech będzie, bo jakoś mam problem z poważnym podejściem do nadawania imienia kawałkowi łańcucha.”

Morrolan zaproponował niespodziewanie:

— Może byśmy wyruszyli?

No to wyruszyliśmy.

Doszliśmy z powrotem do wodospadu; dopiero wtedy dostrzegłem podest położony prawie przy jego krawędzi. Zdobiał go wizerunek athyry. Morrolan owiązał go liną — bardzo cienką i bardzo długą. Były na niej w regularnych odstępach powiązane węzły, ale i tak cieszyłem się, że na wszelki wypadek zapakowałem skórzane rękawice. Morrolan wyrzucił resztę liny poza krawędź urwiska.

Przełknąłem ślinę i spytałem.

— Wytrzyma ciężar nas obu?

— Wytrzyma.

— Mam nadzieję.

— Zejdę pierwszy — zaofiarował się.

— Jasne. A ja cię będę ubezpieczał jakby co.

Odwrócił się plecami do wodospadu, nałożył rękawice i zaczął się opuszczać. Zdusiłem nagły odruch, by przeciąć linę i wiać, i

też nałożyłem rękawice. Złapałem linę i ryknąłem, próbując przekrzyczeć wodospad:

— Jakaś ostatnia dobra rada?

Głos Morrolana ledwie było słycać:

— Uważaj, tu jest mokro!

* * *

Zapłatę zostawiłem w mieszkaniu i wybrałem się w stronę knajpy „U Graffa”, zastanawiając się, jak wykonać zlecenie. Najprościej byłoby sprawdzić, czy gość siedzi w lokalu, poczekać, aż wyjdzie, i zabić go. Patrząc z perspektywy czasu, nie był to wcale zły plan, jako że śmierć dziwnie płacze pamięć świadków w kwestii wyglądu zabójcy. W moim przypadku wadę stanowiło to, że byłem człowiekiem — wyróżniałem się z tłumu i to mogli zapamiętać. A to wystarczyłoby do identyfikacji, wiadomo było bowiem, że pracuje dla Nielara jeden człowiek. Prawdopodobnie Rolaan zleciłby następny kontrakt właśnie na mnie, a na to nie miałem najmniejszej ochoty. Dotarłem do celu nadal bez żadnego sensownego pomysłu, toteż stanąłem w cieniu budynku po przeciwnej stronie ulicy i zacząłem jeszcze intensywniej myśleć.

* * *

Dwie godziny później nadal tam tkwiłem i nadal niczego nie wymyśliłem. Wtedy zobaczyłem, że mój cel wychodzi w towarzystwie innego Dragaerianina, także noszącego barwy Domu Jherega. Skoncentrowałem się i sprawdziłem czas na imperialnym zegarze, po czym odczekałem, aż wyprzedzą mnie o

długość budynku, i ruszyłem za nimi.

Zatrzymali się kilka przecznic dalej, pożegnali i towarzyszy Kynna wszedł do środka, pozostawiając go samego na ulicy. Doszedłem do wniosku, że szczęście uśmiechnęło się do mnie — Kynn musiał dotrzeć do domu, a to dawało mi aż za dużo czasu, by go dogonić i zabić.

Wyjąłem sztylet, obserwując moją pierwszą ofiarę.

Która nagle zrobiła się przezroczysta, a zaraz potem zniknęła.

Menda się teleportował!

Co było chamstwem najczystszej postaci w stosunku do mnie. Teleporty można prześledzić i odkryć ich punkt docelowy, ale aż tak dobry w posługiwaniu się magią nie byłem. Mogłem kogoś wynająć — na przykład adeptkę Lewej Ręki — ale to pozostawiłoby ślad, po którym można byłoby mnie odnaleźć, a pamiętałem jeszcze ostrzeżenia Kiery. No a poza tym wymagało to czekania na inną okazję, bo żaden adept nie potrafi wysledzić starego teleportu, a ten stałby się bardziej niż stary, zanim bym wszystko uzgodnił.

Jedyne, co mi pozostało, to pokląć, co też zrobiłem z uczuciem, choć w myślach. Chciałem go załatwić od razu, co nie było rozsądne, ale jakoś nie potrafiłem uznać pieniędzy za swoje, nim nie wykonałem zlecenia. A pieniądze były mi potrzebne na porządny rapier i lekcje fechtunku u mistrza—człowieka oraz na naukę magii u adepta Dragaerianina. Za to zawsze słono się płaciło, a miło byłoby także przeprowadzić się do lepszego mieszkania i...

I gdy do tego doszedłem, skląłem się w duchu od idiotów — zamiast myśleć o tym, jak je wydać, należało myśleć, jak je zarobić.

Zdegustowany wróciłem do siebie.

* * *

W trakcie tego schodzenia po linie obiecałem sobie solennie, że jeżeli kiedykolwiek jeszcze będę musiał w ten sposób pokonywać wysokość, to tylko tam, gdzie jest sucho i widać, ile jeszcze drogi pozostało do końca. Ale tak naprawdę to postanowiłem unikać schodzenia po linie w ogóle.

Nie wiem, i prawdę mówiąc, wolę nie wiedzieć, jak daleko schodziliśmy. Sądzę, że odległość ta była różna dla Morrolana i dla mnie, ale wolałem nie sprawdzać. Nawet moja ciekawość ma granice.

A schodzenie było upiorne — gdyby nie węzły, zjechałbym po mokrej linie albo od niej odpadł. A gdyby nie rękawice, poraniłbym przy tym dłonie do kości. Tak zjechałem tylko kawałek, a szansa, że wyląduję na Morrolanie (a więc go zepchnę), była minimalna. Dłonie i ramiona wpierw zaczęły boleć, potem drętwieć, a potem przestałem je w ogóle czuć. O siniakach na nogach i reszcie ciała obijanego o skały nie wspomnę. Jedyne co zdołałem chronić to głowa, co nie znaczy, iż nie zetknęła się ona ani razu ze skałą.

Udało mi się jednak i to było najważniejsze.

Żeby było śmieszniej, nie zorientowałem się od razu, że właściwie jestem już na dole, a to dlatego, że stanąłem na śliskim i pochylonym bloku skalnym, który uznałem za łagodniejszą wersję skalnej ściany. Ochłonałem, dopiero gdy znalazłem się w wodzie obok Morrolana.

Woda była lodowata i prawie natychmiast zacząłem dzwonić zębami. Morrolan też dzwonił, lecz byłem zbyt zmęczony, by mi to sprawiło przyjemność. Rozgniewany takim traktowaniem

Loiosh wylazł spod peleryny i umiejscowił się na moim ramieniu. Jediną pociechę stanowiło to, że przestał wzdychać.

Huk wodospadu nadal był ogłuszający, więc przystawiłem usta do ucha Morrolana i wrzasnąłem:

— Co teraz?!

Wskazał ręką kierunek i ruszyliśmy tam, żegnając się z liną, którą zdążyłem już prawie polubić. Loiosh zebrał się na odwagę i zaczął zataczać kręgi nad moją głową. A ja maszerowałem, rozpryskując na boki sięgającą pasa wodę. Pył wodny był tak gęsty, że nie dało się dostrzec niczego dalej niż na parę kroków, za to prąd był na tyle wyraźny, że się nie zgubiliśmy, bo spychał nas w tym samym kierunku.

Uważanie, by nie stracić z oczu Morrolana, i walka z wodą tak mnie zaabsorbowały, że przestałem się bać i straciłem poczucie czasu. W sumie jednak przeprawa nie trwała długo, tyle że była wyczerpująca. Gdy dotarliśmy do brzegu, zwaliliśmy się bezwładnie na pokryty kamieniami piach i leżeliśmy tam naprawdę długo.

Rozdział jedenasty

Moja lewa dłoń zamarła nad runą. Prawa przesunęła się powoli i zamarła dokładnie nad wibrującym nożem. Wzięłem głęboki oddech i powoli wypuściłem powietrze z płuc. Nigdy nie widziałem tylu trupów w jednym miejscu. I bynajmniej nie tęsknię za podobnym widokiem. Wszystkie znajdowały się w rozmaitych stadiach rozkładu i całe szczęście, że widywałem już podobne obrazki, gdyż inaczej mogłoby się okazać, że ostatni posiłek mój żołądek przyjął jedynie w depozyt. Ilość i różnorodność etapów rozkładu nie poprawiała widoku.

Zaskakujący był natomiast brak charakterystycznego, towarzyszącego temu procesowi smrodu zgnilizny. Praktycznie jedyny zapach, jaki czułem, to słaba woń siarki, i to dobiegająca od strony rzeki. A w czasie przeprawy zapachu tego nie czułem zupełnie. Rzeka też zresztą się zmieniła: była głęboka, usiana przeszkodami, o czym świadczyły białe skupiska piany, i płynęła znacznie szybciej. Plusk wody był także jedynym dźwiękiem mącą absolutną ciszę.

Poczułem, że Loiosh dygocze, więc spytałem:

„Jak się czujesz?”

„Przeżyję, szefie.”

Usiadłem i przyjrzałem się Morrolanowi. Wyglądał na jeszcze bardziej wyczerpanego ode mnie. Był także całkowicie przemoczony i wstrząsały nim dreszcze, zupełnie tak jak mną. Sprawilo mi to perwersyjną przyjemność.

Zauważył, że mu się przyglądam, i musiał domyślić się przynajmniej części tego, co myślę, bo spojrzał na mnie bykiem.

Po czym usiadł, wykonał jakiś gest i skrzywił się paskudnie.

— Magia tu nie działa — oświadczył.

Jego głos brzmiał, jakby dobiegał zza cieniutkiej szyby. Nie był odległy, ale nie był też tak bliski, jak być powinien.

— Byłoby miło móc się osuszyć — burknął z wyrzutem.

— Wiatru też nie ma — zauważyłem. — No to raczej długo nam się to nie uda.

Mój głos brzmiał podobnie, co podobało mi się jeszcze mniej.

Jedyną pociechę stanowiło to, że choć było mi zimno, to nie aż tak jak w wodzie.

Morrolan zaproponował:

— Ruszajmy.

— Starsi przodem.

Udało nam się wstać całkiem szybko i bez niespodzianek, dzięki czemu mogliśmy się lepiej rozejrzeć. Widok nie był zachęcający: rzeka za plecami, trupy po bokach i mgła z przodu.

„To miejsce jest dziwne, szefie.”

„Zauważyłem.”

„A zauważyłeś, że trupy nie śmierdzą?”

„Pewnie. Inaczej dawno bym rzygał.”

„Może to dusza wywołuje smród. Skoro ci tu już ich nie mają, nie śmierdzą.”

Nie spytałem, czy mówi poważnie, ale chciałbym zobaczyć minę kapłana jakiegokolwiek religii, gdyby usłyszał tę nowatorską opinię teologiczną. Morrolan sprawdził, czy ma broń i pałkę, co przypomniało mi, po co się tu zjawiliśmy. Zrobiłem to samo, tylko dyskretniej. Bez słowa wskazał bramę na prawo. No i ruszyliśmy.

* * *

Siedziałem sobie w ulubionym fotelu i zastanawiałem się, jak zabić Kynna. To, czego pragnąłem najbardziej, to po prostu podejść do niego i wbić mu rapier w oko, tak by dotarł do mózgu, nieważne gdzie i kto będzie to widział. Problem, pomijając wszystkie niemiłe konsekwencje, polegał także na tym, że szanse na znalezienie jego samego prawie nie istniały. Między Welokiem, a Rolaanem trwała wojna, toteż pracownicy obydwu poruszali się w parach lub większych grupach.

Nie wiem dlaczego, uparłem się, że najbardziej do wykonania zlecenia nadają się okolice lokalu „U Gruffa”. Analizując potem całą sprawę, przyznałem uczciwie, że był to błąd, i starałem się unikać podobnych. Wiedziałem, że mogę go zabić w miejscu publicznym, gdyż jeszcze jako dzieciak byłem świadkiem zabójstwa dokonanego w lokalu. Konkretnie w restauracji ojca. Wtedy też pierwszy raz spotkałem Kierę...

Gryzłem się bezskutecznie z problemem dość długo, dopóki Loioosh nie zaproponował nagle:

„Szefie, jeśli chodzi tylko o odwrócenie jego uwagi, to mogę pomóc.”

„Jak cholera” — burknąłem niedowierzająco.

No to powiedział mi, jak może pomóc.

* * *

Wędrowaliśmy przez kłębiącą się mgłę, która była jedynie irytująca do momentu, w którym nie dotarło do mnie, że nie ma wiatru, który powodowałby jej ruch. Zwróciłem na to uwagę Morrolana i usłyszałem:

— Wiem. Zamknij się.

Uśmiechnąłem się lekko, a za chwilę szerzej, gdy koniec gałęzi chlasnął go po twarzy. Morrolan nic nie powiedział, ale zwolnił kroku. Oprócz mgły widać było jedynie ziemię, po której szliśmy — miękką, piaszczystą i nie wyglądającą jakby coś na niej rosło.

Ten ostatni wniosek okazał się fałszywy, gdyż we mgle przed nami coś zamajaczyło. Okazało się, że jest to drzewo pozbawione liści tak jak to, które przyłoiło Morrolanowi.

„Szefie, dlaczego tu drzewa w lecie nie mają liści?”

„A skąd wiesz, że jest lato? Zimnawo jak na lato, nie?”

„Fakt.”

Wokół pojawiło się znacznie więcej drzew, zupełnie jakby wyrastały właśnie na naszej drodze. Ścieżka wiła się między nimi, utrzymując jednakże kierunek. W pewnym momencie Morrolan zatrzymał się i przyjrzał uważnie rozwidleniu przed nami — od dróżki biegnącej prosto odchodziło odgałęzienie w lewo.

— Nie sądzę — mruknął w końcu. — Idziemy prosto.

Poszliśmy, a ja zapytałem:

— Skąd wiesz?

— Z księgi.

— Z jakiej księgi?

— Przewodnika po Ścieżkach Umarłych. I z informacji Sethry.

— Skąd miałeś ten przewodnik?

— Dziedzictwo rodowe.

— Mhm... A na ile on jest dokładny?

— Przekonamy się doświadczalnie. Byłbyś bezpieczniejszy beze mnie, bo wtedy Sethra powiedziałaby ci, które ścieżki są bezpieczne.

— A tobie nie mogła? Lepiej się znacie.

— Ja jestem Dragaerianinem. Nie wolno mi wiedzieć takich

rzeczy.

— Tak? A kto tu w ogóle ustala reguły?!

Spojrzał na mnie z politowaniem i nic nie powiedział.

W milczeniu dotarliśmy do następnego rozwidlenia, tyle że teraz ścieżki rozchodziły się pod nieco innym kątem.

— Spróbujemy tą — zdecydował po chwili namysłu Morrolan.

— Dobrze zapamiętałeś, co czytałeś?

— Miejmy nadzieję, że tak.

Mgła zaczęła rzednąć, więc spytałem go, czy to dobry znak.

Wzruszył ramionami.

Znów przeszliśmy kawałek w milczeniu, które zaczęło mi doskwierać, więc spytałem:

— Sądzę, że istnieje jakiś poważny powód, dla którego nie zabrałeś ze sobą tego przewodnika?

— To nie jest dozwolone.

Przegryzłem się przez tę odpowiedź, po czym zadałem kolejne pytanie:

— Wiesz, co będzie dalej?

— Staniemy przed Władcami Sądu i poprosimy o przywrócenie mojej kuzynki do życia i oddanie pod naszą opiekę.

— A mamy jakiś dobry powód, żeby ich przekonać?

— Naszą odwagę.

— Aha.

Co prawda ja nazwałbym ją tupetem albo bezczelnością, ale uznałem, że lepiej będzie mu tego nie mówić.

Chwilę później doszliśmy do płaskiego, szarego kamienia o nieregularnym kształcie i długości czterech stóp, a szerokości dwóch, wyrastającego ze środka ścieżki na jakieś sześć cali. Morrolan zatrzymał się i przyglądał mu się, przygryzając wargę.

Dałem mu sporo czasu do namysłu, ale cisza zaczęła w końcu trwać zbyt długo jak na mój gust, więc zaproponowałem:

— Może byś mi powiedział, co to takiego?

— Oznacza wybór. W zależności od tego, z której strony go obejdziemy, wybierzemy jedną z dwóch możliwych dróg.

— A gdybyśmy przeszli nad nim?

Spojrzał na mnie lodowato i nie raczył udzielić odpowiedzi.

Potem westchnął i ominął kamień z prawej strony. Poszedłem za nim. Ścieżka wiła się między bezlistnymi drzewami tak jak do tej pory; nie byłem w stanie wykryć żadnej różnicy.

W pewnym momencie usłyszałem wycie wilków. Spojrzałem pytająco na Morrolana.

Wzruszył ramionami i powiedział:

— Wolę na tym etapie mieć do czynienia z zagrożeniem zewnętrznym, niż wewnętrznym.

Uznałem, że nie będę go pytał, co chciał przez to powiedzieć.

Loiośh poruszył się nerwowo na moim ramieniu, a ja zmieniłem temat:

— Zaczynam mieć wrażenie, że to wszystko zostało pomyślane jako test, czy coś w tym rodzaju.

— Ja też.

— Nie wiesz?

— Nie.

Ponownie rozległo się wycie. Energiczniejsze.

„Loiośh, możesz określić, jak daleko od nas są?”

„Tutaj, szefie? Nie mogę określić, ile jest do tamtego drzewa. Wszystko tu jest dziwaczne. I na dodatek niczego nie czuję, jakbym węch stracił. Jeszcze trochę i zacznę się bać.”

„Może z góry zorientowałbyś się lepiej?”

„Na pewno nie. Za to bym się zgubił.”

„Jesteś pewien?”

„Jestem.”

„Dobra, to nigdzie się nie oddalaj.”

„Nie mam zamiaru.”

Z prawej dostrzegłem ruch i odruchowo sięgnąłem po broń. Morrolan też i dobyliśmy on miecz, ja rapier równocześnie. Między drzewami pojawiły się szare kształty, a moment później z mgły wypadły szare wilki i skoczyły na nas. Przez moment miałem nieodparte wrażenie, że nasza wyprawa właśnie dobiegła końca, a w następnym wilki przeniknęły przez nas niczym widma.

Morrolan odetchnął z ulgą.

— Nie mogą nas dosięgnąć — wyjaśnił. — Miałem nadzieję, że tak właśnie będzie.

Schowałem rapier do pochwy i otarłem pot z czoła.

— Jeżeli to najgorsze, co może nas spotkać, to ujdzie — oceniłem.

Loiosh sykiem przyznał mi rację.

Morrolan zaś uśmiechnął się i odparł:

— Nie bój się, to dopiero początek.

* * *

Loiosh wytłumaczył mi, że mając prawie rok, jest już praktycznie w pełni rozwiniętym, dorosłym jheregiem, więc powinienem pozwolić mu sobie pomóc. Ponieważ wyraziłem wątpliwość, zasugerował sposób. Nie potrafiłem znaleźć sensownego argumentu, który wykluczałaby jego pomysł, więc się zgodziłem.

Następnego dnia wróciliśmy do znajomej okolicy, ale tym

razem weszliśmy do lokalu i znaleźliśmy zaciszny kąt. Zamówiłem kufel miodowego wina. Wypiłem go spokojnie i wyszedłem. Loiosh został.

Obszedłem budynek od tyłu i znalazłem kuchenne drzwi. Były zamknięte, więc pobawiłem się trochę z zamkiem i ostrożnie wszedłem do środka. Znalazłem się w magazynie pełnym skrzynek, baryłek i butelek. Było tego tyle, że wystarczyłoby mi na radosne pijaństwo przez dobry rok. W pomieszczeniu panował półmrok, gdyż światło przedostawało się jedynie przez niestarannie zaciągniętą zasłonę. Dotarłem do niej — dalej był magazyn zastawy stołowej oraz basen do mycia naczyń. Ten, kto go urządzał, nie zrobił tego zbyt rozsądnie, bo nie do wszystkiego istniało łatwe dojście, za to część przestrzeni marnowała się.

Ponieważ nikogo nie było, rozejrzałem się dokładniej. Z pomieszczenia było tylko jedno wyjście oprócz tego, którym wszedłem, przesłonięte brązową, wełnianą zasłoną. Zza niej dobiegały odgłosy świadczące o tym, iż znajduje się tam główna sala. Przypomniałem sobie, że widziałem drugą stronę zasłony, pijąc wino, i wycofałem się do magazynu. Przetawiałem dwie beczułki i skrzynkę, tak by móc się ukryć, no i ukryłem się.

* * *

Pięć ścierpniętych godzin później obaj z Loioshem doszliśmy do wniosku, że Kynn się tego dnia nie pokaże. Ja zaś doszedłem do drugiego wniosku — że jak to dłużej potrwa, zacznę go nie lubić. Masowałem nogi, aż wróciło w nich czucie, i wyszedłem, zamykając za sobą starannie kuchenne drzwi.

* * *

Jeszcze dwa razy zostaliśmy zaatakowani. Raz przez coś małego i latającego, drugi raz przez tiasę. Żaden napastnik nie był w stanie nas dotknąć, podobnie jak my jego — przenikaliśmy się nawzajem niczym zjawy. Żaden atak po pierwszej próbie nie został ponowiony. Trafiliśmy też na kilka rozwidleń, a nawet skrzyżowań z innymi ścieżkami. Morrolan wybierał drogę z pewnością, która, miałem nadzieję, była uzasadniona.

Doszliśmy do następnego szarego kamienia. Morrolan znów obszedł go z prawej, po dłuższym zastanowieniu zresztą.

Nie mogłem się powstrzymać:

— Dokładnie tak jak pamiętasz, co?

Nie odpowiedział.

A potem po naszej prawej wyłoniło się z mgły wielkie stare drzewo. Jeden z jego konarów zwisał nad ścieżką, jakieś dziesięć stóp nad ziemią. Siedziała na nim brązowo upierzona athyra i przyglądała nam się bacznie jednym okiem.

„Żyjecie” — oznajmiła.

„Skąd wiesz?” — spytałem.

„Nie należycie tu.”

„Co ty powiesz? Musieliśmy się zgubić, ta Undauntra to strasznie pokręcona okolica. Zaraz sobie pójdziemy.”

„Możecie stąd nigdy nie odejść.”

„Słuchaj no, zdecyduj się, dobrze? Najpierw mówisz, że...”

— Chodźmy, Vlad — powiedział Morrolan.

Podejrzewam, że odbył własną pogawędkę i właśnie ją zakończył, podczas gdy ja się dopiero rozgrzewałem. A zresztą być może nie. Przeszliśmy pod gałęzią i poszliśmy dalej.

Po jakichś dziesięciu krokach obejrzałem się — drzewo i ptak zniknęły. Nieco później Morrolan kolejny raz zatrzymał się przed

szarym kamieniem. Tym razem namyślał się znacznie krócej, po czym westchnął, spojrzął na mnie i obszedł go z lewej.

— Prędzej, czy później i tak będziemy musieli to zrobić albo nigdy nie dotrzemy do celu — wyjaśnił.

— Brzmi złowieszczo.

— Zgadza się.

— Możesz mi powiedzieć, czego się spodziewasz?

— Nie.

— Pięknie.

Zaraz potem zacząłem spadać.

Już miałem wrzasnąć, gdy zdałem sobie sprawę, że nadal idę obok Morrolana. Odwróciłem się do niego i potknąłem. Dokładnie w tym samym momencie on też się potknął i zbladł. Zamknął na moment oczy, potrząsnął głową i potem spojrzął na mnie. A szedł dalej jakby nigdy nic.

— Nie spadałeś przez moment przed chwilką? — spytałem.

— Nie.

— To co ci się przytrafiło?

— Nic, o czym warto byłoby rozmawiać.

Uznałem, że nie ma sensu go naciskać.

Krótko potem zapadłem się w lotne piaski, a równocześnie miałem świadomość, że nadal idę obok Morrolana po ścieżce. Tym razem jednak wrażenie nie ustąpiło samo z siebie. Zobaczyłem, że Morrolan także porusza się wolniej i z pewnym trudem.

— Nie przerywaj marszu! — polecił.

Posłuchałem go, choć wydawało mi się, że z każdym krokiem zapadam się głębiej. Co gorsza, czułem też panikę Loiosha, choć nie miałem pojęcia, co jemu się przywidywało.

To mi uzmysłowiło, że Loiosh pewnie też czuje mój strach,

więc spróbowałem odzyskać spokój i zapanować nad sobą, powtarzając sobie, że to jedynie iluzja, a nie żadne lotne piaski. Musiało podziałać, bo Loioosh też zaczął się uspokajać, co z kolei pomogło mnie.

Iluzja ustąpiła w chwili, gdy poziom piasku dotarł do moich ust. Morrolan zatrzymał się. Ja też. Obaj głęboko oddychaliśmy i chwilę potrwało, nim się całkowicie uspokoiiliśmy. Popatrzyliśmy na siebie. Morrolan potrząsnął głową, ale i tak zapytałem:

— Do PrzedSIONKA Sądu nie ma żadnej normalnej ścieżki, czy drogi?

— Niektóre przewodniki zawierają przyjemniejsze trasy niż inne.

— Jak wrócę, ukradnę najlepszy i zajmę się sprzedawaniem pierwszego masowego wydania — obiecałem. — Klientela będzie waliła drzwiami i oknami.

— Ich nie da się skopiować. Byli tacy, którzy próbowali.

— Jak to „nie da się”?! Słowa to słowa.

— Nie wiem jak, wiem, że się nie da. Chodźmy dalej.

Poszliśmy.

Po kilkunastu krokach wyrósł nam na drodze następny szary kamień. Morrolan minął go z prawej strony.

Prawie go uściskałem.

Tym razem próbował nas atakować odyniec, a potem dzur. Oba zawiodły się, tak samo jak wilki. Potem były rozgałęzienia, skrzyżowania i następny kamień.

Morrolan przystanął, spojrzał na mnie i spytał:

— No i?

— Jeśli nalegasz...

Kiwnął głową i obszedł go z lewej.

* * *

Wróciłem do mieszkania w podłym nastroju i z bolącymi nogami. Oraz postanowieniem nieoglądania już lokalu „U Gruffa”. Kynn zaczynał mnie wkurzać odmową współpracy we własnym zabójstwie. Nalałem sobie brandy, rozparłem się w ulubionym fotelu i zabrałem do myślenia.

Zacząłem od pogawędki z Loiošem:

„I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o twój pomysł, Loiosh.”

„Możemy spróbować jutro.”

„Moje nogi tego nie zniosą.”

„Aha. Szkoda. To co teraz zrobimy?”

„Nie wiem. Daj mi pomyśleć.”

Wypiłem brandy, wstałem i rozpocząłem wędrówkę po mieszkaniu. Zawsze dobrze mi to robiło na myślenie. Mogłem spróbować czegoś, co działało na odległość — kupić stosowną usługę magiczną na przykład. Ale wówczas sprzedawca wiedziałby, że to ja jestem zabójcą. Co gorsza, przed takim atakiem magicznym istniało wiele sprawdzonych obron. Sam miałem stosowny amulet w postaci pierścienia, który kosztował mniej niż moja tygodniówka. Pewnie — nie pomógłby wiele w przypadku ataku wykonanego przez adepta będącego na miejscu i zdecydowanego zrobić mi krzywdę, ale na coś takiego nie było mnie po prostu stać. Na pojedynczy atak „na zlecenie” wystarczyłyby.

Mogłem spróbować czarów, ale zabicie kogoś czarami na odległość rzadko kiedy się udawało, poza tym potrzebowałbym do tego włosów, czy paznokci ofiary. Gdybym mógł dotrzeć wystarczająco blisko, by zdobyć jego włosy, żadne czary nie byłyby mi potrzebne: ukatrupiłbym go przy użyciu noża i tyle.

Trucizna także nie gwarantowała sukcesu, chyba że było się ekspertem. Przypominało to zwalenie komuś skały na głowę — najprawdopodobniej zadziała, ale można nie trafić, a wtedy będzie uprzedzony i trudniej będzie go zabić.

Jedynym skutecznym i gwarantującym sukces sposobem była zimna stal. Z nożem, sztyletem, czy rapierem w dłoni zawsze miałem możliwość poprawić, gdyby coś nie wyszło, no i mogłem być pewien rezultatu, kiedy skończyłem. Wyjąłem z pochwy sztylet i obejrzałem go. Była to dobra, solidnie wykonana i ciężka broń o ostrej klindze. Nadawała się przede wszystkim do pchnięć, ale w razie potrzeby można nią było również ciąć. Rapier nadawał się tylko do pchnięć, za to doskonale wchodził pod brodę i wychodził w mózgu. Ofiary wskrzesać się nijak nie dało i robota byłaby wykonana.

Schowałem sztylet i wróciłem do pracy koncepcyjnej.

„Wpadłeś na coś, szefie?”

„Chyba tak. Czekaj no, niech to przemyślę.”

„Się nie pali, szefie.”

Dobre pięć minut później oznajmiłem:

„Dobra, Loiosh. Zrobimy to w sposób idiotoodporny. Chcę, żebyś...”

* * *

Były momenty, gdy wyliśmy jak wściekli, i inne, kiedy śmiałyśmy się jak wariaci. Ale cały czas szliśmy naprzód. Umieraliśmy z pragnienia, a o krok od ścieżki była woda. To samo było z jedzeniem. Szliśmy naprzód. Przed nami otwierały się przepaście, groziły nam potwory z najgorszych koszmarów, zdradzali przyjaciele i lżyli wrogowie.

Szliśmy naprzód.

Sądząc po zaciśniętych szczękach, postawie i bladości, dla Morrolana było to naprawdę trudne, ale wiedział, że jeśli się zatrzyma, nigdy nie wyruszy ponownie, a jeśli zejdzie ze ścieżki, zgubi się.

Ja także to wiedziałem, choć nie wiem skąd.

Dlatego szliśmy prosto w lawinę i w zadymkę śnieżną, a Morrolan wybierał drogę, zgrzytając zębami, gdy ścieżka rozwidlała się lub krzyżowała z innymi.

Nie wiem, czy szliśmy tak minuty, godziny czy lata. Większość kamieni omijaliśmy z prawej strony, dzięki czemu ataki rozmaitych stworzeń były niegroźne. Zapamiętałem ogłupiałą minę pewnego niedźwiedzia, którego łapa przeszła przez moją głowę, zamiast ją urwać.

Prawdę mówiąc, pojęcia nie mam, jak udaje się przejść przez to upiorstwo zmarłym. W końcu musieliśmy zrobić przerwę na odpoczynek i posiłek. Uczyniliśmy to tuż przed kolejnym szarym kamieniem. Zjedliśmy w milczeniu — przestałem zadawać głupie pytania, wiedząc, że Morrolan nie odpowie na nie, i wiedząc również, że gdy następny raz wzruszy ramionami, wsadzę mu nóż w plecy. Sądzę, że w tym czasie był równie zadowolony z mojego towarzystwa.

Po posiłku Morrolan obszedł kamień z lewej strony.

Zgrzytnąłem zębami i poszedłem za nim.

„Trzymasz się, Loiosh?”

„Ledwie, ledwie, szefie. A ty?”

„Podobnie. Szkoda, że nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa... choć z drugiej strony może i dobrze.”

„Ano.”

I na tym inteligentna wymiana poglądów się zakończyła.

* * *

Subiektywnie rzecz oceniając, niedługo potem ścieżka nagle się poszerzyła. Morrolan stanął, spojrzął na mnie z lekkim uśmiechem i ruszył w dalszą drogę znacznie energiczniejszym krokiem. Po kilkudziesięciu krokach drzewa zniknęły we mgle, która z kolei stopniowo rozwiewała się, aż zniknęła. Naszym oczom ukazał się wysoki, kamienny łuk z wyrzeźbionym nad przejściem łbem smoka. Ścieżka, czy raczej już droga, prowadziła przez ten właśnie łuk pod smoczym łbem.

Przeszliśmy pod nim i Morrolan oświadczył:

— Kraina Umarłych.

Zdziwiło mnie to:

— Sądziłem, że znajdujemy się w niej od chwili, w której wyszliśmy z rzeki.

— To był pas zewnętrzny. Teraz dopiero zaczną się dziwy.

Rozdział dwunasty

Zacisnąłem prawą dłoń w pięść i powoli zacząłem zbliżać ją do lewej dłoni. Czułem opór, tyle że nie fizycznej natury. To było tak, jakbym wiedział, co muszę zrobić, i chciał to zrobić, ale wykonanie ruchu wymagało pokonania olbrzymiego bezwładu. Rozumiałem dobrze dlaczego — opór stawiał wszechświat nie mający ochoty na podobne traktowanie. Świadomość stanowiła niewielką pomoc, jednakże moja ręka poruszała się powoli. Kiedy złączę dłonie, nastąpi połączenie, o które mi chodziło i uzyskaniu którego poświęciłem wszystkie siły.

Niepowodzenie było już teraz w pewnym sensie niemożliwe. Mogłem tylko odnieść sukces albo oszaleć i umrzeć.

Moja prawa pięść dotknęła mojej lewej dłoni.

Zbliżał się do nas wolnym krokiem Dragaerianin w barwach Domu Smoka z olbrzymim dwuręcznym mieczem na plecach. Na wszelki wypadek przystanęliśmy, czekając, aż podejdzie. Korzystając z chwili spokoju, przyjrzałem się niebu, a raczej miejscu, gdzie powinno się znajdować, bo nad sobą zobaczyłem jedynie szarość bez żadnych odcieni, kształtów, czy choćby śladu innych barw. Zastanawianie się, jak wysoko jest ta szarość i czym w ogóle jest, wywołało dziwny zawrót głowy, toteż czym prędzej przestałem.

Mężczyzna podszedł bliżej. Wyraz jego twarzy nie wydał mi się wrogi, czy nawet niemiły. Wątpię, by był zdolny do tego, aby wyglądać przyjemnie — nie przy tak wąskich ustach i ostrym podbródku — ale sprawiał wrażenie sympatycznego. Jak na Smoka, ma się rozumieć. Zauważyłem, że oddycha, i nie

potrafiłem zdecydować, czy jestem tym zaskoczony, czy nie.

Zatrzymał się parę kroków od nas i zmarszczył brwi.

— Jesteś człowiekiem — przeniósł wzrok na Morrolana. — A ty jesteś żywy.

— Skąd wiesz? — spytałem odruchowo.

— Zamknij się, Vlad! — warknął Morrolan, po czym dodał, patrząc na przybysza: — Mamy misję do wypełnienia.

— Żywi tu nie przybywają.

— Zerika — odparł Morrolan zwięźle.

Dragaerianin skrzywił się leciutko, lecz przyznał:

— Feniks. Specjalny przypadek.

— Tym niemniej jesteście tu — zauważył Morrolan.

— Możecie zostać zmuszeni, by stanąć przed Władcami Sądu.

— Po to przybyliśmy.

— I będziecie zobowiązani udowodnić, ile jesteście warci.

— Oczywiście — zgodził się Morrolan.

— Przepraszam, że jak? — wtrąciłem.

Przybysz spojrział na mnie i skrzywił się wyraźnie, ale wyjaśnił:

— Będziecie musieli walczyć i pokonać mistrzów...

— Chory żart! — przerwałem mu z uczuciem.

— Zamknij się, Vlad! — powtórzył Morrolan.

Potrząsnąłem głową przecząco:

— Nie zamknę się. Podaj mi jeden rozsądny powód, dla którego mamy wywalczyć sobie drogę do Władców Sądu, którzy mogą nas zniszczyć za to, że się tu zjawiliśmy. No, słucham?

Zamiast niego odpowiedział obcy:

— My z Domu Smoka walczymy, ponieważ sprawia nam to przyjemność.

Po czym uśmiechnął się paskudnie i odszedł.

Spojrzelismy na siebie z Morrolanem. Wzruszył ramionami i omal mu nie przyłożyłem. Rozejrzeliśmy się — otaczało nas dwunastu przedstawiciele Domu Smoka.

Jedna wystąpiła naprzód, wyciągnęła miecz i powiedziała:

— E'Baritt.

Morrolan dobył swój i odparł:

— E'Brien.

Oboje zasalutowali bronią.

Cofnąłem się o dwa kroki i spytałem:

— Oni mogą nas dosięgnąć?

— Oczywiście — odparł Morrolan, nie odwracając się od przeciwnika. — Gdybyśmy nie mogli się dotknąć, nie byłoby to uczciwe.

— Co?!... a, tak. Głupio pytam.

Przeciwnicy podeszli tak, że dzieliły ich ze trzy—cztery kroki. Kobieta spojrzała na broń Morrolana i nerwowo oblizwała usta.

— Nie obawiaj się — powiedział Morrolan. — On jest mi posłuszny.

Przytaknęła i zajęła pozycję z mieczem w jednej, a sztyletem w drugiej dłoni. Morrolan zrobił to samo i natychmiast zaatakował. Zablokowała cios i spróbowała pchnąć go sztyletem w brzuch, ale zrobił unik z obrotem, wytrącając ją z równowagi, i pchnął sztyletem w pierś.

Zaczęła krwawić.

Morrolan odstąpił o dwa kroki i uniósł miecz w salucie.

Przez parę sekund nikt się nie poruszył, więc w końcu spytałem:

— Jestem następny czy sam załatwisz wszystkich?

Zamiast niego odezwał się jeden z otaczających:

— Jesteś następny, Wąsaty.

I wystąpił, dobywając równocześnie miecz i sztylet.

— Dobra — odparłem.

Zrobiłem krok do przodu i cisnąłem nóż wyjęty z peleryny. Trafił go idealnie w szyję.

— Vlad! — krzyknął Morrolan.

— Następny proszę! — odparłem, obserwując targanego drgawkami przeciwnika leżącego może z sześć stóp od zabitej przez Morrolana.

Usłyszałem odgłos towarzyszący wyciąganiu broni z pochwy... wielu wyciąganych broni. Wychodziło, że popełniłem jakiś towarzyski nietakt. Dobyłem rapiera.

Morrolan zaklął i rozległ się szczęk stali. Na mnie skoczyło dwóch. Zamarkowałem atak w kierunku ich trasy i spojrzałem przez ramię, czy ktoś nie próbuje mnie dziabnąć w plecy. Nikt nie próbował, toteż skupiłem uwagę na tej parce. Cisnąłem trzy shurikeny w brzuch jednego i kucnąłem. Ostrze drugiego przeleciało mi ze świstem nad głową. Ciąłem go sztyletem w prawe ramię, rozcinając je tak, że nie mógł utrzymać miecza. Uparty był — spróbował mnie trafić sztyletem, więc pchnąłem go rapierem w serce. To go skutecznie uspokoiło.

Cisnąłem sztyletem w najbliższego, by go spowolnić, i zaatakowałem innego. Zrobiłem unik, przez co jego szpada przecięła powietrze, a w następnej sekundzie Loiosh dobrał się do jego twarzy. Skorzystałem z okazji i rozplatałem mu gardło końcem rapiera.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Automatycznie odwróciłem się i pchnąłem. Przez moment obawiałem się, że nadziałem na klingę Morrolana, ale okazało się, że kogoś innego. Wyciągnąłem z niego rapier i zdążyłem go minąć, nim osunął się na ziemię. Zobaczyłem Morrolana wywijającego młyńca, a zaraz potem

usłyszałem ostrzeżenie Loiosha i wykonałem pad z obrotem. Ostrze miecza przemknęło nade mną na takiej wysokości, że gdybym tylko przykucnął, odcięłoby mi głowę.

Zerwałem się, odwracając równocześnie do napastnika, a raczej napastniczki. Zablockowałem jej kolejny atak, zamarkowałem pchnięcie w pierś i cios w brzuch, po czym rozplatałem jej odsłonięte gardło. Rozejrzałem się: Morrolan walczył z dwoma, ale następny skoczył na mnie. Wymieniliśmy ciosy, parady, bloki i uniki, i okazało się, że nie zdołał umknąć ciosu nożem, który wyciągnąłem zza kołnierza.

Rozejrzałem się ponownie, szukając kolejnego przeciwnika, i nie znalazłem. Byli tylko ranni martwi albo martwi martwi, że się tak wyrażę. Przez moment zaciekawilo mnie, co też dzieje się z tymi, którzy tu zginą, będąc już przecież martwymi, ale przestałem o tym myśleć — nie mój problem. Znacznie istotniejsze było, co też dzieje się z żywymi, którzy tu zginą, czyli na przykład ze mną.

Morrolan spoglądał na mnie, łagodnie rzecz ujmując, niezyczliwie, ale zignorowałem to. Oczyściłem klingę rapiera, zebrałem sztylet i shuriken, i odzyskałem oddech. Loioosh wylądował na moim ramieniu równie zde gustowany i zły jak ja. Morrolan chciał coś powiedzieć, ale go uprzedziłem:

— Odczep się, dobrze? Dla ciebie seryjny pojedynek z sześcioma przeciwnikami może jest dobrą rozrywką, dla mnie to kretyński sposób, by dać się zabić. Chcieli, ale im się nie udało. Koniec tematu i problemu.

Zbladł, zrobił krok w moją stronę i warknął:

— Nigdy niczego nie potrafisz się nauczyć?

I uniósł miecz, celując czubkiem w moją pierś.

— To ty nie potrafisz się nauczyć, że nie wszyscy muszą grać

według twoich reguł — poinformowałem go, unosząc pustą prawą dłoń. — Poza tym zabicie kogoś, kto nie ma w ręku broni, trudno uznać za honorowy wyczyn, prawda?

Jeszcze przez chwilę przyglądał mi się z żądzą mordy w oczach, po czym splunął i oznajmił:

— Idziemy!

Ruszyłem za nim bez słowa, mając tylko nadzieję, że reszta zmarłych, których tu napotkamy, będzie bardziej pokojowo nastawiona.

* * *

Bywają takie sytuacje, gdy trzeba komuś zaufać. Najchętniej zaufałbym Kierze, ale nie miałem pojęcia, gdzie jest, więc dałem Kragarowi pieniądze i poprosiłem, by dyskretnie nabył dla mnie sztylet o wąskim, liczącym siedem cali ostrzu. Zajęło mu to większość popołudnia, ale spełnił moją prośbę. I nie zadawał pytań.

Sprawdziłem wyważenie i zdecydowałem, że broń się nada, po czym spędziłem godzinę na ostrzeniu go, zwłaszcza czubka. Robiłem to w moim domu i powinno mi to zająć znacznie mniej czasu, ale brakowało mi doświadczenia. Bynajmniej nie w ostrzeniu noża, ale w odpowiednim naostrzeniu noża do konkretnego zadania. Wiedziałem, jak się ostrzy noże do mięsa, czy do warzyw, natomiast nie wiedziałem, jak się ostrzy broń, która ma zabijać. To odmienna umiejętność i musiałem się jej dopiero nauczyć.

Kiedy uznałem, że jest już odpowiednio ostry, pomalowałem go czarną, matową farbą. Całego, wraz z pochwą i rękojeścią — zostawiłem nie pomalowane jedynie krawędzie tnące.

Był wczesny wieczór, gdy skończyłem. Wróciłem w okolice lokalu „U Gruffa” i zająłem pozycję za rogiem. Loioosh usadowił się tak, by móc widzieć wewnątrz przez jedno z okien.

Teraz pozostało już tylko czekać.

Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy o czymś nie zapomnieliśmy:

„I co, Loioosh? Jest w środku?”

„Jest, szefie.”

„Jest z przyjacielem?”

„Z paroma.”

„Jesteś pewien, że od wewnątrz cię nie zauważą?”

„Jestem, szefie. Spokojna głowa.”

„No dobra. W takim razie poczekamy.”

Jeszcze raz przeanalizowałem plan (o ile tak można było określić tę rozpaczliwą prowizorkę), po czym dla zabicia czasu zacząłem przypominać sobie najgorsze fragmenty poezji, jakie czytałem. Wywołało to skojarzenie z Sheilą, dziewczyną, z którą chodziłem przez kilka miesięcy w zeszłym roku. Pochodziła ze Wschodniej Dzielnicy, w której mieszka większość ludzi w mieście. Sądzę, że we mnie pociągały ją pieniądze i to, że byłem inny niż wszyscy, których znała. Bo byłem inny, jeśli się głębiej zastanowić.

Nasz związek nie trwał długo, ale wspominałem go mile. Chciała osiągnąć pozycję i mieć pieniądze, w czym nie było nic dziwnego. Problem polegał na tym, że była pyskata i lubiła się kłócić. Nauczyłem się trzymać język za zębami, gdy byłem zbyt młody i słaby, by walczyć z elfimi wyrostkami, gdyż reagowanie na ich obelgi jedynie pogarszało sprawę, kiedy przyszła im ochota wyżyć się na mnie. Dlatego też nie miałem problemów, by milczeć, gdy wygłaszała jakieś kretyńskie opinie o

Dragaerianach, Jheregach czy czymkolwiek. Znudziło mi się, kiedy rozbolał mnie język od zbyt częstego „gryzienia się” węń. Było miło, ale dobrze, że znalazła wreszcie statek płynący do jednego z wyspiarskich księstw, w których doskonale płacono śpiewaczkom ze Wschodu. Brakowało mi jej, ale tylko z początku i tylko trochę.

Rozmyślanie o niej i o sześciogodzinnych napadach zakupowych, gdy miałem pieniądze, było skutecznym sposobem zabijania czasu. Podobnie jak lista wyzwisk, którymi się obrzucaliśmy, by sprawdzić, komu pierwszemu skończy się wyobraźnia. Byłem właśnie w jej połowie, gdy Loiosh zameldował:

„Szefie, wychodzą!”

„Dobra, wracaj.”

Przysiadł po paru sekundach na moim ramieniu, a ja ostrożnie wyjrzałem za róg. Było już ciemno, ale przez drzwi i okna gospody wydostawało się dość światła, by dało się zauważyć sylwetki. Jedną z nich był mój cel. I uprzejmie szedł w moim kierunku. Cofnąłem się za budynek, czując nagle zdenerwowanie. Ale tylko przez moment — potem byłem już spokojny i odprężony. Wyjąłem sztylet z pochwy i poleciłem:

„Ruszaj, Loiosh. Tylko bądź ostrożny.”

Odleciał, a ja zmieniłem chwyt, w jakim trzymałem nóż — Dragaerianie są wyżsi, toteż poziom wzroku Kynna wypadał nad moją głową. Nie jest to problem, jeśli jest się przygotowanym.

Ja byłem.

Po paru sekundach usłyszałem:

— Co do... zabierzcie to ode mnie!

I wybuch śmiechu.

Najwyraźniej Kynn miał sporo radości, obserwując, jak jego

towarzysz ogania się rozpaczliwie przed Loioshem. Doszedłem szybko do narożnika i minąłem go. Co dokładnie Loiosh robił, trudno mi powiedzieć, bo wzrok miałem wbity w Kynna. Był odwrócony plecami, ale coś musiało go ostrzec, gdyż odwrócił się twarzą ku mnie.

Noża nie zobaczył, bo ten był czarny. Zauważył jednak moje oczy i spojrzał w nie. Na moment świat zamarł i wszystko działo się w zwolnionym tempie. Kynn wydawał się zaskoczony.

Moja ręka poruszała się automatycznie, zupełnie bez udziału świadomości. Zrozumiał, co go czeka, w momencie, w którym przed jego lewym okiem pojawił się czubek mego sztyletu. A potem ostrze trafiło, a on jęknął, szarpnął się i zwiotczał, gdy dotarło do mózgu. Przekręciłem sztylet w ranie na wszelki wypadek i nie próbując go wyjąć, cofnąłem się za róg. Usłyszałem odgłos walącego się bezwładnie ciała i prawie równocześnie przykucnąłem za dwoma kubłami na śmieci.

Za rogiem rozległy się przekleństwa.

„Znalazł ciało, szefie” — zameldował Loiosh. „Znikam.”

„Poczekaj z powrotem” — poleciłem, widząc, jak zza rogu wyłania się postać z rapierem w dłoni.

Miałem już w ręku drugi nóż, ale przede wszystkim miałem nadzieję, że tamten nie wykaże skłonności samobójczych. Świadomość, że w pobliżu kryje się zabójca, powinna zniechęcić go do zbyt gorliwych poszukiwań. Miałem rację — rozejrzał się jedynie po alejce i zawrócił biegiem, pewnie żeby poinformować szefa o tym, co się stało. Musiał nabrać przekonania, że natychmiast teleportowałem się w bezpieczne miejsce. Albo też instynkt samozachowawczy przekonał go do tej wersji.

Ledwie Loiosh poinformował mnie, że droga wolna, ruszyłem szybkim krokiem do przeciwnego wylotu alejki, a potem już

wolniej do domu. Loiosh dołączył do mnie po drodze.

W mieszkaniu rozebrałem się i dokładnie sprawdziłem sztuka po sztuce całą garderobę w poszukiwaniu śladów krwi. Kaftan był poplamiony, więc spaliłem go w kuchennym piecu, a potem wziąłem długą kąpiel, zastanawiając się, jak wydam zarobione pieniądze.

* * *

Znajomek z Domu Smoka z dwuręcznym mieczem na plecach znów do nas dołączył. Spojrzał na mnie bykiem, więc mu odpowiedziałem tym samym, a Loiosh obsobaczył go, aż syczało. Sądzę, że to go nieco wyprowadziło z równowagi. W każdym razie wygraliśmy tę wymianę, bo zwrócił się ku Morrolanowi. A ten był nieco zawstydzony — pierwszy raz widziałem go w podobnym stanie i przyznam: był to miły widok.

— Mój towarzysz... — zaczął.

— Nie mówmy o tym.

— Dobrze.

— Za mną.

Morrolan spojrział na mnie wymownie i ruszyliśmy za przewodnikiem. Okolica pozbawiona była drzew, skał i budynków. Natomiast w sporej odległości widać było poruszające się postacie. Ponieważ nadal unikałem spoglądania w niebo, zauważyłem, że rzeczywistość powoli się zmienia — przemierzaliśmy większą przestrzeń, choć nasze kroki nie stały się dłuższe. Punkty orientacyjne, jak na przykład kamienie, z braku lepszych, przesuwały się nieproporcjonalnie w stosunku do naszego ruchu. W sumie nie powinno mnie to dziwić, a jednak rozpraszało i w pewien sposób przerażało. Dlatego

zdecydowałem się skupić uwagę na plecach naszego przewodnika.

Ktoś się do nas zbliżył. Kobieta w purpurowej sukni. Nasz przewodnik zatrzymał się, zamienił z nią kilka cichych słów, po których odwróciła się i odeszła.

„Szefie, przyjrzałeś się jej oczom?”

„Nie. A co w nich było szczególnego?”

„Byty puste. Bez wyrazu, jakby nie miała mózgu albo coś takiego.”

„Interesujące.”

Krajobraz zaczął się zmieniać, choć nie wiem dokładnie, w jaki sposób, bo starałem się na niego nie patrzeć. Zmiany nie pasowały do tempa naszego ruchu i nie podobało mi się to. Wyglądało to na serię króciutkich teleportów, tyle że nie czułem niczego, a co ważniejsze mój żołądek także nie czuł. Zauważyłem sosnowy zagajnik, który po dwóch krokach zniknął. Dostrzegłem przed nami wielki, szary głaz — też zniknął, ledwie zaczęliśmy go omijać. W pewnym momencie góry były blisko, a w następnym maszerowaliśmy przez las tropikalny. Zaraz potem gdzieś w pobliżu szumiał ocean. Na swój sposób było to bardziej denerwujące niż jakikolwiek z dotychczasowych ataków.

Padać zaczęło, ledwie zdążyliśmy porządnie obeschnąć po przeprawie przez wodospad i rzekę, i mój nastrój zdecydowanie się pogorszył. Nienawidzę być mokry.

Oczywiście deszcz trwał tylko tyle czasu, bym zdążył się zirytować. Potem otoczyły nas poszarpane skały. Droga prowadziła do wnętrza jakiejś góry i została w niej wykuta.

A potem pojawił się nad nami smok.

* * *

Następnego dnia wpadłem na Kragara. Na mój widok odchrząknął, spojrzął po swojemu w bok i powiedział:

— Słyszałem, że w nocy zginął jeden z silnoręcznych Rolaana.

— Tak? — spytałem uprzejmie.

— Nikt nie widział zabójcy, ale słyszałem plotki, że użył jherega, by zająć towarzysza zabitego.

— Aha. Pomysłowe.

— Prawie pomyślałem, że to ty, Vlad. Ale wszyscy wiedzą, że masz udomowionego jherega, więc nie zrobiłbyś czegoś tak głupiego.

Omali się nie zaczerwieniłem.

A Loiosh spytał podejrzliwie:

„Udomowionego?”

„Zamknij się!”

— Taki głupi to ja już nie jestem — poinformowałem Kragara. Pokiwał głową.

— Ale w sumie to interesujący pomysł — dodał.

— Ano.

Nielar posłał po mnie, ledwie zjawiłem się w pracy, i oznajmił bez wstępów:

— Vlad, powinienes na trochę wyjechać z miasta. Powiedzmy na miesiąc. Masz dokąd pojechać?

— Nie — odparłem zgodnie z prawdą.

Wręczył mi kolejną sakiewkę:

— To znajdź jakieś miejsce, które ci się podoba. Ja stawiam, a ty się dobrze baw i nie pchaj się nikomu zbyt w oczy.

— Jasne. Dzięki.

Wyszedłem i udałem się prosto do komercyjnego maga nie mającego żadnych powiązań z Domem Jherega. Zapłaciłem mu

za teleportację do Candletown położonego nad morzem na wschodzie, słynącego z dobrego jedzenia i jeszcze lepszych rozrywek. Nawet mi przez myśl nie przeszło zaglądać najpierw do mieszkania.

Jakoś nie wydało mi się to rozsądne.

* * *

Trudno sobie wyobrazić, jak wielki w rzeczywistości jest smok. Opisy też nie są specjalnie przekonujące, dopóki nie zobaczy się go na własne oczy. No bo tak: mógł mnie zjeść i to prawdopodobnie na jednego gryzą, nie licząc łba, miał osiemnaście stóp wysokości, a długości nie byłem nawet w stanie określić. Ale to i tak nie oddaje jego ogromu, dopóki się go nie zobaczyło w naturze.

Loiosh dał nura pod moją pelerynę i miałem wielką ochotę zrobić to samo. Morrolan stanął nieruchomo i czekał. Ponieważ nie oparł dłoni na rękojeści miecza, ja też trzymałem ręce z dala od broni.

Poza tym co niby mógłbym mu zrobić, nawet całym swoim arsenałem?

„WITAJCIE OBCY.”

To, co zadudniło mi pod czaszką, nie było „głośne”. To nie jest właściwe słowo na opisanie tego potężnego przekazu telepatycznego, który omal nie rozsadził mi głowy. Wcześniej, gdy spotkaliśmy athyrę, odniosłem wrażenie, że równocześnie prowadziła ona dwie różne rozmowy: jedną z Morrolanem,

drugą ze mną. Tym razem wyglądało na to, że obaj słyszemy to samo.

„Witaj, smoku” — odparł Morrolan.

Stwór łypnął jednym ślepiem na mnie, drugim, jak sądzę, na Morrolana i oznajmił:

„WY ŻYJCIE!”

Odruchowo spytałem:

„Skąd wiesz?”

Równocześnie Morrolan wyjaśnił:

„Mamy do wypełnienia nader ważną misję.”

„WAŻNĄ DLA KOGO?”

„Dla lady Aliery z Domu Smoka.”

„A DLACZEGO MA MNIE OBEJŚĆ JEJ WAŻNOŚĆ?”

„Nie wiem. Czy los Domu Smoka jest dla ciebie ważny?”

Usłyszałem coś, co mogło być zarówno chichotem, jak i parsknięciem. Po czym smok odparł:

„JEST.”

Morrolan oznajmił:

„Alera e’Kieron jest następczynią tronu z Domu Smoka.”

To była nowina także dla mnie.

Smok zaś odwrócił łeb tak, by obydwoma ślepiami móc spoglądać na Morrolana.

Po chwili spytał:

„W KTÓRYM MIEJSCU CYKLU JESTEŚMY?”

„Rządzi Cesarzowa z Domu Feniksa.”

„MOŻECIE PRZEJŚĆ” — zdecydował smok.

I odwrócił się (co nie było wcale takie łatwe), i odszedł.

Odetchnąłem z ulgą.

Loiosh wynurzył się spod peleryny i zajął miejsce na moim ramieniu. Nasz przewodnik ruszył w dalszą drogę i wkrótce krajobraz powrócił do normy, o ile naturalnie te przeskoki można nazwać normą. Wolałem się nie zastanawiać, ile czasu minęło od chwili mojego pojawienia się w tym dziwactwie czasoprzestrzennym. I tak miałem już spore problemy z uwierzeniem w to, co się dzieje, a nie tylko w to, co widzę. W każdym razie minęło go dość, by ubrania całkowicie wyschły po deszczu.

Przed nami pojawił się budynek, wokół którego kręciło się wiele postaci. Część nosiła stroje w barwach Domu Smoka, część purpurowe szaty.

— Morrolan, kim są ci w purpurze? — spytałem.

— Sługami zmarłych.

— Nie zazdroszczę zajęcia.

— Taki los spotyka tych, którzy dotarli na Ścieżki Umarłych, ale nie zdołali ich przejść albo zostali tu zabici.

Przypomniało mi się dwunastu przeciwników z Domu Smoka.

— I tak na zawsze? — upewniłem się.

— Nie sędzę. Ale na parę tysięcy lat na pewno.

— To musi być strasznie nudne zajęcie.

— I forma kary. Najprawdopodobniej taki właśnie los nas spotka, jeżeli nam się nie uda.

— Miła perspektywa — burknąłem przygnębiony.

Od budynku wciąż dzieliła nas spora odległość, ale nawet stąd widać było, iż można go śmiało porównać z Cesarskim Pałacem. Był to prosty, masywny sześcian szarej barwy, pozbawiony ozdób, czy napisów. Przynajmniej ja nie potrafiłem żadnych dostrzec z tej odległości. Ogólnie rzecz biorąc, był brzydki.

Nasz przewodnik wskazał go i powiedział:

— Przesdionek Sądu.

Rozdział trzynasty

Trzymałem w dłoniach świat. Przez moment wszystko było jasne i oczywiste — horyzont się nie chwiało, a ja nie słyszałem żadnego pulsowania. Wszystko wstrzymało oddech, a mój umysł przebił granicę rzeczywistości. Poczułem, że umysł Loiosha jest doskonale zgrany z moim, i zrozumiałem, że oprócz dziadka był jedyną istotą, którą naprawdę kochałem.

Zadałem sobie pytanie, po co to robię.

Dotarł do mnie zapach świerkowych igieł. Wszystko wydawało się jasne, proste i świeże. Sprowadziło to do moich oczu łzy, a dłoniom dało moc.

Mimo że coraz bardziej zbliżaliśmy się do budynku, nie stawał się on mniejszy. Sądzę, że krajobraz nadal zmieniał się tak jak ostatnio, ale robiłem co mogłem, by tego nie zauważyć. Doszliśmy do kolejnego łuku ozdobionego łbem smoka i nasz przewodnik zatrzymał się. Skłonił się Morrolanowi, mnie zignorował i powiedział uroczyście:

— To była przyjemność. Życzę powodzenia i miłego pobytu.

Po czym spojrział na mnie i dodał:

— Może zasłużysz na purpurową szatę.

— Serdeczne dzięki — uśmiechnąłem się promiennie. — Życzę tego samego.

Przeszliśmy pod łukiem i znaleźliśmy się na czymś, co przypominało dziedziniec przed wrotami, przez które nasz przyjaciel smok mógłby swobodnie przejść, nie opuszczając łba. Dostrzegłem inne łuki wokół dziedzińca — łącznie koło dwudziestu.

Coś mi się przestało zgadzać, więc je policzyłem. Oczywiście było ich siedemnaście! Kilka postaci w purpurze stało na dziedzińcu. Jedna podeszła do nas. Mężczyzna nie odezwał się, tylko uklonił każdemu z nas i poprowadził ku wejściu.

To była długa droga, a ponieważ wyglądała na całkowicie bezpieczną, oddałem się rozważaniu ewentualności, których dotąd wolałem nie rozważać. Kiedy stanęliśmy przed wrotami, te powoli i majestatycznie się otwarły. Jakoś nie wywarło to na mnie stosownego wrażenia.

— Ktoś ci ukradł pomysł — poinformowałem Morrolana.

— Raczej odwrotnie: mój zamek istnieje krócej. Ale w obu przypadkach robi wrażenie, prawda?

— Fakt.

W Czarnym Zamku gości wita lady Teldra. Tu w otwartych wrotach stał wysoki Dragaerianin w barwach Domu Lyorna: brązowej szacie do kostek, kaftanie i sandałach. I z mieczem na plecach. Na mój widok zmrużył oczy, po czym przyjrzał się nam uważnie i je wytrzeszczył.

— Obaj żyjecie! — oznajmił zaskoczony.

— Skąd wiesz? — zaczynałem mieć dość powtarzania tego w kółko.

— Chcemy stanąć przed Władcami Sądu — powiedział Morrolan.

Mężczyzna uśmiechnął się:

— Sądzę, że tak jest w istocie. Doskonale, chodźcie ze mną. Staniecie przed nimi niezwłocznie.

— Doczekać się nie mogę — mruknąłem.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi.

* * *

Dwa tygodnie po zabiciu Kynna spędziłem wesoło w Candletown, odkrywając, ile radości może mieć śmiertelnie przerażony człowiek. Bo mój stan najtrafniej oddawało właśnie to określenie.

Siedziałem sobie pewnego dnia na plaży, upijając się cicho i spokojnie, gdy podszedł do mnie kelner i spytał:

— Lord Mawdyear?

Przytaknąłem, bo taki właśnie pseudonim obrałem.

Wręczył mi zalakowaną kopertę.

Odwdzięczyłem się sutym napiwkami.

Odszedł, a ja otworzyłem ją. Wewnątrz była kartka papieru, na której napisano „Wróć”. Widniał też podpis Nielara. Spędziłem sporo czasu, zastanawiając się, czy jest autentyczny, dopóki Loioosh nie zauważył rozsądnie, że każdy, kto wiedział wystarczająco wiele, by sfalszować wiadomość i odnaleźć mnie, z równym powodzeniem mógł nasłać na mnie zabójcę i zaoszczędzić sobie kłopotu. Była to otrzeźwiająca myśl; przykra, ale równocześnie przekonała mnie co do autentyczności informacji.

* * *

Następnego ranka teleportowałem się do mieszkania i po południu zameldowałem się u Nielara. Nikt nic nie powiedział o partactwie, które uznałem za zawodową porażkę. Potem, w ciągu paru miesięcy stopniowo odkrywałem, że nikt inny tak nie sądził. Uznano to za drobny błąd, a wakacje zawdzięczałem powszechnej zasadzie, iż każdego zabójcę po wykonaniu zlecenia usuwano na pewien czas z miasta, jeśli działało się to w trakcie

wojny między dwoma Jheregami. Odkryłem też, że Candletown nie było najszcześniejszym wyborem: odpoczywało tam zwykle tylu zabójców, że zwano je potocznie Killertown. Nigdy potem nie odwiedziłem już tej miejscowości.

Natomiast praktycznie natychmiast zauważyłem coś innego, czego tak do końca do tej pory nie rozumiem. Nielar wiedział, że zabiłem. Kragar się tego domyślił. Reszta nawet nie podejrzewała. Pięknie. To dlaczego wszyscy mnie inaczej traktowali?

To były drobiazgi — głównie spojrzenia. Jakbym był odmiennym człowiekiem od tego, którego znali. Kimś zasługującym na szacunek. Kimś, wobec kogo lepiej zachować ostrożność. Nie żebym narzekał, wręcz przeciwnie. Natomiast było to zaskakujące i niezrozumiałe — i tym ostatnim pozostało. Nie wiem, czy sprawiły to plotki, czy też moje zachowanie nieco się zmieniło.

Być może zresztą były to oba te powody.

I było też coś równie dziwnego. Pracując w organizacji, spotykałem i spotykam rozmaitych silnoręcznych pracujących dla tego, czy tamtego. Większości nie znam nawet ze słyszenia, ale w przypadku niektórych od pierwszego rzutu oka wiem, że byli „na robocie”. Pojęcia bladego nie mam, skąd to wiem, i nawet nie mam możliwości sprawdzić, czy to wrażenie jest słuszne, ale wiem, że tak właśnie jest. I najczęściej ten, którego wniosek ów dotyczy, popatrzy na mnie i kiwa leciutko głową, jakby rozpoznawał we mnie coś znajomego.

Miałem siedemnaście lat i byłem człowiekiem w Imperium stworzonym przez elfy. I przez lata pomiatano mną, gdy tylko trafiła się okazja. I oto przestałem być „Wąsatym” i przestało się liczyć, czy jestem człowiekiem, czy elfem. Istotne było, że stałem

się kimś, kto spokojnie, na zimno potrafi zabić, a potem korzystać z życia za zarobione w ten sposób pieniądze. Oczywiście było, że ktoś taki nie pozwoli już sobą pomiatać.

Było to wspaniałe uczucie. Dopóki trwało.

* * *

Idąc korytarzem PrzedSIONKA Zmarłych, zastanawiałem się, czy smoki są tu także osądzone po śmierci, gdyż nie tylko wrota wejściowe, ale także i korytarze umożliwiały im swobodne przejście. Były tak monumentalne, że czułem się mały i nieważny. I najprawdopodobniej to chęć osiągnięcia tego efektu była głównym powodem rozmachu budowli.

„Loiosh, kto zaprojektował to miejsce?” — spytałem niespodziewanie.

„Mnie się pytasz?! Pewnie bogowie.”

„Aha. Jakbym jeszcze wiedział w końcu, co to takiego bogowie, byłbym szczęśliwy.”

„Niedużo ci trzeba do szczęścia, szefie. Ja mam większe wymagania, chciałbym na przykład martwą tecklę albo dwie... A zauważyłeś, że tu nie ma żadnych dekoracji ściennych?”

„Fakt. Tylko z drugiej strony, jakie dekoracje wybrałbyś do takiego jak to miejsca?”

„Nie wiem.”

Budynek był prawie pusty, jeśli nie liczyć paru purpuratów. Wszyscy mieli ten sam pusty wyraz oczu i obojętne twarze. Ich widok nie sprawiał mi przyjemności, ale jeszcze bardziej nieprzyjemny był brak jakichkolwiek bocznych korytarzy, czy drzwi. Przynajmniej ja żadnych nie zauważyłem.

— Dzień dobry — powiedział nagle ktoś za naszymi plecami.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Dragaerianina w pełnym stroju lorda i maga z Domu Smoka, łącznie z różdżką.

Uśmiechnął się sardonicznie na widok miny Morrolana. Była ciekawa. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak zaskoczonego. Widziałem go już mokrego i zawstydzonego, i gdybym jeszcze zobaczył go przestraszonego, umarłbym szczęśliwy.

Ponieważ Morrolan milczał, spytałem:

— Masz pewność, że jest dzień?

Spojrzał na mnie lodowato z taką pogardą, że na moment mnie zatkało. Zanim zdecydowałem, co miłego mu powiedzieć, odezwał się Morrolan:

— Witam, lordzie Baritt. Sądziłem, że nadal pan żyje, i z żalem widzę...

Baritt prychnął rozgniewany:

— Czas płynie tu inaczej. Bez wątpienia, gdy pan opuścił Dragaerę, nie byłem jeszcze...

Urwał i skrzywił się wymownie.

Morrolan wskazał gestem otaczającą nas budowlę:

— Mieszka pan tu, lordzie Baritt?

— Nie. Przeprowadzam jedynie pewne badania.

— Badania?

— Podejrzewałem, że nie będzie to znajome dla pana zajęcie.

Zdążyłem już dojść do siebie i sporą zabawę sprawiło mi obserwowanie kogoś traktującego Morrolana z wyższością. Morrolana natomiast nie bawiło to ani trochę: wyprostował się i oświadczył uroczyście:

— Jeśli pana czymś obraziłem, lordzie Baritt, to może...

— Jakoś na przykład nie mogę nijak docenić pańskiego wyboru towarzysza podróży.

Zabrałem głos, zanim Morrolan zdążył odpowiedzieć:

— Mnie też się nie podoba, ale...

— Nie odzywaj się w mojej obecności! — warknął Baritt i wykonał niewielki gest prawą dłonią.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mogę mówić, a nawet oddychać.

A ponoć magia tu nie działała!

Nasz przewodnik zrobił krok do przodu i równocześnie poczułem, że blokada ustępuje. Odchrząknąłem i spytałem:

— Chciałbyś sprawdzić, czy w purpurze ci do twarzy, mądralo?

W prawej dłoni czułem rękojeść noża noszonego w rękawie.

— Jhereg! — Baritt wypowiedział to jak przekleństwo.

Po czym splunął na podłogę i odszedł.

Wzięłem głęboki oddech, wypuściłem powoli powietrze i powiedziałem:

— No proszę, a myślałem, że po prostu nie lubi ludzi.

Morrolan nic nie powiedział.

Przewodnik natomiast zaprosił nas gestem, byśmy poszli za nim.

Poszliśmy.

Po kilku minutach doprowadził nas do kończącego korytarz prostokątnego portalu. Zatrzymał się przed nim i wskazał nam gestem, byśmy dalej szli sami. Skłoniliśmy się mu i wkroczyliśmy w inny świat.

* * *

Po pierwszym zleceniu zacząłem się uczyć na poważnie. Szkoliłem się w używaniu magii, chcąc osiągnąć poziom pozwalający na śledzenie czyjegoś teleportu, ale okazało się to

trudniejsze, niż sądziłem.

Szkoliłem Loiosha w skrytej obserwacji celu, jak i baczeniu, czy w okolicy nie kręcą się gwardziści. Nigdy już nie użyłem go w ataku w podobny sposób, ale i tak stawał się coraz wszechstronniejszym pomocnikiem.

Uczyłem się także posługiwania innymi rodzajami broni, jak garotta czy shurikeny, i uzupełniałem arsenał, wymyślając najrozsądniejsze miejsca ukrycia broni w odzieży.

Wojna między Rolaanem, a Welokiem trwała jeszcze przez parę miesięcy, w czasie których nikt nie ryzykował samotnych spacerów. To też była dobra szkoła ostrożności i przetrwania. Wykonałem w tym czasie kilka zleceń, choć tylko jedna „robota” miała związek z wojną, z tego co się orientuję.

Nieodgadnioną tajemnicą było i pozostało dla mnie, gdzie się podziały zarobione w ten sposób pieniądze. Mój fach był dobrze płatny i powinienem stać się bogaty. Fakt, mieszkałem w wygodnym i przestronnym mieszkaniu z błękitno—białym dywanem i piecem w kuchni, ale nie kosztowało ono aż tak wiele. Jadałem dobrze, płaciłem słono za lekcje magii i szermierki, walczyłem też wykonanym na zamówienie i dostosowanym do wzrostu i uchwytu rapierem, co kosztowało naprawdę uczciwie. Ale w sumie wydatki te nie stanowiły nawet połowy moich zarobków. Grywałem rzadko i ostrożnie, w przeciwieństwie do większości współpracowników, więc w ten sposób także nie traciłem zbyt wiele.

Część wydatków miała nieco inny charakter, ale nie były znów aż tak wielkie. Na przykład poznałem dziewczynę ze Wschodu imieniem Jeanine. Byliśmy razem z rok i przekonałem się, ile można stracić na rozrywkę, jeśli człowiek się do tego naprawdę przyłoży. Był też taki okres, w którym płaciłem słono za

teleporty, i to po dwa—trzy dziennie. Trwało to ze dwa tygodnie. Powód był prosty i ważny — równocześnie widywałem się z Jeanine i Konstance, i nie miałem ochoty, by dowiedziały się nawzajem o swoim istnieniu. Musiałem z tym skończyć, gdyż po takiej liczbie teleportacji byłem zbyt chory, by mieć z którejkolwiek z nich większy pożytek. To mogło mnie sporo kosztować — teleporty nie są tanie.

No, ale nie aż tyle.

I nadal nie mam pojęcia, gdzie się podziały te wszystkie pieniądze.

* * *

W pierwszym momencie wydało mi się, że wyszliśmy na zewnątrz. I w pewien sposób miałem rację, ale było to „zewnątrz”, jakiego nigdy dotąd nie widziałem na własne oczy. Na ciemnogramatowym niebie lśniły jasno gwiazdy — takie jakie widziałem oczami dziadka. Błyszczały wszędzie i było ich tak wiele...

Stwierdziłem ze sporym zdziwieniem, że kark mnie boli od długiego zadzierania głowy. I że jest całkiem chłodno. A potem zauważyłem, że Morrolan nadal gapi się w górę.

— Morrolan!

— Zapomniałem już, jak wyglądają — powiedział cicho.

Potem potrząsnął głową i rozejrzał się wokół.

Prawie równocześnie zrobiłem to samo i obaj ujrzeliśmy siedzących na tronach Władców Sądu.

Na wprost nas siedziało dwoje, reszta zaś na masywnym kręgu tronów, krzesel, stołków czy innych urządzeń do siedzenia. Część ustawiła je blisko siebie, jakby w grupach, inni w parach lub

trójkątach, a jeszcze inni siedzieli w sporym oddaleniu od pozostałych. Może pięćdziesiąt stóp przede mną usadowiło się coś masywnego i zielonego. Morrolan ruszył ku niemu, a ja poszedłem za nim.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłem, że istota pokryta jest łuską i ma wielkie, głęboko osadzone oczy jasnozielonej barwy. Rozpoznałem Barlana i z trudem opanowałem nagłą, przemożną ochotę oddania mu hołdu na leżąco, czyli w najbardziej upokarzający sposób.

Pojęcia nie mam, co mnie napadło.

Obok niego siedziała postać wyglądająca prawie jak Dragaerianka, ubrana w szatę o zmieniających się barwach. Nosiła fryzurę przypominającą kunsztowną mgłę, a każdy z palców jej dłoni miał o jeden staw więcej niż powinien. Była to Verra, Bogini Demonów moich przodków. Spojrzałem w prawo, spodziewając się ujrzeć jej siostry, które według podań i innych świętych relacji miała. Myślę, że zobaczyłem je — i tę kryjącą się zawsze w cieniu, i tę o włosach płynących jak woda. Odwróciłem wzrok, starając się nie patrzeć na nie, zapanowałem nad nagłym atakiem dreszczy i poszedłem za Morrolanem.

Pozostałych na dobrą sprawę nie pamiętam. Utkwiło mi w pamięci tylko dwóch bogów — jeden odziany w płomienie, drugi migoczący, gdyż pojawiał się i znikał w szybkim tempie. Nie znałem ich imion. Ilu było bogów, też nie jestem w stanie określić. W pewnym momencie miałem wrażenie, że są ich tam tysiące, ale nie wydaje mi się, bym mógł w tej kwestii wierzyć własnym zmysłom.

Morrolan wydawał się wpatrywać w miejsce między Verrą, a Barlanem. W miarę jak podchodziliśmy do nich coraz bliżej, okazywało się, że ich gigantyczność była iluzją. Zatrzymaliśmy

się jakieś piętnaście stóp przed nimi — byli duzi, ale nie nieludzko wielcy, jak się pierwotnie wydawało.

Ich wygląd nie uległ zmianie poza jednym szczegółem: szata Verry zmieniała nie tylko barwę, ale i krój oraz materiał, z którego została sporządzona. Niemniej oboje wyglądali na istoty, z którymi można w ostateczności spróbować porozmawiać. W przeciwieństwie do niektórych siedzących nieopodal.

Oboje w tym samym momencie dali do zrozumienia, że nas widzą. Morrolan skłonił się, choć nie aż tak nisko jak Barittowi. Nie próbowałem tego zrozumieć, tylko też się ukloniłem. Nisko. Verra przyjrzała się każdemu z nas z osobna, po czym przeniosła spojrzenie na Barlana. Wydawała się uśmiechać. Jeśli chodzi o niego, nie byłem w stanie określić wyrazu jego twarzy.

Potem ponownie spojrzała na nas i odezwała się głębokim, czystym i dziwnym głosem. Brzmiał on tak, jakby jej słowa dźwięczały echem w moim umyśle, ale równocześnie słyszałem je w mózgu i w uszach. W efekcie wszystko, co rzekła, brzmiało niezwykle wyraźnie i czysto. Było to tak nowe doświadczenie, że musiałem się skupić, by zrozumieć i zapamiętać treść.

Jej pierwsze słowa były takie:

— To niespodzianka.

Barlan nic nie powiedział.

Spojrzała na niego, potem znów na nas i spytała:

— Kim jesteście?

Pierwszy przedstawił się Morrolan:

— Jestem Morrolan e'Drien, księżę z Domu Smoka.

Przełknąłem kluchę w gardle i dodałem:

— Vladimir Taltos, baronet z Domu Jherega.

— Proszę, proszę — uśmiechnęła się: krzywo, dziwnie i ironicznie. — I wygląda na to, że obaj nadal żyjecie.

Zareagowałem odruchowo:

— Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się szerzej i odparła:

— Gdybyś siedział w tym interesie tak długo jak ja...

Przerwał jej Barlan:

— Mówcie, z czym przychodzicie.

— Przybyliśmy błagać o życie — powiedział Morrolan.

Verra uniosła brwi:

— Doprawdy? A czyjeż to?

Morrolan wskazał na laskę.

— Mojej kuzynki.

Barlan wyciągnął rękę.

Morrolan podszedł, podał mu laskę i cofnął się.

— Musi ci na niej naprawdę wielce zależeć — oceniła Verra. — Skoro zdecydowałeś się, przybywając tu, zrezygnować z prawa do powrotu.

Przełknąłem z wyraźnym trudem ślinę, co zauważyła, gdyż dodała:

— Twój przypadek jest nieco mniej jasny, jako że ludzie w ogóle tu nie przynależą.

Oblizalem suche nagle wargi i powstrzymałem się od komentarza.

Verra przeniosła wzrok na Morrolana i spytała:

— I cóż?

— Tak? — spytał uprzejmie w odpowiedzi.

— Jest warta twego życia?

Nie wahał się ani sekundy:

— Jeżeli to konieczne, to tak. Nazywa się Alera e’Kieron i jest następczynią tronu z Domu Smoka.

Verra drgnęła i spojrzała mu prosto w oczy.

Przekonałem się, że w widoku zaskoczonego boga jest coś przeraźliwego.

Po chwili powiedziała ciszej:

— A więc została odnaleziona.

Morrolan przytaknął, nie odzywając się.

Verra wskazała na mnie i spytała:

— Co on ma z tym wspólnego?

— Pomógł nam ją odzyskać.

— Rozumiem.

— Teraz przybyliśmy prosić, by mogła podjąć życie w punkcie, w którym...

— Oszczędź mi detali — przerwała mu.

Morrolan zamilkł.

Za to przemówił Barlan:

— To, o co prosisz, jest niemożliwe.

— Doprawdy? — spytała Verra.

— Jest także zakazane — dodał Barlan.

— Opowiadasz — powiedziała podejrzanie słodko.

— Z naszymi pozycjami są związane określone obowiązki — wyjaśnił. — Jednym z nich jest przestrzeganie...

— Daruj sobie wykład. Wiesz, kim jest Alieria?

— Jeżeli jest wystarczająco ważna, możemy poprosić o zwołanie...

— I minie tyle czasu, że ten człowiek nie będzie już w stanie wrócić. Jego mały jhereg także.

Nie zareagowałem, gdyż oglądanie kłócących się bogów pochłonęło mnie całkowicie. Nie sądziłem, że się kłócą, prawdę mówiąc. Zaskoczyło mnie nie tylko to, lecz także fakt, że Verra przejmowała się losem Loiosha siedzącego zresztą pod moją peleryną.

— To nie nasze zmartwienie — stwierdził Barlan.

— Zebranie będzie strasznie nudne — zauważyła Verra. — Jak wszystkie dotychczasowe.

— Nadużyłabyś zaufania, którym nas obdarzono, tylko po to, by uniknąć nudy?

— Zgadłeś za pierwszym razem, sztywniaku!

Barlan wstał.

Verra także wstała.

Przez chwilę przyglądali się sobie niezbyt przyjaźnie.

A potem zniknęli w deszczu złocistych iskier.

* * *

Nie chodzi o to, że Dragaerianie nigdy nie nauczyli się gotować, choć to prawda. Ale o to, że większość z nich uczciwie to przyznaje. Dopiero to jest zaskakujące. Jest to też główny powód, dla którego tak popularne są wśród nich restauracje prowadzone przez ludzi. A najpopularniejsza w stolicy jest restauracja „U Valabara”.

Firma Valabar i Synowie istnieje od niewiarygodnie długiego czasu. Lokal zaś stworzyli w Adrilankhce na długo przed Bezkrólewem i przeniesieniem tu stolicy Imperium. I od setek lat należy on do tej samej rodziny. Tej samej ludzkiej rodziny. Ponoć była to pierwsza w Imperium restauracja stanowiąca własność ludzi, w której pracowali wyłącznie kucharze ze Wschodu. Była to też wielka nowość — lokal istniejący tylko po to, by można było się w nim najeść, a nie jak w gospodzie czy tawernie — głównie napić (choć coś zawsze można było zjeść), czy jak w hotelu — głównie wyspać.

Lokal stał się tak popularny, że sprawujący władzę musieli

zawrzeć niepisane porozumienie: obojętne czego byśmy nie robili w stosunku do ludzi, „U Valabara” pozostaje nietykalne. Tak właśnie bowiem było przez te wszystkie wieki.

Wystrój restauracji był prosty — drewniane, twarde meble, białe obrusy i żadnych dekoracji na ścianach, czy suficie. Kelnerzy byli mili, uprzejmi i fachowi. I prawie tak trudni do zauważenia jak Kragar, gdy nalewali wina.

Nie istniała także żadna karta dań. Kelner po prostu wymieniał potrawy przygotowane przez szefa kuchni, zwanego zawsze „panem Valabarem” niezależnie od tego, ilu Valabarów w tym czasie byłoby zatrudnionych.

Tego wieczoru moją partnerką była Mara, najwspanialsza blondyna, jaką w życiu spotkałem. Wyróżniała się wybitnie złośliwym poczuciem humoru, które idealnie mi pasowało, jak długo nie ja byłem obiektem żartów. Partnerką Kragara była jakaś Dragaerianka, której imienia zapomniałem, należąca do Domu Jherega. Zapamiętałem, że miała miły i zaraźliwy śmiech.

Na przekąskę wzięliśmy pasztet z wątróbek gęsich oraz kurzych, i kethny z ziołami i niesolonym masłem podawanym na przypieczonym chlebie z cienkimi plasterkami ogórka. Zupą dnia była kartoflana z czerwonym pieprzem ze Wschodu, a do popicia zamówiliśmy sorbet cytrynowy. Sałatkę podano z tak niewiarygodnie delikatnym octem, że wydawał się prawie słodki.

Kragar zdecydował się na eskalopki w sosie cytrynowo—czosnkowym, jego towarzyszka na największego nadziewanego kabaczka, jakiego w życiu widziałem, Mara na kaczkę w sosie opartym na śliwownicy, ja zaś na kethnę w sosie pieprzowym. Na deser wzięliśmy placek. Mój był z drobno mielonymi orzechami i kremem czekoladowym ozdobionym pomarańczami. Popiliśmy wszystko butelką wytrawnego „Piarran Mist”. A ja za wszystko

zapłaciłem, bo właśnie świętowaliśmy realizację kolejnego mojego zlecenia.

Wychodziliśmy ociężali, ale gdy oboje z Marą dotarliśmy do mojego mieszkania, okazało się, że posiłek był doskonałym afrodyzjakiem. Zastanawiałem się nawet, jak skomentowałyby to dziadek, ale w końcu mu o tym nie powiedziałem.

Znudziłem się sobą gdzieś tak z tydzień później i Mara się wyprowadziła.

Jakoś to przeżyłem.

* * *

— Sztywniaku? — powtórzyłem.

Loiosh zasyczał z uznaniem.

— Myślę — ocenił spokojnie Morrolan — że udało nam się wpędzić kogoś w kłopoty.

— Ano.

Obaj rozejrzeliśmy się na wszelki wypadek.

Żadna z obecnych istot nie zwracała na nas uwagi. Na wszelki wypadek staliśmy jednak dalej.

Po parunastu sekundach Verra pojawiła się — także w deszczu iskier. I z błyskiem w oczach. Moment później ukazał się Barlan. Minę miał nieprzeniknioną, ale zauważyłem, że laskę trzyma Verra.

— Chodźcie! — poleciła.

Zstąpiła z tronu i poprowadziła nas wokół niego w mrok. Nie odzywała się. Morrolan także milczał, więc i ja zdecydowałem się nic nie mówić. Loiosh, cały czas siedzący pod peleryną od chwili znalezienia się tam, stał się również dziwnie małomówny.

Doszliśmy do bardzo wysokiej ściany, przez chwilę

kroczyliśmy wzdłuż niej, mijając paru purpuratów, aż dotarliśmy do łukowato sklepionego przejścia. Przeszliśmy przez nie i ukazał się nam korytarz rozwidlający się po paru krokach. Verra wybrała prawy, a my szliśmy jej śladem.

Po niedługim czasie dotarliśmy do miejsca, w którym znajdowała się obudowana niskim, ceglanym murkiem sadzawka. Słysząc też było delikatny plusk wody.

Verra zanurzyła dłoń w wodzie, zrobiła z niej miseczkę i napiła się. A zaraz potem bez żadnego ostrzeżenia rąbnęła laską o obmurowanie.

Coś trzasnęło i oślepił mnie nagły rozbłysk białego światła. Wydaje mi się, że podłoga się zatrzęsła, ale tego nie jestem pewien. Kiedy zacząłem widzieć coś poza białymi kręgami, otoczenie nadal wyglądało nieco dziwnie, jakby zostało zagięte pod niemożliwym kątem, gdzie tylko Verra może normalnie widzieć.

Sytuacja powoli wróciła do normy i dostrzegłem na posadzce obok sadzawki ciało młodej Dragaerianki w czarno—srebrzystym stroju. Była blondynką, co należało do rzadkości u Dragaerian, a w Domu Smoka praktycznie się nie zdarzało. Brwi miała delikatne, a rysy atrakcyjne. Sądzę, że dla Dragaerian wręcz piękne. Verra ponownie zanurzyła dłoń w sadzawce i wlała trochę wody w usta leżącej.

Potem uśmiechnęła się i odeszła.

Aliera zaczęła oddychać.

Rozdział czternasty

Dziadek, ucząc mnie fechtunku, często kazał mi stać nieruchomo i jedynie obserwować uważnie ruchy jego klingi. Przy odpowiednim treningu i koncentracji można było w ten sposób zauważyć, kiedy przeciwnik się odsłoni. Podejrzewam, że dobrze wiedział, iż uczy mnie nie tylko fechtunku.

Kiedy przyszedł właściwy moment, byłem gotów.

Otworzyła oczy, ale nie sądziłem, by była w stanie zrozumieć, co widzi. Zdecydowałem, że żywa wygląda znacznie lepiej niż martwa. Obaj z Morrolanem staliśmy i przyglądaliśmy się jej przez naprawdę długą chwilę.

Morrolan zagadnął cicho:

— Alierą?

Spojrzała na niego. Ale wyraz jej twarzy zmienił się dopiero po dobrej sekundzie: odmalowało się na niej zdziwienie. Chciała się odezwać, ale nie bardzo jej wyszło. Wreszcie odchrząknęła i wychrypiała:

— Kim jesteś?

— Twoim kuzynem. Nazywam się Morrolan e'Drien. Jestem najstarszym synem najmłodszej siostry twego ojca.

— Morrolan — powtórzyła, już mniej chrypiąc. — To pasujące imię.

Skinęła głową, jakby zdał test.

Morrolan starannie kontrolował swą mimikę, toteż z jego twarzy nie wyczytałem niczego.

Alierą spróbowała usiąść, co się jej nie udało, ale przy tej okazji dostrzegła mnie. Zmrużyła oczy i zwróciła się do

Morrolana:

— Pomóż mi.

Zrobił to.

Gdy już siedziała, rozejrzała się i spytała:

— Gdzie jesteśmy?

— W PrzedSIONKU Sądu — odparł.

Widać było, że ją zaskoczył:

— Czy ja jestem martwa?

— Już nie.

— Ale...

— Wyjaśnię ci to — przerwał jej Morrolan.

— Dobrze by było.

„Oni muszą być rodziną!” — ocenił Loioosh.

— Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie? — spytał Morrolan.

Wzruszyła ramionami, a raczej ramieniem, przekrzywiając głowę; taki gest zauważyłem dotąd jedynie u Morrolana.

— Poczekaj, to nie takie łatwe — przyznała i zamknęła oczy.

Czekaliśmy w milczeniu, co będzie dalej.

Po chwili zaczęła mówić:

— Rozległ się dziwny ni to jęk, ni to gwizd przekraczający granice słyszalności... Podłoga się zatrzęsła, a ściany i sufit zaczęły pękać... I zrobiło się niezwykle gorąco... Próbowałam się teleportować i pamiętani, że wiedziałam, że nie zdążę... A potem zobaczyłam twarz Sethry... — otworzyła oczy i spojrzała na Morrolana.

— Znasz Sethrę Lavode?

— Całkiem dobrze. Potem biegłam przez tunel... myślę, że to był sen, ale trwał bardzo długo. W końcu przestałam biec i leżałam na białej posadzce... chciałam się ruszyć i nie mogłam. Nie wiem, jak długo to trwało... Potem ktoś wykrzyczał moje

imię... wydawało mi się, że moja matka... A potem zaczęłam się budzić i usłyszałam obcy głos wypowiadający moje imię... to chyba był twój głos, bo gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam ciebie.

Morrolan pokiwał głową, jakby to, co usłyszał, potwierdzało jego podejrzenia.

— Spałaś... a raczej byłaś martwa przez kilkaset lat.

Alera skinęła głową i w jej oczach pojawiły się łzy.

— Teraz rządzi odrodzony Feniks, prawda? — spytała bardzo cicho.

Morrolan przytaknął bez słowa.

— Mówiłam mu, że tak będzie — powiedziała cicho. — Wielki Cykl... Siedemnasty Cykl... to musiał być odrodzony Feniks... ale on nie chciał mnie słuchać, był przekonany, że to koniec cyklu i można będzie utworzyć nowy... on...

— On stworzył morze chaosu, Alerio.

— Co?!

Wyszło mi, że „on” tyczyło się Adrona. Mocno wątpiłem, by można go było gdzieś tu znaleźć.

— Nie takie duże jak pierwsze, ale wystarczające, by pochłonęło całe miasto... całą Dragaerę.

— Całą Dragaerę... — powtórzyła.

— Stolicą Imperium jest teraz Adrilankha — dodał Morrolan.

— Adrilankha... miasto na wybrzeżu, tak? Tam jest Wieża Kierona, prawda?

— Nie wieża, tylko miejsce, w którym czekał. I nie jest, tylko było: zważyło się w czasie Bezkrólewia do morza.

— Bezkró... No, tak... oczywiście. Jak się zakończyło?

— Zerika z Domu Feniksa odzyskała Kulę, która w jakiś sposób znalazła się tu, na Ścieżkach Umarłych. Zezwolono jej powrócić do świata żywych. Pomogłem jej.

— Rozumiem... Nie znałam Zeriki.

Morrolan usiadł obok niej.

A ja usiadłem obok niego.

— Nie narodziła się przed Bezkrólewem — wyjaśnił. — To jedyna córka Vernoi i... no, tego, za kogo wyszła.

— Loudina.

— Właśnie. Oboje zginęli w Katastrofie.

Kiwnęła głową i zamarła nagle:

— Czeka! Skoro nie urodziła się, gdy ja żyłam, a rodzice zginęli w czasie wybuchu, to jak?...

Morrolan wzruszył ramionami i wyjaśnił:

— Sethra miała z tym coś wspólnego. Prosiłem, żeby mi to wyjaśniła, ale nic nie powiedziała. Wyglądała jednak na bardzo zadowoloną z siebie. Sądzę, że to właśnie tak ją zajęło, że nie zdażyła uratować cię całkowicie, tak jak chciała. Myślę, że najważniejsze dla Sethry było zapewnienie istnienia nowej Cesarzowej, a Zerika jest ostatnią przedstawicielką Domu Feniksa. Ty byłeś na drugim miejscu.

— Zerika to ostatni Feniks? W takim razie cykl zostanie przerwany w przyszłości.

— Może.

— A może być jeszcze inny Feniks?

— A skąd ja mam wiedzieć? Poza tym mamy cały cykl, żeby się tym martwić. Spytaj mnie o to za parę tysięcy lat, kiedy zaczniesz to być ważne.

Sądząc po minie Aliery, nie przypadła jej ta odpowiedź do gustu, ale nie zareagowała. Po chwili ciszy spytała:

— A co mnie się przytrafiło?

— Tak dokładnie to sam nie rozumiem — przyznał Morrolan.

— Sethra zdołała zachować twoją duszę w jakiejś postaci, ale w

całym tym zamieszaniu zgubiła ją. Po zakończeniu Bezkrólewia mag z Domu Athyry znalazł ją gdzieś na polu za miastem. Studiował nekromancję i podejrzewam, że nie zdawał sobie sprawy, co naprawdę znalazł. Udało się wyśledzić twoją duszę...

— Komu?

— Sethrze i mnie — odpowiedział, obserwując jej twarz, po czym dodał: — Choć pomogli nam inni.

Alera zamknęła oczy i skinęła głową.

Rozmowa trochę mnie zirytowała, bo nie lubię, gdy rozmówcy mnie ignorują, ale nic nie powiedziałem. W końcu miała ładny kawał czasu do nadgonienia i sporo nowin do przyswojenia, więc lepiej było, gdy opowiadał jeden, i to znający ją. Przynajmniej z opowieści.

— Mieliście jakieś problemy z odzyskaniem mnie? — spytała.

Spojrzelśmy po sobie z Morrolanem.

— Nie warte wspomnienia — odparłem.

Alera spojrzała na mnie, zmrużyła oczy i wpatrywała się we mnie intensywnie.

— Kim ty jesteś? — spytała z napięciem.

— Vladimir Taltos, baronet z Domu Jherega.

Nadal się we mnie wpatrywała.

Po długiej chwili dopiero potrząsnęła głową i przeniosła spojrzenie na Morrolana.

— O co chodzi? — spytał zaskoczony.

— Nieważne — niespodziewanie wstała, a raczej próbowała, bo wróciła do pozycji wyjściowej. — Chcę stąd wyjść.

— Sądzę, że pozwolą Vladowi odejść. Pomoże ci.

Popatrzyła z namysłem na mnie, potem na niego i spytała podejrzliwie:

— A ty co? Umarłeś?

— Wręcz przeciwnie. Jako żywemu nie wolno mi powrócić ze Ścieżek Umarłych. Będę zmuszony tu pozostać.

— Jak cholera! Najpierw osobiście cię ukatrupię!

* * *

Trudno mi dokładnie określić, w którym momencie przestałem uważać się za silnorękiego, który okazjonalnie szedł na „robotę”, a zacząłem traktować samego siebie jako niezależnego zabójcę współpracującego z Nielarem, czy potem z Welokiem. Pewnie dlatego że w czasie i zaraz po zakończeniu wojny moi szefowie zmieniali się dość szybko i trochę mi się wspomnienia wymieszały.

Faktem jest, że moi współpracownicy i szefowie pierwsi zaczęli mnie w ten sposób traktować. Nie sądzę jednak, by miało to wpływ na mój tok myślowy, a to z tego prostego powodu, że nie zdawałem sobie sprawy z zaistnienia tej zmiany. Sądzę, że prawdziwym początkiem było nabranie zawodowych nawyków i właściwego podejścia do „roboty”.

Jedno nie ulega wątpliwości — byłem już profesjonalistą w pełnym znaczeniu tego słowa, nim zakończyłem siódme zlecenie. Jego obiektem był mały wszarz imieniem Raiet.

* * *

Analizując to zaskakujące bądź co bądź oświadczenie Aliery zrozumiałem, że nie wiemy, jak się stąd wydostać, ani co właściwie powinniśmy teraz zrobić.

Odchrząknąłem.

Morrolan przerwał pojedynek na spojrzenia z Alierą i spytał:

— O co chodzi, Vlad?

— Wiesz, jak znaleźć drogę do miejsca, gdzie siedzą bogowie?

— Hmm... sądzę że tak.

— W takim razie proponuję tam wrócić.

— Dlaczego?

— A masz lepszy pomysł?

— Raczej nie.

— No to chodźmy.

Wstałem i zwalczyłem nagły impuls, by napić się z sadzawki. Pojęcia nie miałem, jakie właściwości ma ta woda i co może spowodować jej wypicie. Pomogłem wstać Alierze i odkryłem, że jak na Dragaeriankę jest niskiego wzrostu — była ledwie co wyższa ode mnie, prawdę mówiąc.

Ruszyliśmy w drogę powrotną, prowadząc Alierę i podtrzymując ją z obu stron. Wyglądała na raczej nieszczęśliwą z tego powodu. Albo z bólu, albo ze złości zacisnęła zęby, a zielone oczy, które w tej chwili wyglądały na szare, wbiła w jakiś punkt prosto przed sobą i nie odrywała ich ani na moment.

Kiedy dotarliśmy do łukowato sklepionego przejścia, zrobiliśmy krótką przerwę.

Morrolan, jak zwykle wcielenie uprzejmości, zaproponował, by usiadła i dała odpocząć nogom. W odpowiedzi usłyszał zwięźle:

— Zamknij się!

Zauważyłem, że jego cierpliwość zaczyna się kończyć. Przygryzł wargę, zauważył, że go obserwuję, i uśmiechnął się słabo.

Po paru chwilach ponownie ujęliśmy Alierę pod ramiona i poprowadziliśmy w wybranym przez Morrolana kierunku. Po paru krokach Alierę jęknęła, więc stanęliśmy.

— Nie mogę... — wykrztusiła.

Powoli posadziliśmy ją na posadzce.

Zamknęła oczy, uniosła głowę ku niebu i wielkimi haustami łapała powietrze. Na jej czole perlił się pot, co jak na Dragaeriankę było ostatecznym dowodem wyczerpania. Spojrzeliśmy na siebie z Morrolanem, ale żaden z nas nic nie powiedział.

* * *

Dobry kwadrans później nadal staliśmy nad siedzącą Alierą, zastanawiając się, czy przypadkiem jej śmiertelnie nie obrazimy propozycją niesienia, kiedy dostrzegliśmy postać zbliżającą się miarowym krokiem.

Dopiero gdy przybysz podszedł bliżej, dało się dostrzec szczegóły w świetle gwiazd. Był niezwykle wysoki i miał rozłożyste bary. Na plecach nosił naprawdę imponujący, półtoraręczny miecz, a rysy twarzy jednoznacznie wskazywały na przedstawiciela Domu Smoka. Ubrany też był w odpowiednie kolory, tylko krój stroju był dziwaczny — workowate portki wpuszczone w buty i bezkształtny skórzany kaftan. Włosy miał ciemne i lekko kręcone, oczy czarne. Zginął w średnim wieku, ale czoło miał nawykłe do myślenia, sądząc po zmarszczkach. Silny podbródek wskazywał na charakter, ale coś mi mówiło, że musiał przywyknąć do zaciskania zębów.

Zatrzymał się parę kroków przed nami i przyglądał nam równie uważnie jak my jemu. Ciekaw byłem, co Morrolan o nim sądzi, ale nie mogłem oderwać wzroku od twarzy przybysza, by to sprawdzić. Nie wiedzieć czemu musiałem przełknąć ślinę i poczułem dziwną miękkość w kolanach...

Kiedy się odezwał, mówił do Aliery.

— Powiedziano mi, że cię tu znajdę.

Przytaknęła, ale nic nie powiedziała. Wyglądała naprawdę nieszczęśliwie. Morrolan, który nie był, jak sądzę, przyzwyczajony, by go ignorowano, odezwał się:

— Witam cię, panie. Jestem Morrolan e'Drien.

Mężczyzna spojrział na niego i skłonił głowę.

— Dobrego dnia — powiedział. — Jestem Kieron.

Poczułem, że opada mi szczęka.

Kieron Zdobywca.

Ojciec i założyciel Imperium. Najstarszy z najdumniejszej linii Domu Smoka. Bohater legend i historii. Pierwszy z wielkich rzeźników masakrujących na Wschodzie rasę ludzką...

Długo można by wymieniać. Prędzej śmierci bym się spodziewał niż spotkania z nim.

Morrolan powoli przyklęknął na jedno kolano.

A ja z nie wyjaśnionych powodów nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy.

* * *

Zawsze mówiłem, że rozsądek nie idzie w parze z wiekiem.

Nie słyszałem jeszcze, by ktoś należący do Domu Jherega przeżył złożenie oficjalnego zeznania przeciwko innemu należącemu do tegoż Domu, a mimo to co i raz zdarzali się naiwniacy próbujący tego numeru. Jeden z drugim cymbał patentowany uważał, że wszystko sobie obmyślił, będzie żył długo i szczęśliwie, ciesząc się opieką władz. A może po prostu do żadnego z nich nie dociera, że jest śmiertelny. Albo że góra pieniędzy, którą płaciło Imperium, była warta ryzyka. Cóż, nie

był to mój problem, toteż nie było sensu martwić się wyjaśnieniami.

Zostałem wynajęty w sumie przez co najmniej czterech pośredników. Spotkanie nastąpiło przed sklepem, a rozmowa miała miejsce w trakcie spaceru. Ponieważ był ranek, okolica świeciła pustkami. Mój rozmówca zwany był potocznie Platfus z oczywistego powodu. Wiedziałem, dla kogo pracuje, stąd też gdy złożył mi propozycję „roboty”, zdawałem sobie sprawę, że musi chodzić o coś poważnego. Sam stał dość wysoko w hierarchii organizacji, więc zlecenie musiało pochodzić z rejonów zbliżonych do szczytów.

Powiedziałem mu to co zwykle.

— Znam kogoś, kto się zajmuje podobnymi usługami. Chcesz mi opowiedzieć, o co chodzi?

— Chodzi o to, że między dwoma z naszych przyjaciół wyniknął pewien konflikt, który stał się poważny, i sytuacja przestała być przyjemna dla wszystkich. Jeden z nich zaczął się bać o swoje zdrowie i spanikował do tego stopnia, że udał się do władz po ochronę.

Gwizdnąłem z uznaniem: oznaczało to bowiem poważną rozgrywkę na górze.

— Złożył oficjalne zeznanie? — spytałem.

— Częściowo. Ciąg dalszy ma nastąpić.

— To musi boleć.

— Pracujemy nad minimalizacją szkód. Jak dotąd dość skutecznie. Jeśli nam się nie uda, zrobi się naprawdę niemiło.

— Wyobrażam sobie.

— Potrzebujemy poważnej „roboty”. Naprawdę poważnej. Rozumiesz?

Przełknąłem ślinę, ale powiedziałem prawdę:

— Sądzę że tak, ale wolałbym, żebyś ujął to jaśniej.

— Morganti.

— Tak też sądziłem.

— Twój przyjaciel posługiwał się już takim narzędziem?

— A co za różnica?

— Żadna, jak sądzę. Twój przyjaciel będzie miał w tej sprawie takie wsparcie, jakiego tylko będzie potrzebował. Wielu jest zainteresowanych, żeby mu się powiodło.

— Jasne. Jak go znam, będzie potrzebował trochę czasu, żeby to przemyśleć.

— Oczywiście. Nikt go nie będzie ponaglał, choć zrozumiałe jest, że zależy nam na czasie. Cena to dziesięć tysięcy imperiali.

— Rozumiem.

— Ile czasu do namysłu będzie potrzebował?

Pomilczałem przez parę minut, analizując to, czego się dowiedziałem, wraz z możliwymi konsekwencjami i odrzekłem:

— Powiedz mi, o kogo chodzi.

— Raiet. Znasz go?

— Nie.

Znów pomilczałem, nie przerywając spaceru, który miał dziwnie uspokajające właściwości. W końcu powiedziałem:

— Sądzę, że mój przyjaciel się zgodzi.

— To dobrze. Chodźmy do mnie, dam ci pieniądze i przekażę wszelkie informacje, jakie posiadamy. Jeżeli będzie potrzebne coś jeszcze albo jakieś konkretne informacje, daj znać.

— Zgoda.

* * *

Stwierdziłem, że cofnąłem się o krok, a pod czaszką wirowały

mi myśli i uczucia szybciej, niż mogłem je zapamiętać. Strach i złość walczyły o lepsze, ale w końcu wygrał zdrowy rozsądek. I instynkt samozachowawczy.

Staliśmy tak przez naprawdę długą chwilę. Kieron spoglądał na Alierę, a my wszyscy na niego. Coś w sposobie, w jaki patrzyli na siebie Kieron i Alierę, wskazywało, że już się spotkali. Pojęcia nie mam, w jaki sposób, skoro Kieron był tak stary jak Imperium, a Alierę miała mniej niż tysiąc lat, nie licząc przymusowej drzemki.

W końcu Kieron spytał:

— Wstajesz, czy nie?

Coś w oczach Alierę błysnęło, nim odsyknęła:

— Nie mam ochoty. Będę tu leżeć wiecznie.

Wiem, że w tym, co powiedziała, nie ma ani jednej syczącej głoski, ale niemniej wysyczała to.

Kieron uśmiechnął się.

— Doskonale. Jeśli kiedyś ci się znudzi i zdecydujesz się wstać, możesz mnie odszukać. Wtedy porozmawiamy — powiedział i zaczął się odwracać.

Nagle znieruchomiał i spojrzał na mnie. Z jakiegoś powodu nie byłem w stanie patrzeć mu w oczy, gdy spytał:

— Masz mi cokolwiek do powiedzenia?

Język zmienił mi się w kołek i nie byłem nawet w stanie znaleźć słów, a co dopiero je wypowiedzieć.

Kieron odwrócił się i odszedł.

Morrolan wstał.

A Alierę się rozpłakała. Płakała cicho i z bezsilnością, ale tak że obaj z uwagą zajęliśmy się dokładnym oglądaniem czubków własnych butów.

Po pewnym czasie przestała płakać.

A po kolejnych paru minutach poprosiła cicho:

— Pomóżcie mi wstać, proszę.

Pomogliśmy.

Morrolan wskazał kierunek i ruszyliśmy tam wolno i ostrożnie.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że Loiosh nadal jest dziwnie milczący.

„Coś cię gryzie, stary?” — spytałem.

„Po prostu chcę stąd wyjść. Najlepiej zaraz.”

„Ja też.”

Głośno natomiast powiedziałem do Aliery:

— Rozpoznałaś go.

— Ty też.

— Czyżby?

— Owszem.

Może i miała rację, choć było to pozbawione sensu. Na wszelki wypadek zdecydowałem nie kontynuować tematu.

Przed nami pojawiły się dwa posągi. Przeszliśmy między nimi i znaleźliśmy się w sali tronowej bogów. Szliśmy dalej, starając się usilnie nie przyglądać mijanym istotom.

Po jakimś czasie Morrolan spytał:

— Co teraz?

Zdziwiło mnie to, bo raczej nie pytał Aliery.

— Poczekaj — powiedziałem. — Coś mi właśnie przyszło do głowy...

— Co?

Rozejrzałem się, dostrzegłem przechodzącego purpurata i zawołałem:

— Ty, czerwony, chodź no tu!

Przyszedł grzecznie i uprzejmie.

Powiedziałem mu, o co chodzi. Skinął głową potakująco i spojrzał na mnie wzrokiem śniętej ryby. Po czym wykonał polecenie, czyli zaczął nas prowadzić, dostosowując tempo do naszego. I tak musieliśmy zrobić dwa przystanki, by Alera odpoczęła. Na szczęście krótkie.

W końcu dotarliśmy do tronu, na którym siedziała bogini trzymająca włócznię. Skórę miała marmurową, a oczy przypominały diamenty. Purpurat skłonił się nam nisko i odszedł.

— Żyjący nie mają tu wstępu — oznajmiła bogini głosem przypominającym dźwięk dzwonków wietrznych.

Przez chwilę panowała cisza, głównie dlatego że ja sądziłem, iż Morrolan się odezwie, a on pewnikiem czekał, aż ja to zrobię.

W końcu odchrząknąłem i powiedziałem:

— Jestem Vladimir Taltos. To jest Morrolan, a to Alera. Ty jesteś Kelchor?

— Tak.

Do Morrolana dotarło. Sięgnął do kieszeni i podał jej płytkę z kości otrzymaną od kotów—centaurów. Obejrzała ją uważnie i powiedziała:

— Rozumiem. Dobrze więc: czego pragniecie?

Dalszy ciąg rozmowy należał do Morrolana:

— Opuścić to miejsce.

— Jedynie martwi opuszczają to miejsce. A i oni z rzadka.

— A Zerika?

Kelchor potrząsnęła głową.

— Mówiłam im, że to groźny precedens. Ale i tak nie ma nic wspólnego z wami.

— Możesz zapewnić nam jedzenie i bezpieczne miejsce, by Alera mogła odzyskać siły?

— Mogę, ale to jest Kraina Umarłych. Tutaj nie odzyska sił.

— Nawet krótki sen by mi pomógł — wtrąciła Alierą.

— Ci, którzy tutaj zasną, nie obudzą się już jako żywi — wyjaśniła Kelchor. — Nawet ludzie.

I spojrzała na mnie w dziwny sposób.

— Nie szkodzi — odparłem.

I nagle poczułem się bardzo zmęczony.

— Czy w takim razie możesz nam pomóc w jakikolwiek sposób? — pytanie Morrolana bardziej przypominało prośbę i w innych okolicznościach sprawiłoby mi to satysfakcję.

— Dotknij! — poleciła Kelchor, podsuwając Alierze włócznie, tak jak Mist podsunęła mi swoją.

Alierą dotknęła grotu bez wahania.

Poczułem, że przestała się na mnie wspierać.

Kelchor uniosła włócznie, a Alierą powiedziała:

— Dziękuję.

— Teraz idźcie! — poleciła Kelchor.

— Dokąd? — spytałem uprzejmie.

Kelchor otworzyła usta, lecz nim zdołała coś powiedzieć, uprzedziła ją Alierą:

— Odszukać Kierona.

Miałem zamiar jej powiedzieć, że ani mi się śni, ale doszedłem do wniosku, że coś jej się w końcu od życia należy, i nic nie powiedziałem. Tym bardziej że jak zaraz udowodniła, była w stanie poruszać się o własnych siłach.

Fakt, nieco niepewnie, ale samodzielnie. Obaj z Morrolanem ukłoniliśmy się nisko Kelchor. Wydawała się tym rozbawiona.

I poszliśmy w ślad za Alierą.

Nim ją dogoniliśmy, znalazła jakiegoś purpurata i poleciła mu dźwięcznym głosem:

— Zaprowadź nas do Kierona.

Przez moment miałem nadzieję, że ten nie wykona polecenia, ale tłumok jeden tylko uklonił się unizenie i zaczął pokazywać drogę.

Rozdział piętnasty

Było to zupełnie tak, jakbym usłyszał głos dziadka:

»Teraz, Vladimir«.

Powiedzenie tego trwałoby zbyt długo, bo działać należało natychmiast. Skojarzenie przyszło później, a zadziałałem natychmiast.

Pękło.

Teraz już nie miałem odwrotu. Ani czasu na żal. Wątpliwości stały się odległą abstrakcją. Wszystko skupiło się w tym miejscu i w tym czasie. A ja żyłem. I to w sposób, jakiego doświadczam jedynie w podobnych momentach. Uwolnienie i spełnienie, gdy daję nura w niewiadomą... a co najważniejsze: żadnego śladu wątpliwości. Jeżeli miałem zostać zniszczony, to było już za późno, by cokolwiek na to poradzić. Wszystko, co zgromadziłem, czekając na ten moment, zostało uwolnione. Czułem, jak energia wypływa, zupełnie jakby ktoś wyjął korek z odpływu. Przez chwilę byłem zbyt zaskoczony, by wiedzieć lub też zastanawiać się, czy trafiłem we właściwy moment. Śmierć i szaleństwo albo sukces.

Zaraz się przekonamy.

Otworzyłem oczy.

I ujrzałem czyste wariactwo.

Nawet gdyby moje życie od tego zależało, nie byłbym w stanie powiedzieć, którądy szliśmy, aż w końcu znaleźliśmy się w białym korytarzu, którym dotarliśmy pierwotnie do sali tronowej bogów. Okazało się też, że odchodzi od niego inny korytarz, choć wcześniej żadnego nie zauważyłem. Szliśmy nim, a prowadził

serią zakrętów i załamania, aż dotarliśmy do białego pokoju. Był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć wielu świec i Kieron Zdobywcy.

Stał plecami do wejścia, z głową pochyloną przed jedną ze świec. Nie wiem, co robił, ale odwrócił się, ledwie weszliśmy, i spojrzał na Alierę.

— Widzę, że stoisz o własnych siłach — ocenił.

— Stoję. A skoro już to potrafię, mogę wyjaśnić, jak dumna jestem, że pochodzę od kogoś, kto wyśmiewa się z rannych.

— Miło słyszeć, że jesteś dumna, Aliero e’Kieron.

Wyprostowała się prawie że na baczność.

— Nie...

— Tylko sobie nie wyobrażaj, że możesz mnie pouczać — przerwał jej. — Nie zasłużyłaś na to prawo.

— Jesteś pewien? Znam cię aż za dobrze. A jeśli ty mnie nie rozpoznałeś, to tylko dlatego, że jesteś równie ślepy jak zawsze byłeś.

Przyjrzał jej się uważnie, ale w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. A potem przeniósł spojrzenie na mnie i znów zrobiło mi się słabo. Ale też tego nie pokazałem.

— W takim razie co z nim? — spytał.

— On nie jest twoim problemem — odparła zdecydowanie.

Pochyliłem się ku Morrolanowi i powiedziałem:

— Uwielbiam, jak o mnie mówią jako...

— Przymknij się, Vlad.

„Uprzejme chamstwo, nie Loiosh?”

„Coś o tym wiem, szefie.”

Kieron spojrzał ponownie na Alierę i spytał:

— Jesteś pewna, że to nie moje zmartwienie?

— Tak.

Zaczynałem poważnie żałować, że nie wiem, o co chodzi.

— Cóż, może w takim razie nie jest. Zechcesz usiąść?

— Nie zechcę.

— Czego w takim razie chcesz?

Nadal jeszcze nie całkiem pewnie trzymała się na nogach, ale podeszła doń zdecydowanie. Stała o mniej niż sześć cali od niego i oświadczyła:

— W nagrodę za brak manier możesz odeskortować nas poza obszar Ścieżek Umarłych.

Zaczął się uśmiechać, a potem spoważniał:

— Nie mam zamiaru opuszczać tego miejsca. Dokonałem...

— Niczego przez dwieście tysięcy lat. Nie dość leniuchowania?

— Nie ty masz prawo mnie osądzać...

— Daruj sobie. Jeżeli uparłeś się pozwolić historii się mijać, to daj mi swój miecz. Wywalczę sobie wyjście, a potem zrobię z niego właściwy użytek. Może z nim skończyłeś, ale on nie skończył z tobą.

Kieron zacisnął zęby, a w oczach zamigotało mu coś zdecydowanie nieprzyjemnego.

— Doskonale, Aliero e'Kieron. Jeżeli uważasz, że potrafisz nim władać, to go weź! — warknął.

Przyznaję, że spora część tej konwersacji nie miała dla mnie większego sensu. Sądząc z wyrazu twarzy Morrolana, dla niego też — rozumiał z niej niewiele więcej niż ja, i prawdę mówiąc, mocno mnie to zdziwiło.

Aliera zaś oświadczyła bez wahania:

— Potrafię nim władać.

— W takim razie zobowiązuję cię, byś używała go dobrze i raczej zwróciła mi go, niż oddała komuś innemu lub pozwoliła go sobie odebrać.

— A jeśli tego nie zrobię? — spytała z czystej przekory.

— To będę musiał przyjść i odebrać go.

— Może o to właśnie mi chodzi.

Jeszcze przez chwilę kontynuowali pojedynek na spojrzenia, a potem Kieron rozpiął klamrę pasa na piersi i podał jej miecz, pochwę i pas. Długość miecza prawie dorównywała jej wzrostowi. Zaciekawilo mnie, jak Alera zdoła go nosić, nie mówiąc już o użyciu.

Wzięła broń bez widocznego wysiłku. Nawet nie ukloniła się Kieronowi, tylko odwróciła i wyszła. Nadal co prawda nieco niepewnie, ale bez potknięcia. Poszliśmy w jej ślady.

— Wracamy do domu — oznajmiła. — Wszyscy. I niech ktoś spróbuje nas powstrzymać.

Nie brzmiało to zbyt praktycznie, ale i tak był to najlepszy pomysł, o jakim usłyszałem przez cały dzień.

* * *

Informacje dostarczone przez Platfusa „na początek” składały się z czternastu zapisanych przez zawodowego skrybę kartek. Obejmowały one listę przyjaciół Raieta, dane, jak często którego odwiedzał, wykaz jego ulubionych restauracji z listą najczęściej zamawianych dań, jego historię w organizacji (sam w sobie wystarczał na ładny wyrok) i inne detale. Były także informacje dotyczące jego kochanki i jej mieszkania (przeciwko zabójstwu u kochanki nie było żadnych przeciwwskazań). Pod koniec znajdował się dopisek innym charakterem pisma: „Nie jest adeptem. Dobry w walce na noże. Szybki. Szermierz do dupy”. Te informacje, choć w teorii nie powinny mieć znaczenia, na wszelki wypadek lepiej jednak było znać.

Uświadomiło mi to, że dobrze byłoby dysponować podobnym zestawem informacji odnośnie do każdego celu. Owszem, zabicie kogoś bronią Morgantich to nader poważna sprawa, ale każde zabójstwo jest kwestią życia i śmierci. Dosłownie.

Oprócz papieru dostałem naprawdę ciężką sakwę. Było w niej więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek dotąd widziałem. Znajdowały się tam głównie monety o nominale pięćdziesięciu imperiali.

Platfus dał mi także pudełko. Ledwie go dotknąłem, wiedziałem, co zawiera. Cichy, głuchy pomruk, który rozległ się w moim umyśle, wywołał dreszcz. I uświadomił mi ostatecznie, w co się wpakowałem.

Naturalnie było za późno, żeby się wycofać.

* * *

Przemarsz korytarzami Przedسیونka Sądu okazał się przedsięwzięciem trudniejszym, niż sądziliśmy. Nikt nas nie próbował zatrzymać, bo nie musiał. Pojedynczy, szeroki i prosty korytarz zmienił się jakoś w pokręcony labirynt korytarzyków. Wędrowaliśmy nimi ponad dwie godziny, gubiąc się coraz bardziej, choć żadne nie chciało się do tego pierwsze przyznać. Próbowaliśmy znaczyć ściany, wydrapując na nich symbole, i trzymać się zasady lewej strony, ale oba sposoby zawiodły. Ktoś zmieniał rozkład korytarzy, płacząc je tak, by nas nie wypuściły. I usuwał znaki. O złośliwym, celowym działaniu najlepiej świadczy fakt, iż korytarze prowadziły wyłącznie do innych korytarzy. Od wyjścia z pokoju Kieronu nie natrafiliśmy na żadne schody, czy cokolwiek innego.

Purpuraci pytani o drogę do wyjścia spoglądali na nas jak na wyjątkowo śnięte ryby i stali w miejscu, zamiast pokazywać

drogę. Alierą przytroczyła do pleców miecz Kierona i z ponurą determinacją szła samodzielnie, udając, że nie czuje jego wagi. Morrolan był równie ponury, ja nie miałem na nic ochoty, a Loioś nadal się nie odzywał. Nikt nie miał żadnego sensownego pomysłu. Czułem się coraz bardziej zmęczony.

Zatrzymaliśmy się, by odpocząć, i usiedliśmy, opierając się o ściany. Alierą odkryła przy tej okazji, że fizyczną niemożliwością jest dokonać tego z tym, co ma na plecach. Wyglądała przez moment na bliską łez, ale opanowała się. Zaczęła tylko narzekać. Nie pozostała w tym osamotniona.

W końcu Morrolan zaczął mówić z sensem:

— Dobra, to nie ma sensu. Musimy odszukać bogów i przekonać ich, by nas wypuścili.

— Nas wypuszczą, ciebie zatrzymają — oceniła Alierą. — To do niczego.

— Nie muszą mnie zatrzymywać, ten cholerny labirynt jest pod tym względem skuteczniejszy.

Alierą nie odpowiedziała.

Morrolan zaś dodał rzeczowo:

— Podejrzewam, że możemy tu wędrować wiecznie, a i tak nie znajdziemy wyjścia. Musimy kogoś poprosić o pomoc, a poza Verrą nikt nie przychodzi mi do głowy.

— Nie! — oznajmiła Alierą.

— Zgubiliście się? — spytał nowy głos.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Baritta; wyglądał na zadowolonego. Poczulem w dłoni rękojeść noża, ale na wszelki wypadek się nie odzywałem.

— Kim jesteś? — spytała Alierą.

Odpowiedział jej Morrolan.

— To Baritt.

— A ty? — spytał Baritt.

— Jestem Alera.

Baritt wybałuszył oczy.

— Doprawdy? To ci dopiero...! Próbujecie wrócić do krainy żywych, jak mniemam. Cóż, w takim razie poproszę o przysługę: jeśli się wam uda, a ja będę nadal żył, nie odwiedzajcie mnie. Nie sądzę, żebym był w stanie to wytrzymać.

— Jesteśmy... — zaczęła Alera.

— Wiem i nie mogę wam pomóc. Stąd jest tylko jedno wyjście, to, które znacie. Każdy w purpurowej szacie może was tam doprowadzić. Przykro mi.

I naprawdę wyglądało na to, że jest mu przykro. Przynajmniej jak długo spoglądał na Alerę.

Ta prychnęła i oznajmiła:

— W takim razie ruszamy!

I poszliśmy dalej, zostawiając nieco wyglupionego Baritta.

Znalezienie purpurata było równie trudne jak znalezienie teckli na rynku. Był jak najbardziej gotów wskazać nam drogę do sali tronowej i zrobił to. Bez trudu odnalazł szeroki, prosty korytarz. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy po prostu pójść nim w przeciwną stronę, ale nie powiedziałem tego głośno. Coś mi mówiło, że i tak by się to nie udało.

Purpurat został przy wejściu, my weszliśmy i podeszliśmy do tronu Verry, Bogini Demonów. Uśmiechała się.

Suka.

* * *

Większość planowania nie wymagała wychodzenia z mieszkania, ale irytowała mnie nachalna obecność sztyletu

Morgantich, więc zdecydowałem się sprawdzić parę informacji osobiście. Okazało się, że wszystkie się zgadzają, ale i tak byłem zadowolony, że sprawdziłem. Cel miał przydzieloną przez władze ochronę złożoną z trzech zbrojnych z Domu Smoka. Nie odstępowali go i byli naprawdę dobrzy. Żaden mnie nie zauważył, ale nie to było ich zadaniem. Tym bardziej że krótko ich śledziłem, a potem robił to Loioosh, którego zauważyć po prostu nie mieli prawa.

Sam siedziałem w domu i szukałem słabego miejsca, w którym można byłoby przeprowadzić atak. Problemem naturalnie byli ochroniarze. Gdyby nie należeli do Domu Smoka, dałbym radę ich przekupić. Smoki gardziły pieniędzmi, a słabych punktów tych trzech nie znałem.

Najdogodniejszym miejscem było mieszkanie jego kochanki w zachodniej części miasta. Nie dlatego że miało jakieś szczególne walory, ale dlatego że mieszkanie kochanki zawsze jest idealnym miejscem do przeprowadzenia niespodziewanego ataku. To w dodatku miało masę zalet — położone było w okolicy, w której rano prawie nie było ruchu, za to sąsiednie budynki umożliwiały doskonałe ukrycie. Jednym z pomysłów, jakie rozważałem, było zastąpienie dorożkarza, który go przywoził, ale wiązało się to z zabiciem woźnicy, co mi nie odpowiadało, albo z przekupieniem go, co było ryzykowne.

Musiał istnieć lepszy i bezpieczniejszy sposób.

No i naturalnie istniał.

I znalazłem go.

* * *

Verra odezwała się pierwsza:

— Witam was ponownie, śmiertelnicy. I ciebie, Aliero. Możesz opuścić to miejsce, podobnie jak ten człowiek, pod warunkiem że nigdy tu nie powrócicie. Lord Morrolan pozostanie.

— Nie — sprzeciwiła się Alier. — Wróci razem z nami.

Verra nadal się uśmiechała.

— No dobrze — ustąpiła Alier. — Wyjaśnij mi, dlaczego musi tu pozostać.

— W związku z naturą tego miejsca. Żywi po prostu są niezdolni do powrotu. Być może stanie się ożywionym trupem i wtedy będzie mógł stąd wyjść. Istnieją przypadki osób, które tego dokonały, na przykład Sethra Lavode.

— To nie do przyjęcia — oceniła Alier.

Verra tylko się uśmiechnęła.

Za to Morrolan powiedział:

— Daj spokój, Aliero.

Mina Aliery wskazywała, że nie ma najmniejszego zamiaru.

— Przecież to nonsens! — oznajmiła. — Skoro taka jest natura tego miejsca, to Vlad także nie powinien być w stanie opuścić go żywy, a mówisz, że jest to możliwe. Tylko mi nie tłumacz, że to dlatego, że jest człowiekiem, bo obie dobrze wiemy, że między duszą człowieka, a duszą Dragaerianina nie ma żadnej różnicy!

To była nowinka. Od razu nasunęło mi się pytanie, dlaczego w takim razie ludzkie dusze nie miały wstępu na Ścieżki Umarłych. Zakładając naturalnie, że któryś człowiek chciałby, by jego dusza się tu znalazła. Uznałem jednak, iż nie jest to najwłaściwszy czas i miejsce na podobne pytania.

Alier. zaś dodała:

— Ja także nie powinnam być w stanie stąd odejść, jeśli o to chodzi. Nie wspominając już o tym, jakim cudem udało się to Zerice. No i pozostaje jeszcze drobna kwestia ciebie. Wiem, co

znaczy być władcą Sądu; nie ma w tym nic szczególnego, co uodparniałoby cię na podobne oddziaływania, gdyby te rzeczywiście istniały. Kłamiesz i tyle!

Verra przestała się uśmiechać, a jej dłonie drgnęły w dziwnym, płynnym, nieludzkim geście, który przestraszył mnie bardziej niż wszystko, co dotąd tu przeżyłem. Spodziewałem się, że Alera zostanie od ręki zniszczona, ale Verra powiedziała tylko:

— Nie muszę ci niczego wyjaśniać, mała Smoczyco.

Na co Alera wypaliła:

— Musisz. Jesteś mi to winna!

I Verra zarumieniła się.

Nie miałem pojęcia, o co chodziło, ale jedno nie ulegało wątpliwości: charakterek Alera rzeczywiście miała.

Niespodziewanie Verra uśmiechnęła się lekko i przyznała:

— Być może rzeczywiście winna ci jestem wyjaśnienie. Otóż po pierwsze mylisz się: nie wiesz o bogach tak dużo, jak sądzisz. Ludzie podziwiają bogów, odmawiając im atrybutów ludzkich. Dragaerianie traktują boskość jak wysoki poziom umiejętności, podobnie jak czynią to w stosunku do magii. Żadne podejście nie jest do końca właściwe. Boskość to połączenie wielu cech i wielu naturalnych czynników i wymaga zmian w każdym aspekcie osobowości. Nigdy nie byłam ani człowiekiem, ani Dragaerianką, ale jednak gdybym była którymś z nich za życia, teraz jestem boginią. Moja krew to krew bogów i to jest powód, dla którego kraina zmarłych nie może mnie zatrzymać. Jeśli chodzi o Zerikę, to mogła stąd odejść, gdyż Kula ma moc nawet tutaj. Mimo to mogliśmy ją powstrzymać i prawie to uczyniliśmy. Pozwolić odejść stąd żywej osobie to poważna decyzja, której konsekwencje należy rozważyć, mimo że naprawdę niewielu

potrafi powtórzyć ten wyczyn. Twój przyjaciel Vlad nigdy nie zdołałby tu dotrzeć w duchowej postaci. Potrzebował ciała, by tego dokonać. Dusze rzeczywiście są takie same, ale sprawa jest bardziej skomplikowana. W uproszczeniu rzecz sprowadza się do krwi i do tego, że dotarł tu jako żywa istota. Dlatego może jako nadal żywy stąd odejść. Raz. Nie wracaj tu, bo powtórnie stąd nie wyjdiesz!

Ostatnie zdanie skierowane było do mnie. Towarzyszyło mu spojrzenie, po którym pozostało mi jedynie udawać, że wcale się nie trzęsę.

Verra dodała zaś:

— Co się tyczy ciebie... — Nie dokończyła — uśmiechnęła się tylko.

Alera zarumieniła się i spuściła wzrok.

— Wiem — powiedziała cicho.

— Właśnie. W twoim przypadku, jak być może opowiedzieli ci przyjaciele, miałam pewne trudności w przekonaniu niektórych, by pozwolili ci odejść. Gdybyś nie była następczynią tronu, musiałabyś pozostać. A oni obaj wraz z tobą. Czy teraz jesteś zadowolona z odpowiedzi?

Alera przytaknęła, nie podnosząc wzroku.

„A co ze mną, szefie?” — rozległo się niespodziewanie.

Cholera!

Wcale o tym nie pomyślałem, więc teraz zebrałem się na odwagę i spytałem:

— Mogę wiedzieć, co z...

— Twój familiar naturalnie dzieli twój los.

— Aha... w takim razie... Dzięki.

„Dzięki, szefie. Ulżyło mi.”

„Miło słyszeć, że choć komuś.”

Verra ponownie zabrała głos:

— Jesteście teraz gotowi odejść? Powinniście zrobić to szybko, jeśli bowiem zaśniecie, żadne z was nie obudzi się żywe, a istnieje cesarski zakaz zabraniający niemartwym zasiadania na tronie i sprawowania władzy.

— Nie odejdę stąd bez mojego kuzyna — oświadczyła Alierą.

Verra straciła cierpliwość.

— Jak chcesz! — warknęła. — Zostań, proszę uprzejmie. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to wychodzi się stąd przez łuk, który znajdują twoi przyjaciele, potem w lewo, mija się Cykl i idzie dalej prosto. Możecie iść wszyscy, jeśli zdołacie. Lord Morrolan wkrótce odkryje, że życie wypływa z niego, w miarę jak się stąd oddala. Ale próbuj, może uda ci się wynieść trupa, którego dusza nie będzie miała tu wstępu. Zmarnujesz wtedy całą jego przyszłość, nie tylko życie. Teraz mnie zostawcie!

Spojrzeliliśmy po sobie.

Poczułem się naprawdę zmęczony.

Z braku lepszego pomysłu przeszliśmy przez salę tronową i odszukaliśmy łukowato sklepione przejście, przy którym pierwszy raz spotkaliśmy Kierona Zdobywcę. W prawo prowadziła droga do sadzawki, nadal kuszącej, ale zbyt niebezpiecznej. Na lewo znajdowało się wyjście. Dla mnie i dla Alierę.

Ze sporym zaskoczeniem odkryłem, że nie chcę zostawiać tu Morrolana. Gdyby chodziło o Alierę, być może moje uczucia byłyby inne, ale to akurat nie wchodziło w grę. Wszyscy stanęliśmy w samym przejściu pod łukowatym sklepieniem.

Nikt się nie poruszył.

* * *

Otworzyłem pudełko otrzymane od Platfusa. Nieprzyjemne uczucie się nasiliło. Wewnątrz znajdował się sztylet w pochwie prostej i użytecznej roboty. Dotknięcie pochwy było trudne. Dotknięcie rękojeści jeszcze trudniejsze.

„Nie lubię go, szefie.”

„Ja też.”

„Musisz go wyjąć, zanim...”

„Muszę. Muszę wiedzieć, czy będę w stanie go użyć. Teraz bądź cicho, bo rozmowa z tobą nie ułatwia mi sprawy.”

Wyjąłem sztylet z pochwy i mój umysł stał się obiektem jego ataku. Ręka zaczęła mi drżeć, toteż zmusiłem się do rozluźnienia chwytu. Spróbowałem przyjrzeć się i ocenić sztylet, jakby był zwyczajną bronią. Ostrze miało trzynaście cali, było obosieczne i miało dobry czubek. Całość była dobrze wyważona, a ostrze pasowało nawet do mojej dłoni. Rękojeść wykonano z ciemnego drewna, a pochwę pokryto czarną, nie odbijającą światła skórą i...

»Morganti.«

Nie puściłem go, choć miałem wielką ochotę. Poczekalem, aż ręka przestanie mi drżeć, co w końcu nastąpiło. Nigdy dotąd nie miałem w dłoni broni Morgantich i niewiele brakowało, abym sobie solennie obiecał, że nigdy więcej podobnej nie wezmę. Ponieważ obietnice składane pod wpływem impulsu przeważnie są głupie, powstrzymałem się w ostatniej chwili.

Niemniej było to niemiłe, by nie rzec przerażające uczucie, do którego zresztą nigdy się nie przyzwyczailem. Znałem kilka osób, które regularnie nosiły podobną broń, i do tej pory nie wiem, czy byli chorzy, czy po prostu mieli znacznie silniejszą psychikę niż moja.

Zmusiłem się do zadania serii pchnięć i cięć. Pchnięcie postanowiłem też przetrenować na sosnowej desce. Trzymałem ją lewą dłonią przy ścianie nad szafką, a prawą miałem pod stałą kontrolą i ciosy zadawałem jak najdalej od miejsca trzymania. Musiało to wyglądać absurdalnie, ale wcale nie było mi do śmiechu. Co dziwniejsze Loiosh także nie wygłosił żadnych komentarzy na ten temat.

Wykazał zresztą wielką odwagę, zapanowując nad odruchem wylecenia z pokoju.

Ja zresztą też, jeśli o to chodzi.

Wbiłem sztylet z dziesięć razy, dopóki nieco się nie odprężyłem i nie zacząłem go traktować choć trochę podobnie jak zwykły sztylet. Do końca nigdy mi się to nie udało, ale poczyniłem spore postępy. Kiedy wreszcie schowałem go do pochwy, byłem mokry od potu, a ramię prawie całkiem mi zdrętwiało.

Włożyłem sztylet do pudełka i zamknąłem wieko.

„Dzięki szefie. Ulżyło mi.”

„Mnie też. W takim razie wszystko gotowe do jutrzejszego finału. A my zasłużyliśmy na uczciwy odpoczynek.”

„O to, to, szefie!”

* * *

Kiedy tak staliśmy, spytałem Alierę:

— To co w tobie jest takiego specjalnego, że możesz bez problemów stąd odejść, a Morrolan nie?

— To kwestia krwi.

— Dosłownie czy w przenośni?

Spojrzała na mnie niechętnie.

— Wybierz sobie, co chcesz — burknęła.

— A nie zechciałabyś może podać mi nieco więcej szczegółów?

— Nie.

Wzruszyłem ramionami.

Miłe to nie było, ale przynajmniej nie usłyszałem, że to nie moja sprawa i że nie musi mi niczego wyjaśniać. Jakoś nie lubię, jak mi to mówią. Rozejrzałem się: przed nami znajdowała się ściana, a w prawo i w lewo prowadziły drogi.

Spojrzałem w prawo i spytałem:

— Morrolan, wiesz coś o tej wodzie, którą Verra piła i napiła Alierę?

— Niewiele.

— A jak myślisz, gdybyśmy ją wy...

— Nie! — oświadczyli oboje zgodnym chórem.

Chyba wiedzieli o niej więcej niż ja. Co wcale nie było takie trudne. Żadne nie próbowało niczego wyjaśnić, a ja nie nalegałem. I tak staliśmy sobie w milczeniu, a czas uciekał. W końcu Morrolan powiedział:

— Myślę, że nie mamy wyboru. Musicie iść. Zostawcie mnie tutaj.

— Nie! — uparła się Alierka.

Przygryzłem wargę, ale i tak nic mi nie przyszło do głowy.

Niespodziewanie Morrolan zaproponował:

— W takim razie chodźmy. Obojętne co zdecydujemy; chcę obejrzeć Wielkie Koło Cyklu.

Alierka przytaknęła ruchem głowy.

Ja nie miałem nic przeciwko.

Więc poszliśmy w lewo.

Rozdział szesnasty

Horyzont podskoczył i zwinął się. Świeca eksplodowała, nóż rozprysnął się na kawałki, a buczenie zmieniło się w ogłuszający ryk.

Runa pałała blaskiem, jakby chciała mnie oślepić, i zdałem sobie sprawę, że odczuwam wielką senność. Wiedziałem, co to znaczy — nie zostało mi nawet tyle energii, by dłużej pozostać przytomnym. A jeśli zasnę, mogę, ale nie muszę odzyskać kiedykolwiek przytomności. I to w dodatku albo jako ktoś normalny, albo jako szaleniec.

Obraz zafalował mi przed oczyma, a ryk stał się jednym dźwiękiem, równie monotonnym jak cisza. Dziwne. W ostatniej chwili zobaczyłem na samym środku runy przedmiot, który chciałem tu ściągnąć. Leżał sobie spokojnie, jakby cały czas się tu znajdował.

Przez moment zdziwiłem się, dlaczego nie czuję radości z sukcesu. Potem stwierdziłem, że pewnie dlatego, że nie wiem, czy przeżyję, by móc go użyć. Czułem jedynie jakąś odległą satysfakcję, że dokonałem czegoś, co nie udało się dotąd żadnej czarownicy. Uznałem, że jeśli to osiągnięcie mnie nie zabije, to będzie całkiem nieźle.

Umieranie, jak się już przekonałem, zawsze psuje przyjemność cieszenia się własnym osiągnięciem.

Naprawdę chciałbym zobaczyć mapę Ścieżek Umarłych.

Albo plan.

Jak kto woli.

Ściana, a wraz z nią droga, którą szliśmy, skręcała i biegła

półkolem, aż dotarliśmy w miejsce, które powinno znajdować się w sali tronowej bogów, a tymczasem nadal byliśmy w pozbawionym sufitu korytarzu. Gwiazdy zniknęły, ustępując miejsca szarej płaszczyźnie, ale światła było tyle samo, ile wcześniej dawały go gwiazdy. Dziwne.

Ściana skończyła się i znaleźliśmy się na urwisku nadmorskim. To, że morza nie było w promieniu tysiąca mil, jak się okazuje, nie miało najmniejszego znaczenia. Mój błąd — powinienem już w drodze do Przesionka Sądu nauczyć się, że geografia i logika nie mają tu zastosowania.

Wpatrywaliśmy się jakiś czas w ciemne, ponure morze, słuchając jego ryku. Ciągnęło się w nieskończoność tak w przestrzeni, jak i w czasie. Gdy patrzę na morze, odruchowo się zastanawiam, kto i co żyje pod jego powierzchnią. Tak było zawsze na Dragaerze, tak było i tu, tyle że teraz zastanawiałem się, czy to, co żyje, jest gorsze czy lepsze od naszych stworzeń albo czy tak podobne, że nie byłbym w stanie ich rozróżnić. I jak żyją: gdzie śpią... czy przypadkiem w równie wygodnych łóżkach jak moje — ciepłych, miękkich i bezpie...

— Vlad!

— Aaa... co?

— Musimy iść — powiedział Morrolan.

— A, tak. Przepraszam. Zaczynam być zmęczony.

— Wiem.

— Dobra, no to... zaczekajcie!

Zdjąłem plecak, pogrzebałem w nim i spomiędzy bezużytecznych zapasów, które targałem całą drogę na własnym grzbiecie, wyciągnąłem zwitek liści kelschu. Podąłem każdemu po jednym i poleciłem:

— Żujcie je.

Sam zrobiłem to samo, nakładając plecak.

Nic nadzwyczajnego się nie stało, ale po chwili dotarło do mnie, że jestem znacznie przytomniejszy niż parę minut temu.

Morrolan uśmiechnął się:

— Dzięki, Vlad.

— Powinienem wcześniej o tym pomyśleć.

„To ja powinienem pomyśleć. To należy do moich obowiązków, szefie. Przepraszam.”

„Ty też jesteś zmęczony, Loiosh. Chcesz liścia?”

„Dzięki, wytrzymam bez niego.”

Rozejrzeliśmy się uważniej i przytomniej. Daleko z prawej znajdowało się coś, co przypominało kształtem duży prostokąt. Poszliśmy w jego stronę. Okazało się, że jest to wolnostojąca ściana wysoka na około czterdzieści stóp, a długa na około sześćdziesiąt. Na jej powierzchni umieszczono coś dużego i okrągłego.

Poczułem szybsze bicie serca.

Parę chwil później staliśmy, kontemplując Cykl Imperium.

* * *

Następnego dnia Raiet udał się dorożką z cesarskiego Pałacu prosto do kochanki. Wraz z nim jechał jeden Smok, drugi siedział na koźle obok woźnicy, a trzeci towarzyszył im konno, zmieniając miejsce: raz jechał przodem, raz obok, a potem za powozem. Loiosh leciał sobie nad całą wycieczką, o czym uczestnicy nie mieli pojęcia.

Obserwując ich oczami Loiosha, zmuszony byłem podziwiać precyzję i fachowość ochrony. Kiedy dotarli na miejsce, pierwszy zsiadł ten z kozła i po sprawdzeniu okolicy udał się prosto do

mieszkania znajdującego się na piętrze dwupiętrowego budynku.

Drugi zsiadł z konia i poczekał, aż dorożkarz otworzy drzwi. Obserwował cały czas okolicę i dachy. Gdy Raiet i towarzyszący mu w powozie wysiedli, cała trójka weszła pośpiesznie do budynku. Zanim dotarli do mieszkania, zostało już ono sprawdzone przez pierwszego ochroniarza. Treffa, kochanka Raieta, przygotowała w tym czasie schłodzone wino. Wydawała się nieco nerwowa, ale jej nerwowość wzrastała, im dłużej Raiet zeznawał.

Obstawa dostarczyła go do samych drzwi. Treffa zaś zaniosiła wino do sypialni i nie wyszła z niej później. Zanim Smoki opuściły mieszkanie, Raiet wyraził przekonanie, że dziewczynę męczy cała ta procedura. Odpowiedzi nie dostał: mieli obowiązek go chronić, nie z nim gawędzić. A żaden Smok nie był zachwycony koniecznością ochrony Jherega i to uznanego w dodatku za zdrajcę przez resztę swego Domu (choćby i nieoficjalnie).

Raiet zamknął za sobą drzwi do mieszkania i przeszedł do sypialni. Treffa zamknęła drzwi do sypialni i coś przy nich pomajstrowała.

— Co robisz, dziecino? — zainteresował się.

— Założyłam blokadę dźwiękoszczelną. Właśnie ją kupiłam u adeptki.

— Magia tłumiąca dźwięki — zachichotał. — Robisz się nerwowa.

Przytaknęła ruchem głowy.

— Chyba zaczyna cię to wszystko męczyć.

Ponownie skinęła głową bez słowa.

I naląła wina do dwóch kielichów.

* * *

Kiedy Raiet nie wyszedł z mieszkania po zwyczajowych dwóch — trzech godzinach, obstawa zapukała do drzwi. A gdy nikt ich nie otworzył, wyważyła je. Potem zrobiła to samo z drzwiami do sypialni. Na łóżku znaleźli ciało Raieta ze sztyletem Morgantich w sercu. Nie mogli zrozumieć, dlaczego nie słyszeli jego krzyku, ani żadnych innych odgłosów. Obok trupa leżała Treffa odurzona jakimiś środkami i nieprzytomna.

Nawet kiedy odzyskała przytomność, nie byli w stanie dojść do tego, jak narkotyk znalazł się w winie.

Naturalnie władze podejrzewały ją, ale nie były w stanie udowodnić, że wzięła pieniądze za wystawienie go. Kilka miesięcy później zniknęła.

Powodzi jej się całkiem dobrze do dziś dnia, tyle że nie używa już imienia Treffa.

* * *

Powszechne jest przekonanie, że jeśli ktoś będzie miał dość sił i okazji, by fizycznie poruszyć Wielkie Koło Cyklu, to zmiana, którą spowoduje, zajdzie równocześnie w aktualnym istniejącym w Imperium cyklu. Przekonanie to głosi także, że jest to niezwykle trudne przedsięwzięcie, gdyż wymaga olbrzymiej siły, aby przewyciężyć siły historii, tradycji i woli utrzymujące naturalną kolejność cyklu. Według mnie rozważania owe są czysto teoretyczne przede wszystkim dlatego, że żywy nie ma szans dotrzeć w pobliże Wielkiego Koła, a po wtóre to kamienne cholerstwo jest olbrzymie.

Patrząc na to ogromne, kamienne koło przytwierdzone do

ściany na środku pustkowie, nawet nie próbowałem zgadywać, ile może ważyć. Na obrzeżu koła wyryto zwierzęta patronujące wszystkim Siedemnastu Wielkim Domom. Na górze znajdował się Feniks, następny z lewej był Smok, a z prawej Athyra. Oznaczało to, że poprzednio rządy sprawował Cesarz z Domu Athyry, a następnym po Zerice będzie przedstawiciel Domu Smoka. A raczej, jak się niedawno dowiedziałem, przedstawicielka. Zmiana władcy mogła nastąpić na dwa sposoby — albo gdy dobiegł końca czas jego rządów, albo gdy on sam wcześniej zginął. W tym pierwszym wypadku powinien dobrowolnie przekazać władzę następcy, ale nie zawsze tak było. W tym drugim prawie zawsze dochodziło do walki. Jak będzie tym razem, nikt nie wiedział. Podobnie jak nikt nie wiedział, kiedy zmiana może nastąpić.

Wszyscy, których pytałem później, upierali się, że owo kamienne koło jest Cyklem w niedosłownym znaczeniu tego słowa, a nie tylko jego fizycznym przedstawieniem. Nigdy nie byłem w stanie tego zrozumieć, ani też znaleźć w tym jakiegoś sensu.

Po krótkiej chwili poświęconej dokładnym oględzinom kamiennego dziwa spojrzałem na Alierę i Morrolana. Nadal wpatrywali się z podziwem w Wielkie Koło Cyklu.

„Szefie, liście nie będą działały wiecznie” — przypomniał mi Loioh.

„Wiem, ale dzięki za przypomnienie.”

Odchrząknąłem i oświadczyłem:

— Moi drodzy i szanowni, cokolwiek byśmy zamierzali, najlepiej zabierzmy się do realizacji, bo czas działa przeciwko nam. Spojrzeli na mnie, na siebie, na ziemię i z powrotem na Wielkie Koło. Jasne było, że nikt z nas nie wie, co powinniśmy

zrobić. Odwróciłem się i poszedłem popatrzeć na morze. Było znacznie ciekawszym obiektem do oglądania.

* * *

Nie będę twierdził, że prześladował mnie wyraz oczu Raieta, czy jego głupia mina, gdy się zorientował, że to koniec. Ani jego wrzask, gdy sztylet niszczył bezpowrotnie jego duszę. Zasłużył na to, co go spotkało.

Nigdy natomiast nie przywykłem do używania, czy choćby dotykania broni Morgantich. Każda z nich to ostateczny drapieżnik nienawidzący każdego, kto żyje, i całkowicie obojętny na to, kogo niszczy. Z równym powodzeniem ten konkretny sztylet zabiłby Raieta, jak i mnie — dla niego liczyła się tylko sztuka. Broń Morgantich zawsze napawała mnie strachem, choć nauczyłem się nią posługiwać. Klienci mieli różne wymagania, trzeba było opanować wszystkie tajniki fachu. Zupełnie inaczej miała się sprawa z Wielkimi Broniami, naturalnie gdy przyzwyczałem się do ich obecności.

I tak cała sprawa wywołała kilka dni niepewności i, że tak powiem, skrupułów. Nie z powodu Raieta, ale dlatego że zmusiła mnie do spojrzenia prawdzie w oczy. A unikałem tego od ponad roku. Otóż utrzymywałem się z zabijania ludzi za pieniądze.

Stop! Poprawka: utrzymywałem się z zabijania Dragaerian za pieniądze. Nie przyjąłem i wiedziałem, że nie przyjmę kontraktu na człowieka. Dragaerianie zatruwali mi życie przez siedemnaście lat, teraz przyszedł czas wyrównania rachunków. Smaczku całej sprawie dodawało to, że robiłem to za ich pieniądze, łącząc przyjemne z pożytecznym. I dzięki temu żyłem coraz wygodniej.

Tak naprawdę nie wiem, czy potrzebowałem jakichś usprawiedliwień. I tak kilka dni rozważań natury moralnej było wszystkim, na co mogłem się zdobyć. Załatwiłem te problemy, upchnąłem je gdzieś w kąt umysłu i miałem spokój — nie pojawiły się ponownie.

Może kiedyś to zrobię, nie wiem...

Wtedy będę się tym martwił.

* * *

Nie wiem, ile czasu stałem i gapiłem się w morze. Może z godzinę, może mniej. W końcu Morrolan i Alier dołączyli do mnie. I we trójkę gapiliśmy się w fale. Na szczęście znacznie krócej: może z kwadrans. Za nami były Ścieżki Umarłych i Przedsiónek Sądu. Z prawej, poza Wielkim Kołem Cyklu, mroczna puszcza, przez którą prowadziła droga do świata żywych.

W końcu Alier powiedziała:

— Nie odejdę bez Morrolana.

Na co tenże odparł:

— Jesteś głupia.

— A ty durny, że przyszedłeś tu, wiedząc, że nie zdołasz stąd wyjść żywy.

Nie mogłem powstrzymać się od komentarza:

„Znam jeszcze co najmniej jednego durnia w tym gronie, Loioosh.”

„Jeszcze dwóch, szefie.”

Miło, że nikt poza nim tego nie słyszał.

— Być może — odpalił Morrolan. — Ale to jeszcze nie powód, by marnować cały nasz wysiłek.

— Powód nie, ale potrzeba tak. I postąpię tak, jak zdecydowałam.

— Absurdem jest zabijać się tylko dlatego...

— Ale tak właśnie zrobię. Nikt nie będzie poświęcał swego życia dla mnie. Oboje stąd odejdziemy albo oboje tu pozostaniemy.

Potrząsnąłem głową — dyskusja przypominała rozmowę o koronkach z głupim, który twierdził, że to same dziury. Morrolan powinien wiedzieć, że od współziomków nie należy spodziewać się zbyt wiele logiki, a od lady z Domu Smoka w ogóle nie należy oczekiwać zdrowego rozsądku. Ale czego można wymagać od lorda z Domu Smoka?

Alera przypomniała sobie o moim istnieniu:

— Wracaj, Vlad. Dziękuję ci za wszystko, ale twoje zadanie dobiegło końca.

Tak, Morrolan był Dragaerianinem z Domu Smoka. Był też nadęty i łatwo się obrażał, więc tym bardziej nie rozumiałem, dlaczego nie chcę go tu zostawić. Bo sam nie zamierzałem tu zostać — byłby to pusty gest.

Oboje spoglądali na mnie, a ja myślałem intensywnie. I bez efektu.

— Wracaj, Vlad — powiedział cicho Morrolan.

Nie ruszyłem się.

„Co jest?” — zaniepokoił się Loiosh. „Słyszałeś, no nie? Wynośmy się stąd, szefie!”

Chciałem wrócić i znaleźć się w normalnym świecie. Ale odejść i pożegnać się z Morrolanem po to, by go tu zostawić na zawsze... jakoś nie było to właściwe. Z drugiej strony ciągnęło mnie do normalnego życia i do normalnych zajęć. Ot, pochodzić po swoim terenie, napić się czegoś — choćby brandy z Kiera.

Kiera... Zaraz! To mogło być to!

Gdyby tylko istniał sposób...

A może by tak czary?!

Spojrzałem na Morrolana i Alierę.

„To szaleństwo, szefie!”

„Wiem. Ale to jedyny sposób.”

„Nawet nie wiemy, czy jesteśmy w tym samym świecie co...”

„To może nie mieć znaczenia.”

„A jeśli ma?”

„To się przekonamy na własnej skórze.”

„Wiesz, ile to cię będzie kosztować?”

„Wiem. Będą musieli mnie nieść”.

„Jak się nie uda, nie będą w stanie.”

„Jak się nie uda, nie będą mieli kogo.”

Loiosh zamilkł, zdając sobie sprawę, że mnie nie przekona.

A ja włożyłem do ust ostatni liść kelschu.

Aliera przyglądająca mi się uważnie spytała:

— O co chodzi, Vlad?

— O pomysł, jak wydostać stąd Morrolana. Poniesiecie mnie w drodze powrotnej, jeżeli okaże się, że nie jestem w stanie iść o własnych siłach?

— Co chcesz zrobić? — spytał Morrolan.

— Użyć czarów.

— Jak...?

— Zamierzam stworzyć nowy czar. Nie jestem pewien, czy mi się uda.

— Jestem czarnoksiężnikiem. Mogę ci pomóc?

Zawahałem się, przeanalizowałem wszystko i odparłem:

— Nie. Żuję ostatni liść kelschu, żeby mieć dość sił na rzucenie czaru. Jeśli mi pomożesz, osłabniesz, a wtedy kto nas obu stąd

wyniesie?

— Fakt. Co ten czar ma spowodować?

Oblizalem wargi i zdałem sobie sprawę, że nie chcę mu powiedzieć.

„Dlaczego nie chcesz, szefie?” — zaciekawil się Loiosh.

„Bo mi powie, że tego się nie da zrobić.”

„A się da?”

„Zobaczymy.”

„Dlaczego?”

„Zawsze chciałem sprawdzić, jaki ze mnie czarnoksiężnik, teraz mam okazję.”

„Szefie, mówię poważnie. Jeżeli się przyłożysz, a czar nie wyjdzie, to...”

„To mnie zabije. Wiem, Loiosh.”

„A jeśli nie, to i tak energia, którą będziesz musiał włożyć w działanie czaru, tak cię osłabi, że nie zdołasz pozostać przytomny i zaśniesz, a to...”

„Loiosh, bądź tak miły i zamknij się.”

Głośno zaś powiedziałem:

— Nie mam czasu na dokładne tłumaczenia. Czekaście tu, a ja poszukam odpowiedniego miejsca. Prawdopodobnie gdzieś w pobliżu Wielkiego Kręgu. Nie chcę, żeby któreś z was kręciło się w pobliżu i rozpraszało mnie. Jeżeli się uda, znajdę was, jak skończę.

— A jak się nie uda?

— To sami mnie znajdziecie.

* * *

Przekupienie Treffy sporo mnie kosztowało, podobnie jak

kupienie blokady wygłaszającej od adeptki Lewej Ręki. Wolałem załatwić sprawę bezpośrednio z nią, a nie przez Platfusa. Sam nie wiem dlaczego — skoro to on mnie wynajął, nie mógł po „robocie” mnie wydać, bo oznaczało to, że zanim go zabiję, może umrzeć z głodu: nikt nie zechciałby ani dlań pracować, ani go zatrudnić. Z drugiej strony po użyciu broni Morgantich sprawa stawała się głośna i gdyby mógł się mnie pozbyć bez wzbudzania podejrzeń, na przykład przy pomocy teleportu, który się nie uda, mogłoby go to skusić. Wolałem nie ryzykować.

Wydatki miałem więc spore, ale i tak znacznie więcej mi zostało. Zdecydowałem się tym razem nie przepuścić pieniędzy, żeby wystawnym trybem życia nie zwrócić na siebie uwagi. Z tego samego powodu nie wyjechałem z miasta. Zabójstwo wywołało spory rozgłos i zrobiłem się z tego powodu nieco nerwowy.

Zupełnie niepotrzebnie. Z tego co mi wiadomo nikt nie odkrył, że to moje rękodzieło, ale i tak znaleźli się tacy, którzy zdawali się wiedzieć, choć nie powinni. Jednym z nich był Welok. Parę tygodni później zaproponował mi, żebym pracował bezpośrednio dla niego — miałem inkasować długi, zajmować się problemami, które wynikną, i mieć oko na jego pracowników. To, co zarobiłem, odkładałem, zdecydowałem się bowiem zainwestować w coś, co by zarabiało na siebie. Może nawet w coś legalnego.

Jakiś miesiąc po zatrudnieniu przez Weloka odwiedziłem dziadka i poznałem dziewczynę imieniem Ibronka. Miała najdłuższe, najczarniejsze i najprostsze włosy, jakie w życiu widziałem. I oczy, w których można było się zatracić.

Nadal w nic nie zainwestowałem.

No cóż...

* * *

Teraz już nie mogłem się wycofać. Albo wyjdziemy stąd wszyscy, albo nikt. A obecnie zarysowała się szansa sukcesu. Gdybym był wierzący, zacząłbym się modlić, tyle że nie do Verry, a do dziadka — jego pomoc byłaby znacznie użyteczniejsza.

Nie sądzę, by dziadek próbował kiedykolwiek stworzyć nowy czar. Gdyby magia tu działała, Morrolan mógłby po prostu teleportować to, co było potrzebne, z mojego mieszkania. No, ale gdyby magia działała, to wszyscy moglibyśmy teleportować się stąd i nie potrzeba byłoby niczego ściągać i zadawać sobie takiego trudu. Gdyby...

Wybrałem miejsce w pobliżu Wielkiego Koła. Nie wiem dlaczego akurat tu — wydawało się najlepsze i tyle. A to, co wydaje się właściwe, przeważnie okazuje się niezwykle ważne. W przypadku czarów.

Zacząłem medytować i odprężyć się akurat, gdy skończyłem żuć liść. Wyplułem go i poczułem przypływ energii. Zdjąłem plecak, otworzyłem go i usiadłem obok.

Przemknęło mi przez myśl, że bogowie mogą mnie powstrzymać, ale doszedłem do wniosku, że gdyby wiedzieli, co zamierzam, już by to zrobili. Najwidoczniej nie obserwowali zbyt dokładnie własnego terenu. Przyglądałem się kamiennemu kołu i zbierałem się na odwagę.

Dalsze czekanie jedynie utrudniłoby całą sprawę.

Wziąłem głęboki oddech i zacząłem.

Rozdział siedemnasty

Mam pewne niejasne wspomnienia, że mała dziewczynka potrząsała mnie za ramię i powtarzała z uporem:

— Nie zasypiaj! Umrzesz, jeśli zaśniesz! Oprzytomniej!

Kiedy otworzyłem oczy, nikogo nie było, więc to pewnie był sen... tyle że żeby śnić taki sen, trzeba zasnąć, a gdybym zasnął...

Nie wiem.

Usłyszałem łopot skrzydeł i coś mnie uszczypnęło w ucho.

Wiedziałem nawet co. Otworzyłem oczy i powiedziałem głośno:

— No dobra. Wróciłem.

Wątpię, bym kiedykolwiek wcześniej lub później musiał włożyć tyle wysiłku w to, by wstać. Gdy w końcu udał mi się ten wyczyn, czułem się tak, jak musiała czuć się niedawno Alier. Żałowałem, że już nie mam liści, ale był to jakiś taki odległy żal. Ważniejsze było, że świat się jednak kręcił. Nienawidziłem, gdy to robił.

Zacząłem iść i usłyszałem coś. Bardzo daleko. Stopniowo to coś stało się głośniejsze i bardziej natarczywe, więc przystanąłem i wyteżyłem słuch.

Był to Loiosh.

„Szefie! Oni są z drugiej strony! Musisz zawrócić!”

Wykonałem obrót, co wcale nie było takie łatwe, jak mogłoby się wydawać. I ruszyłem, potykając się, w kierunku, który według Loiosha był właściwy. Po paru godzinach (według mojej oceny) znalazłem ich siedzących tam, gdzie ich zostawiłem. Morrolan zauważył mnie pierwszy i dostrzegłem, że zerwał się i

ruszył w moją stronę, ale jego ruchy były dziwnie powolne. Zacząłem padać, również dziwnie powoli... a potem oboje mnie podtrzymali, nim grzmotnąłem o ziemię.

— Vlad, co z tobą?

Wymamrotałem coś i uczepliłem się ich kurczowo.

— Vlad? Udało się?

Udało się... co się miało udać... a, tak. Jeszcze musiałem popracować. Zaraz, gdzie jest ta cholerna fiołka... aha, mam ją w garści. Uniosłem ją... zawierała ciemny płyn, tak jak przedtem.

— Co to takiego? — zainteresowała się Alierka.

Udzielanie odpowiedzi było zbyt skomplikowane, więc go poniechałem. Skupiłem się i poleciłem Morrolanowi:

— Odsłoń rękę.

— Którą?

Wzruszyłem ramionami.

Wybrał lewą rękę.

— Nóż! — zażądałem.

Oboje spojrzeli na siebie i równocześnie wzruszyli ramionami. A potem Morrolan wsunął mi w lewą dłoń nóż... mój własny. Dałem mu znak, by się zbliżył. Zrobił to po chwili wahania.

Zapanowałem nad drzeniem dłoni i przeciągnąłem ostrzem noża po jego bicepsie. Potem podałem Alierze fiołkę i poleciłem:

— Otwórz!

Wolałem nie patrzeć, jak to robi. Przy okazji skląłem się w duchu, że nie kazałem jej tego zrobić, zanim go zraniłem. Nie wiem, jak jej się udało otworzyć fiołkę i równocześnie cały czas mnie trzymać, ale po paru sekundach oznajmiła:

— Gotowe!

Złapałem Morrolana za ramię, przytknąłem otwór fiołki do rany i poleciłem:

— Jesteś czarnoksiężnikiem: spowoduj, żeby płyn wniknął w twoje ramię.

Spojrzał na mnie zaskoczony i oblizał usta. Dopiero w tym momencie zrozumiałem, że zastanawia się, czy mi zaufać, czy nie. Gdybym miał dość sił, wybuchnąłbym śmiechem.

Najwyraźniej jednak zdecydował, że mi zaufa, i założył, że wiem, co robię. Poczułem, że zamykają mi się oczy. Alierą potrząsnęła mną energicznie, więc czym prędzej je otworzyłem. Fiolka była pusta, a Morrolan trzymał ją w ręku, przyglądając się jej ze sporym zaciekawieniem.

Pozostało mi jedynie mieć nadzieję, że Kiera nie będzie potrzebować wykorzystanej zawartości do niczego ważnego.

— Chodźmy do domu — zaproponowałem.

— Vlad — spytał Morrolan — co było w tej fiolce?

— Do domu — wyszeptałem.

Zapadła chwila ciszy — pewnie wymieniali spojrzenia albo rozmawiali telepatycznie. A potem złapali mnie pod ramiona i skierowaliśmy się w stronę lasu.

* * *

W sumie nie podjąłem świadomej decyzji o uniezależnieniu się — to jest nie zaplanowałem sobie, że będę miał swój własny teren, i nie doprowadziłem świadomym działaniem do tego, że tak się stało. Po prostu w pewnym momencie trafiła się sprzyjająca ku temu okazja i wykorzystałem ją najlepiej, jak potrafiłem.

A doszło do tego po zakończeniu wojny między Welokiem, a Rolaanem. Spowodowało to serię zmian. Mój pierwszy szef, Nielar, pozbył się większości tego, co miał, gdyż musiałby

walczyć o utrzymanie swego stanu posiadania, a doszedł do wniosku, że nie zdoła tego zrobić i wygrać. Szanuję jego i jego decyzję, choć przyznaję, że nie rozumiem. Z drugiej strony odwaga jest zaletą, ale nie da się cieszyć ze zwiększonych wpływów, gdy jest się trupem. Trzeba mieć sporo rozumu, by wiedzieć, w którym momencie się wycofać.

Pracowałem potem dla paru osób, ale po zakończeniu wojny, gdy sytuacja się ustabilizowała, moim szefem został niejaki Tagichtn, czy Tukishat, czy jakoś tak — nigdy nie byłem w stanie zapamiętać, czy wymówić właściwie jego imienia.

Może dlatego że go nie lubiłem, z wzajemnością zresztą. Większość moich dochodów stanowił procent od ściągniętych długów i podobnych usług, a okazji do tego typu zarobku w tym akurat czasie nie było wiele. Zrealizowałem w tym czasie kilka zleceń, gdyż moja reputacja zaczęła się rozchodzić po środowisku, dzięki czemu mogłem nadal wygodnie żyć, ale „roboty” jest zajęciem nerwowym, czasochłonnym i nie gwarantującym określonych dochodów w określonym czasie. Dlatego wolałem mieć również pieniądze z mniej ryzykownych źródeł, choć naturalnie nie aż tak duże.

Mogłem oczywiście odejść i poszukać zatrudnienia u kogoś innego, ale byłem w branży od ledwie paru lat i nie miałem aż tylu znajomości. Najlepszym wyjściem było zejście Tagijatina z tego świata.

Ponieważ był to typ aspołeczny i nie chciał tego zrobić samodzielnie, nie zostało mi nic innego jak mu pomóc.

* * *

„Idź dalej! Nie zasypiaj!”

Ziemia wokół, a może powietrze wydzielają stłumioną poświatę. Nie wiem co, ale było tego dość, by móc prawie normalnie widzieć. Szliśmy przez las, choć nie mam pojęcia jak długo. Moje poczucie czasu na dobrą sprawę przestało działać.

„Idź dalej! Nie zasypiaj!”

Zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu i Morrolan z Alierą odbywali naradę dotyczącą drogi. Wydaje mi się, że bali się, iż chodzimy w kółko. Najczęściej wtedy odzywał się Loioosh:

„Szefie, powiedz im, że mają iść tam!”

Wskazywałem gestem kierunek i pewnie mieli już wtedy do mnie zaufanie, bo szliśmy tam, gdzie pokazywałem. Ciekawe swoją drogą, skąd im się ten przypływ ufności wziął...

W pewnym momencie Morrolan powiedział:

— Dziwnie się czuję.

— Co to znaczy dziwnie? — spytała Alierą.

— Nienormalnie... nie wiem, jak to opisać...

— Vlad, co było w tym flakoniku?

Potrząsnąłem głową — mówienie stanowiło zbyt duży wysiłek. A poza tym co tam było... a, prawda: krew bogini, według tego co mówiła Kiera. A podałem mu ją, bo tylko w ten sposób miał szansę przeżycia, jeśli Verra mówiła prawdę. Gdybym tego nie zrobił, Morrolan by zginął.

Dlaczego to zrobiłem? Cóż, uratował mi życie, ale w sumie dlatego, że dla niego pracowałem i chodziło o uratowanie Aliery... Przecież nie był moim przyjacielem: Dragaerianie i ludzie rzadko się przyjaźnią, a co dopiero lord z Domu Smoka i człowiek z Domu Jherega... to było po prostu niemożliwe.

W sumie zresztą nie było ważne, dlaczego to zrobiłem. Zrobiłem i już, a byłem za bardzo zmęczony, by o tym myśleć.

„Idź dalej! Nie zasypiaj!”

Po pewnym czasie Aliera powiedziała:

— Też się dziwnie czuję... chcesz odpocząć?

Morrolan pokręcił przecząco głową:

— Jeżeli się zatrzymamy, Vlad zaśnie i stracimy go.

Wyglądało na to, że Alierze wystarczyło to wyjaśnienie, bo szliśmy dalej, co mnie zaskoczyło. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego zadają sobie aż tyle trudu, by mnie uratować. Byli lordami z Domu Smoka i Dragaerianami, a ja człowiekiem i do tego Jheregiem. Nie potrafiłem doszukać się w tym sensu.

Ale z drugiej strony jeszcze zanim zabrałem się do czarów, miałem pewność, że tak właśnie postąpią... jeszcze dziwniejsze...

— Jak się czujesz? — spytała Aliera.

Nie miałem siły odpowiedzieć, ale okazało się, że pytanie skierowane było do Morrolana.

— Nie wiem, jak to opisać... jakbym równocześnie był lżejszy i cięższy... powietrze ma inny smak... ciekawe, co on mi dał?!

— Jeśli z tego wyjdziemy, będziesz mógł go zapytać.

„Idź dalej! Nie zasypiaj!”

A ten cholerny las ciągnął się i ciągnął...

* * *

Zabicie Tadishata było jedną z najprostszych „robót”, jakie kiedykolwiek wykonałem. Należałoby się spodziewać, że ktoś mający praktycznie wrodzony dar przysparzania sobie wrogów podejmie choćby najbardziej podstawowe środki ochrony swojej osoby. Gdzie tam. Był nowy, jeśli chodzi o posiadanie własnego terenu i, jak podejrzewam, należał do typu, który jest przekonany, że coś złego może przydarzyć się wszystkim innym, tylko nie jemu. Zamierzałem zrobić mu niespodziankę:

przekonać go, że jemu też.

Zawsze pracował do późna. Sam zajmował się rachunkami, by mieć pewność, że nikt go przy tym nie oszuka na jakieś nędzne miedziaki. I pewnego wieczoru po prostu wszedłem do jego przez nikogo nie pilnowanego biura. Podkrađłem się doń ze sztyletem w dłoni tak cicho, że zauważył mnie dopiero, gdy znalazłem się obok.

A wtedy było już za późno.

I tak to się zakończyło.

Jego nie nadającego się do wskrzeszenia trupa znaleziono niemal w tym samym czasie, gdy ja wprowadzałem się do jego biura. Doszedłem bowiem do wniosku, że bardziej wolę pracować dla siebie niż dla kogokolwiek innego, kogo znam.

* * *

Nie pamiętam, jak i kiedy wyszliśmy wreszcie z lasu, ale pamiętam, że nieśli mnie oboje przez jakąś jaskinię. Morrolan powiedział, że wskazałem drogę do niej, ale tego też nie pamiętam.

Następne, co pamiętam, to to, że leżałem na plecach, wpatrując się w pomarańczowo—czerwone niebo, i usłyszałem głos Morrolana:

— W porządku, wiem, gdzie jesteście!

Potem musiała nastąpić teleportacja, ale jej również zupełnie nie pamiętam.

Może i dobrze...

* * *

Kragar przyłączył się do mnie, gdy tylko złożyłem mu propozycję wraz z informacją, że przejmuję teren po Tadishatinie. Zaskoczyło mnie to i sprawiło sporą przyjemność. Co więcej, Nielar okazał się wobec mnie bardziej lojalny, niż można się było spodziewać po byłym przełożonym. Naturalnie każde początki są trudne — moje też były. Choćby dlatego że znalazło się paru pracowników, którzy mieli problemy, by poważnie traktować mnie jako szefa.

Udało mi się przekonać ich do zmiany podejścia bez zabijania żadnego, co uważam za spore osiągnięcie. Prawdę mówiąc, nie miałem większych problemów ani związanych z zarządzaniem terenem, ani z własnymi pracownikami, dopóki niejaki Quion nie zdecydował się wszystkiego zepsuć.

* * *

Sethra Lavode obserwowała mnie spod na wpół przymkniętych powiek. Zastanowiło mnie, dlaczego nie spytała, co zaaplikowałem Morrolanowi, i doszedłem do wniosku, że albo się domyśliła, albo wiedziała, że nie odpowiem. Ogólnie rzecz biorąc, nie odpowiedziałbym, choć czułem się dziwnie przyjaźnie do nich nastawiony. Może dlatego że bez Morrolana i Aliery nie opuściłbym Ścieżek Umarłych. Nie wiem...

Oni oboje bacznie obserwowali twarz Sethry, kończąc relację z wyprawy. Siedzieliśmy sobie wszyscy wygodnie w bibliotece wewnątrz Góry Dzur, obsługiwani przez Chaza serwującego wino i mrugającego przy tym rekordowo często. Zdarzało mu się też cmokać.

— Jestem zadowolona — oznajmiła Sethra, gdy skończyli. — Aliero, Imperium wymaga twojej obecności.

— Tak też to rozumiem — zgodziła się Alera.

„A reszta z nas to co?” — zirytował się Loiosh. „Pieczyste, czy śmieci?”

„Przymknij się uprzejmiem” — spacyfikowałem go, choć miałem podobne odczucia.

Sethra dodała niespodziewanie:

— Jestem twoją dłużniczką, Vlad. A nie mówię takich rzeczy ani lekko, ani często. Jeżeli uważasz, że nie masz co liczyć na moją pomoc albo że moja pomoc nie przyda ci się, jesteś głupcem.

A Morrolan dodał:

— Sethra mówi także w moim imieniu.

— Że jestem głupcem? — spytałem uprzejmiem.

Nie odpowiedział.

Za to Alera rzekła:

— Ja także jestem ci coś winna, Vlad. Może któregoś dnia wyrównam ten dług.

Przyjrzałem się jej, zastanawiając się, czy jest to obietnica, czy groźba. A jeśli groźba, to dlaczego.

Wszyscy spoglądali na mnie, oprócz naturalnie Chaza, który, jak mi się wydawało, wpatrywał się z natężeniem w kąt biblioteki, szukając, pojęcia nie mam czego.

Westchnąłem i spytałem:

— Dobra, czy teraz mogę wrócić do domu?

* * *

Odzyskałem większość pieniędzy skradzionych przez Quiona, a wieść o jego śmierci dotarła dokąd trzeba, czyli pod tym względem wszystko się udało, a moja reputacja nie tylko nie

ucierpiała, ale wręcz przeciwnie. Spotkałem się też parokrotnie z Morrolanem — jak na Dragaerianina jest w porządku. Zaproponował spotkanie w większym gronie, to jest z Alierą i Sethrą, ale jak na razie z propozycji nie skorzystałem, mimo że do niej wraca.

Kierze powiedziałem, że straciłem flakonik. Dziwne, ale nie wyglądała ani na przejętą, ani na zmartwioną. Natomiast nie powiedziałem Morrolanowi, co zawierał. Ilekroć o to pyta, uśmiecham się tylko enigmatycznie i nie kryję zadowolenia z własnej pomysłowości.

Nie wiem — może któregoś dnia mu powiem.

A może nie powiem.